

NR 12-1 (35-36)
grudzień-styczeń
2003-2004

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Bydgoszcz 1939

„Intelligenzaktion”

Trzy dni terroru

Niemcy na tle palących się budynków przedmieścia Włocławka (Bydgoskie)
we wrześniu 1939 r.

numer indeksu 374431

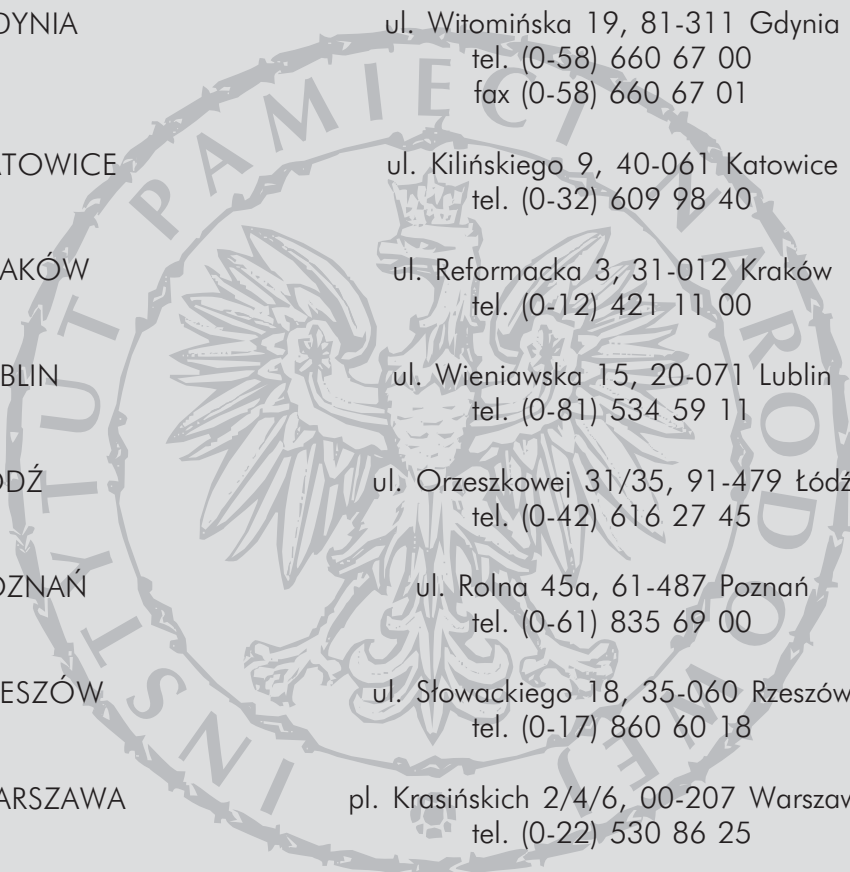
ISSN 1641-9561



nakład 2765 egz.

cena 6,50 zł (w tym 0% VAT)

ADRESY I TELEFONY ODDZIAŁÓW IPN W POLSCE



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDYNIA	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00 fax (0-58) 660 67 01
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Wieniawska 15, 20-071 Lublin tel. (0-81) 534 59 11
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
WARSZAWA	pl. Krasieńskich 2/4/6, 00-207 Warszawa tel. (0-22) 530 86 25
WROCŁAW	ul. Sołtysowicka 23, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Redaguje Biuro Edukacji Publicznej IPN

Zespół redakcyjny: Władysław Bułhak (redaktor naczelny),

Janusz Kotański, Paweł Machcewicz, Krzysztof Madej,

Bartłomiej Noszczak, Barbara Polak

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński

Skład i łamanie: Wojciech Czaplicki

Adres: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

Tel. (0-22) 581 89 24, fax (0-22) 581 89 26

e-mail: Barbara.Polak@ipn.gov.pl

<http://www.ipn.gov.pl>

Druk: Dom Wydawniczy Bellona

ul. Grzybowska 77, 00-844 Warszawa

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 12-1 (35-36)
GRUDZIEŃ-STYCZEŃ
2003-2004
SPIS TREŚCI

■ ROZMOWY BIULETYNU

NIE ZAMIERZAM PODEJMOWAĆ ŻADNEJ POLEMIKI.
WOKÓŁ MITU „BYDGOSKIEJ KRWAWEJ NIEDZIELI” z prof. Witoldem Kuleszą
rozmawiają Paweł Kosiński i Barbara Polak 4

■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

Tomasz Chinciński – KONIEC MITU „BYDGOSKIEJ KRWAWEJ NIEDZIELI” 24
Sławomir Abramowicz – WYPĘDZENI Z OSIEDLA „MONTWIŁA” MIRECKIEGO
W ŁODZI 28
Monika Tomkiewicz – WYSIEDLENIA Z GDYNI W 1939 ROKU 33
Maria Wardzyńska – „INTELLIGENZAKTION” NA WARMII, MAZURACH
I PÓŁNOCNYM MAZOWSZU 38
Magdalena Sierocińska – TRZY DNI TERRORU. PIERWSZE PLANOWE
MASOWE EGZEKUCJE W WIELKOPOLSCE 43
Alina Gałań – „AKCJA AB” NA LUBELSZCZYŻNIE 50
Bartłomiej Warzecha – NIEMIECKIE ZBRODNIENIE NA POWSTAŃCACH
ŚLĄSKICH W 1939 ROKU 55
Alicja Paczoska – DZIECI POTULIC 61
Marcin Markiewicz – REPRESJE HITLEROWSKIE WOBEC WSI BIAŁOSTOCKIEJ .. 65
Janusz Marszałec – WALKA Z LEGENDĄ 69

■ PRAWO I HISTORIA

Bernard Miszewski – PROCES STANISŁAWY KOSZCZĄB 76

■ RELACJE I WSPOMNIENIA

NAJPIERW POPILI SOBIE W URZĘDZIE... ze Zdzisławem Szpakowskim
i Edmundem Królikiem rozmawia Jan Żaryn 81

■ DZIAŁANIA EDUKACYJNE

Anna Piekarska, Mariusz Zajączkowski – RAJD DLA MŁODZIEŻY „MIĘDZY
TANWIĄ I SOŁOKIĄ” 91



Kalendarium IPN

listopad–grudzień 2003

- 6–7 listopada** – w Wilnie odbyła się II międzynarodowa konferencja polsko-litewska „**Stosunki polsko-litewskie 1939–1989**”, organizowana przez Centrum Badania Eksterminacji i Ruchu Oporu Mieszkańców Litwy oraz Instytut Pamięci Narodowej. Tematem spotkania był opór obydwu społeczeństw wobec systemu represji w Polsce i na Litwie w latach 1944–1956.
- 12 listopada** – w Olsztynie odbyła się prezentacja wystawy „**Wypędzeni, przypędzeni. Kształtowanie się nowego społeczeństwa na Warmii i Mazurach w latach 1945–1949**” połączona z sesją naukową, przygotowana przez olsztyńską Delegaturę OBEP IPN w Białymstoku oraz Archiwum Państwowe w Olsztynie.
- 13 listopada** – w siedzibie Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie odbyło się **przekazanie IPN–KŚZpNP materiałów dotyczących zbrodni katyńskiej** uzyskanych przez Kongres Polaków w Szwecji od władz tego kraju. W uroczystości uczestniczył m.in. Mats Staffansson, Ambasador Królestwa Szwecji w Polsce.
- 14 listopada** – w Bydgoszczy przedstawiciele IPN, Akademii Bydgoskiej, UMK w Toruniu, Instytutu Zachodniego w Poznaniu, Archiwum Państwowego w Bydgoszczy i Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego powołali zespół, który zajmie się badaniem wydarzeń w Bydgoszczy w dniach 3 i 4 września 1939 r., nazwanych przez propagandę III Rzeszy „bydgoską krwawą niedzielą”. Na jego czele stanął dr hab. Paweł Machcewicz, dyrektor BEP IPN.
- 18 listopada** – w siedzibie IPN w Rzeszowie odbyła się **sesja naukowa i wystawa „Aparat represji na Rzeszowszczyźnie w latach 1944–1956”**.
– w Bytomiu uroczystie otwarto **wystawę „Deportacje Górnoszlązaków do ZSRR w 1945 roku”**, przygotowaną przez OBEP IPN w Katowicach we współpracy z Muzeum Górnoszląskim. Wystawie towarzyszyła projekcja filmów dokumentalnych poświęconych górnoszląskim wywózkom w 1945 r.
- 19 listopada** – Kolegium IPN przyjęło uchwałę zatwierdzającą *Informację o działalności Instytutu Pamięci Narodowej w okresie od 1 lipca 2002 r. do 30 czerwca 2003 r.*, którą zgodnie z ustawą o IPN Prezes Instytutu przedstawi Sejmowi i Senatowi.
- 19–20 listopada** – w Instytucie Politologii Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Gdańskiego odbyła się **konferencja naukowa „Media w PRL. PRL w mediach”**, zorganizowana przez OBEP IPN w Gdańsku oraz Instytut Politologii UG.
- 27–28 listopada** – w Auli Uniwersytetu Rzeszowskiego odbyła się **konferencja naukowa „Wieś i ruch ludowy a władza w PRL w latach 1956–1989”**, zorganizowana przez OBEP IPN w Rzeszowie oraz Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego i Uniwersytet Rzeszowski.
- 2 grudnia** – Zamościu prezes IPN prof. Leon Kieres otworzył **wystawę „Wojenne dzieciństwo. Losy dzieci polskich pod okupacją hitlerowską”** przygotowaną przez OBEP IPN Łódź, której towarzyszyła **dyskusja panelowa „Polscy wypędzeni”**. W dyskusji udział wzięli ks. bp prof. dr hab. Tadeusz Pieronek, prof. dr hab. Zygmunt Mańkowski, dr hab. Bogdan Chrzanowski, dr hab. Andrzej Friszke i red. Thomas Urban.
- 10 grudnia** – w sali konferencyjnej IPN w Warszawie odbyło się **spotkanie Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grotę” poświęcone Wilnu i Wileńszczyźnie w latach 1939–1944**.
– członkowie Kolegium IPN dyskutowali projekt zmian regulaminu określającego tryb i formę rozpatrywania wniosków osób pokrzywdzonych o udostępnienie dokumentów. Zmiany te mają na celu określenie kategorii dokumentów, które będą udostępniane osobom pokrzywdzonym w myśl ustawy o IPN bez anonimizacji danych osób trzecich, w oryginałach. Kolegium rozpoznało ponadto odwołanie Szefa ABW od decyzji Prezesa IPN w sprawie dotyczącej zakwalifikowania określonych dokumentów do tzw. zbioru zastrzeżonego; jednogłośnie podjęta została decyzja utrzymująca w mocy odmowną decyzję Prezesa IPN.
- 11–12 grudnia** – w Białymstoku odbyła się **konferencja naukowa „Stosunki polsko-białoruskie w woj. białostockim w latach 1939–1956”** zorganizowana przez OBEP IPN

- w Białymstoku. W konferencji udział wzięli członkowie Białoruskiego Towarzystwa Historycznego.
- 12 grudnia** – w Bełchatowie dyrektor łódzkiego oddziału IPN Marek Drużka i prezydent miasta Marek Chrzanowski podpisali umowę o współpracy i otworzyli **wystawę „Stan wojenny – spojrzenie po dwudziestu latach”**, przygotowaną przez OBEP IPN w Łodzi; Marek Jasiński (OBUiAD IPN w Łodzi) wygłosił **wykład „Działalność byłych członków NSZZ »Solidarność« po wprowadzeniu stanu wojennego w Bełchatowie”**.
- 15 grudnia** – w Zespole Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Supraślu zaprezentowano **wystawę „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat. Pomoc ludności żydowskiej pod okupacją niemiecką w woj. białostockim”**, przygotowaną przez OBEP IPN Białystok. Honorowym gościem spotkania był ksiądz infułat dr Stanisław Piotrowski, który w czasie wojny uratował kilkoro dzieci narodowości żydowskiej.
- 16 grudnia** – w Domu Literatury w Warszawie na zaproszenie Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich odbyła się **dyskusja panelowa i promocja książki „Co nam zostało z tych lat... Opozycja polityczna lat 1976–1980 z dzisiejszej perspektywy”** pod red. Jerzego Eislera oraz **„Stan wojenny”** pod red. Antoniego Dudka.
- 17 grudnia** – prezes Instytutu Pamięci Narodowej prof. Leon Kieres wziął udział w obchodach XXXIII rocznicy wydarzeń w Szczecinie w grudniu 1970 r., zorganizowanych przez Urząd Miasta Szczecina. Przed stożnią podpisano uroczyste akt erekcyjny pod budowę pomnika ofiar Grudnia 70 roku. Natomiast w gmachu Urzędu Miejskiego prof. Leon Kieres otworzył **wystawę poświęconą wydarzeniom Grudnia 1970 roku**.
- w dawnej sali BHP w Stoczni Gdańskiej odbyło się ostatnie w tym roku **spotkanie z cyklu „Z materiałów IPN. Wykłady–świadkowie–dokumenty–filmy”**. Tematem przewodnim były podstawy prawne funkcjonowania PRL-u. Wykład na ten temat wygłosił prof. dr hab. Grzegorz Górski z KUL.
- 30 grudnia** – w Muzeum Regionalnym w Kościanie zaprezentowano **wystawę „Sowieckie piekło 1939–1956”** przygotowaną przez OBEP IPN Poznań. Wystawie towarzyszył **film dokumentalny** o tematyce sybirackiej **„Ocaleni”** zrealizowany podczas pierwszej prezentacji **„Sowieckiego piekła 1939–1956”** w poznańskim Centrum Kultury „Zamek”.

Opracowali: Elżbieta Duda, Michał Durakiewicz i Artur Gut

STATYSTYKA PRZYJMOWANIA WNIOSKÓW O UDOSTĘPNIENIE DOKUMENTÓW/ZAPYTANIE O STATUS POKRZYWDZONEGO

	listopad i grudzień 2003 r.	od początku wydawania
BIAŁYSTOK	22	1050
GDAŃSK	38 (20* + 2**)	2181 (667* + 278**)
KATOWICE	30	1466
KRAKÓW	38	1565
LUBLIN	24	705
ŁÓDŹ	17	779
POZNAŃ	35	1500
RZESZÓW	37	934
WARSZAWA	34	1587
WROCŁAW	27	1012
BUiAD	32 (6***)	1423 (95***)
KONSULATY	1	228
RAZEM	164	14430
WNIOSKI ZREALIZOWANE		6255

wnioski przyjmowane w delegaturach: *Bydgoszcz, **Koszalin, ***Radom

NIE ZAMIERZAM PODEJMOWAĆ ŻADNEJ POLEMIKI

**WOKÓŁ MITU „BYDGOSKIEJ KRWAWEJ NIEDZIELI”
Z PROF. WITOLDEM KULESZĄ ROZMAWIAJĄ PAWEŁ
KOSIŃSKI I BARBARA POLAK**

B.P. – Centralnym zagadnieniem naszej dzisiejszej rozmowy jest nie tyle opisanie tego, co stało się w Bydgoszczy 3 i 4 września 1939 r., lecz refleksja nad tym, jak te wydarzenia zostały osądzone zarówno przez historię, jak i, a może przede wszystkim, przez prawo. Mit „Krwawej niedzieli” wraca w tej chwili w dość nieoczekiwany sposób na łamy gazet, budząc różne emocje. Wynika stąd potrzeba, by po raz kolejny przyjrzeć się wydarzeniom, które miały miejsce sześćdziesiąt kilka lat temu. Konieczność ta jest tym pilniejsza, że trwają polsko-niemieckie dyskusje wokół idei utworzenia Centrum Wypędzonych. Po raz kolejny zastanawiamy się nad naszymi relacjami, robimy rachunki krzywd. IPN ma tutaj do odegrania szczególną rolę, ponieważ dysponuje aparatem, który pozwala – mam nadzieję – wyjaśnić wszystkie wątpliwości.

W.K. – Na wstępie muszę uczynić pewne istotne zastrzeżenie, ważne dla dalszego ciągu naszej rozmowy. Wojna *de iure* zaczęła się dopiero 3 września 1939 r., w chwili deklaracji rządów Francji i Wielkiej Brytanii o wypowiedzeniu wojny Niemcom, wobec tego mówimy o wydarzeniach, które wynikały ze stanu bezprawia w rozumieniu prawa wojny, spowodowanego napaścią niemiecką na państwo polskie bez wypowiedzenia wojny. Moja wiedza na temat tego, co miało miejsce przed wybuchem wojny i w czasie jej trwania, mieści się w ramach wyznaczonych przez prawo karne. Przedmiotem mojej wiedzy jest to, co ustalono w toku prowadzonych śledztw najpierw przez działającą od 1945 r. Komisję Badania Zbrodni Niemieckich, potem Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich, następnie Komisję Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu i wreszcie Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, która stanowi pion śledczy Instytutu Pamięci Narodowej. Ramy wiedzy prawnika karnisty wyznacza stan prawny, na którego podstawie dokonuje się oceny zdarzeń. Sprawa „bydgoskiej krwawej niedzieli” pokazuje, że dla opisu całości zdarzeń niezbędna jest zarówno refleksja historyka, jak i refleksja prokuratora. W tym sensie, że ta ostatnia bazuje na wiedzy historycznej ocenianej przez pryzmat prawa karnego, wyznaczającego ustawowe zadania prokuratora Instytutu Pamięci Narodowej. To, co chciałbym państwu przedstawić, jest tylko fragmentem wiedzy, jaką dysponują historycy, prezentowanym w re-



fleksji prokuratorskiej. Na wstępie sprowadza się ona do pytania o ocenę prawne tego, co stało się w Bydgoszczy 3 i 4 września 1939 r.

B.P. – Ocenę takiej dokonuje prokurator Instytutu Pamięci Narodowej – Głównej Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu na gruncie nie tylko prawa polskiego, ale – jak myślę – także międzynarodowych konwencji, choćby tych dotyczących zasad prowadzenia wojen.

W.K. – Ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej jednoznacznie zawiera stwierdzenie, że jego pion śledczy uprawniony jest i zobowiązany do ścigania zbrodni nazistowskich, komunistycznych, zbrodni przeciwko pokojowi i przeciwko ludzkości, a także zbrodni wojennych. Nie wykraczając poza swoje kompetencje, mogę odpowiedzieć na pytania – czy w Bydgoszczy 3 i 4 września 1939 r. dokonywano zbrodni wojennych, kto tych zbrodni dokonywał, czy to, co działo się wtedy, było zbrodnią przeciwko ludzkości w takim sensie, że ginące ofiary traciły życie tylko dlatego, że należały do narodowości niemieckiej, czy to, co później miało miejsce, czyli masowe egzekucje Polaków uzasadnione odwetem za zbrodnie popełnione na Niemcach, było zbrodnią nazistowską w rozumieniu ustawy o IPN. Punktem wyjścia refleksji prawnej musi być odwołanie się do konwencji haskiej z 1907 r., która określiła zasady prowadzenia wojny lądowej. Według załącznika do tej konwencji, stroną walczącą, a więc tą, której przysługują prawa kombata, jest również ludność cywilna terenu nieokupowanego (należy podkreślić to sformułowanie – „terenu nieokupowanego”), która spontanicznie chwyta za broń, żeby przeciwstawić się zbrojnej napaści wroga, a nie ma jednocześnie wystarczająco dużo czasu, by zorganizować się w wojsko, tj. włożyć jednolite mundury i działać pod jednolitym dowództwem.

B.P. – Innymi słowy, polscy uzbrojeni cywile byli w świetle prawa międzynarodowego żołnierzami, mogli też wymierzać ową szczególną sprawiedliwość czasu wojny.

W.K. – Cywilna ludność polska w Bydgoszczy, dokonując egzekucji na Niemcach czy w nich uczestnicząc, miała status strony walczącej, a to znaczy, że członków strony walczącej strona zwycięska nie mogła sądzić za zabójstwa dokonane w walce. Wszystkim cywilnym mieszkańcom Bydgoszczy, którzy chwycili za broń 3 i 4 września, przysługiwał po wkroczeniu niemieckich oddziałów do miasta status jeńców wojennych. Jeńców wojennych nie sądzi się za to, że dokonywali zabójstw tych, których uznano za przeciwników, za uczestników niemieckiej dywersji. Pozwala to na stwierdzenie, że 3 i 4 września polska ludność cywilna działała zgodnie z konwencją haską o zasadach prowadzenia wojny lądowej, miała status strony walczącej i samorzutnie chwytając za broń w obliczu zagrożenia ze strony zbliżającego się do miasta Wehrmachtu, działała zgodnie z konwencją, a więc przysługiwała jej ochrona taka, jak jeńcom wojennym.



B.P. – Czy ofiarami zdarzeń w Bydgoszczy 3 i 4 września byli rzeczywiście dywersanci niemieccy, czy też była to Bogu ducha winna ludność niemiecka, obywatele polscy narodowości niemieckiej, która utraciła życie tylko dlatego, że sprawcy rozpoznawali narodowość niemiecką ofiar? Co na ten temat mówi prawo narodów?

W.K. – Niektórzy obywatele polscy narodowości niemieckiej, w tym mieszkańcy Bydgoszczy – potwierdzają to meldunki polskich oddziałów, które odnaleźliśmy w archiwach wojskowych – brali udział w dywersyjnych działaniach przeciw Polakom, przede wszystkim przeciw polskiemu wojsku. Dlatego też działania polskiej ludności cywilnej w Bydgoszczy, legitymowane konwencją haską o zasadach prowadzenia wojny lądowej, były zgodne z prawem międzynarodowym. W ramach zwalczania niemieckiej dywersji dokonywano egzekucji na Niemcach nie dlatego, że byli Niemcami – padli oni ofiarą podejrzenia o to, że współdziałali w dokonywaniu aktów dywersji przeciwko polskiemu wojsku. W moim przekonaniu było to podejrzenie uzasadnione także tym, co wcześniej wyływało z Bydgoszczy do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i co umożliwiło później sporządzenie list Polaków przeznaczonych do egzekucji. Wobec tego pierwsza konkluzja sprowadza się do stwierdzenia: nie była to zbrodnia przeciwko ludzkości, nie zabijano Niemców dlatego, że byli Niemcami, lecz z powodu podejrzenia o uczestniczenie w działaniach dywersyjnych. Ponadto nie była to zbrodnia wojenna z tego względu, że sprawcy egzekucji – polska ludność cywilna – działali w zgodzie z konwencją haską o zasadach prowadzenia wojny lądowej. W tym stanie rzeczy nie ma podstaw prawnych dla prowadzenia śledztw przez prokuratora IPN, ale otwiera się równocześnie szerokie pole dla refleksji natury historycznej.

B.P. – Czy wiadomo coś więcej o agenturalnej czy też dywersyjnej roli odgrywanej przez niemiecką mniejszość na Pomorzu przed wojną i tuż po jej wybuchu?

W.K. – We wcześniej prowadzonych śledztwach ustaliliśmy, że przed niemiecką napaścią na Polskę w Bydgoszczy i na terenie całego Pomorza stworzono warunki, w których od początku napadu na Polskę mogły rozpocząć działalność struktury organizacji Selbstschutz. Członkowie tej organizacji, jak sami określali swe zadania, mieli zapobiegać atakom na niemiecką mniejszość ze strony polskiej ludności cywilnej i polskich żołnierzy maruderów. W rzeczywistości jednak od początku swego istnienia do grudnia 1939 r. Selbstschutz działał ludobójczo, tworząc komanda, które dokonywały masowych egzekucji Polaków w ramach akcji likwidacji inteligencji polskiej i polskich warstw przywódczych na Pomorzu. Ta zbrodnicza akcja nosiła kryptonim „Przedsięwzięcie Góra Jodłowa” – „Unternehmen Tannenberg”. Współdziałały w jej przeprowadzeniu także grupy operacyjne pod kierunkiem gestapo oraz jednostki specjalne SS. Akcję tę opracowano w szczegółach w Głównym



Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) pod kierunkiem Wernera Besta. Wiemy, że egzekucji Polaków dokonywano na podstawie list imiennych, które były zestawiane w RSHA w Berlinie. Wiemy, że owe listy imienne sporządzał niejaki dr Emil von Augsburg. Po wojnie wysoki funkcjonariusz zachodnioniemieckiego wywiadu – Instytutu Gehlena zatrudniony tam jako specjalista do spraw polskich. O tym, że akcję mordowania polskiej inteligencji przeprowadzono według wcześniej przygotowanych list, wiemy z różnych źródeł, także z bardzo nielicznych procesów, jakie toczyły się po wojnie również w Niemczech. W Bydgoszczy była kwatera kolejnych szefów Selbstschutzu, SS-Oberführerów Wilhelma Langleista, a następnie Ludolfa von Alvenslebena. Od pierwszych tygodni okupacji dokonywano morderstw na Polakach poprzez masowe ich rozstrzeliwania. Od września do grudnia 1939 r. zamordowano w sumie sześćdziesiąt tysięcy Polaków. Wspominam o tej akcji dlatego, że nie mam wątpliwości, iż listy polskiej inteligencji, polskich urzędników, lekarzy, nauczycieli, duchownych sporządzano dzięki informacjom przekazywanym także przez Niemców, obywateli polskich, którzy później, już w uniformach, działali w strukturach Selbstschutzu. Pytany przeze mnie niemiecki historyk Dieter Schenk, od lat współpracujący z Główną Komisją, wyjaśnia, że na Pomorzu istniały wcześniej przygotowane struktury organizacyjne, dlatego akcja wymordowania polskiej inteligencji mogła zostać przeprowadzona na tak wielką skalę tylko na tym obszarze już w pierwszych miesiącach niemieckiej okupacji.

P.K. – Zagadnienie współdziałania polskich obywateli narodowości niemieckiej przy sporządzaniu gestapowskiego Sonderfahndungsbuch Polen nie stało się dotychczas przedmiotem pogłębionej refleksji historycznej. Na Pomorzu była stosunkowo liczna mniejszość niemiecka tworząca swoje zrzeszenia i ugrupowania partyjne. Część tych ludzi współpracowała przy sporządzaniu listy Polaków wrogo ustosunkowanych do niemieckości. Wydaje się jednak, że aż do wybuchu wojny nie było wiadomo, jak ona będzie wykorzystana. Zapewne spodziewano się, że wytypowane osoby będą aresztowane, internowane na czas wojny, być może deportowane. Dopiero po wybuchu wojny w atmosferze wyjątkowej brutalności zaczęły puszczać wszelkie hamulce, a władze niemieckie nie tylko tolerowały zbrodnicze wybryki, ale wręcz do nich zachęcały. Po 1 września 1939 r. stopniowo doszło do stępienia zasad moralnych.

W.K. – Czy Niemcy przed wybuchem wojny zdawali sobie sprawę, czemu służy sporządzanie owych list? Czy ich świadomością i wolą było wymordowanie wszystkich tych, których nazwiska podawano i umieszczano na tych listach? Proszę pamiętać, że obóz koncentracyjny Stutthof niedaleko Gdańska był gotów na przyjęcie polskich więźniów już od początku sierpnia 1939 r. Na pewno byli tacy Niemcy, którzy nie chcieli wymordowania Polaków ani nie wiedzieli, czemu służy podawanie





przez nich nazwisk Polaków, o których pytano. Ale ja nie znam tych konkretnych Niemców, którzy nie wiedzieli i którzy podawali w dobrej wierze nazwiska Polaków, bo przecież przeciwko nim nigdy nie prowadzono śledztwa. Znam natomiast tych innych Niemców, którzy nie tylko doskonale wiedzieli, czemu to wszystko służy, ale wręcz sami dostarczyli dowodów na piśmie, jakie były ich oczekiwania, co zrobić z Polakami. Dlatego przeciwko nim prowadzono śledztwa.

Przykładem jest prof. Hermann Voss, dyrektor Instytutu Anatomii na Uniwersytecie Rzeszy w Poznaniu. Śledztwo w jego sprawie, które prowadziliśmy, było związane z makabrycznymi transakcjami, jakich dokonywał on, sprzedając czaszki i szkielety Polaków i Żydów do gabinetów ras w muzeach europejskich. Hermann Voss pozostawił po sobie pamiętnik. Już w połowie lat trzydziestych napisał w nim: my, Niemcy, musimy rozwiązać polską kwestię bezuczuciowo, „rein biologisch” – czysto biologicznie. Musimy ich wyniszczyć, bo ten prymitywny, słowiański naród mnoży się tak szybko, że nas „zeżre”. Dopiero wtedy zapanuje spokój na wschodzie, otworzy się przestrzeń życiowa dla Niemców, kiedy Polacy zostaną wyniszczeni. Voss przedstawia na kartach pamiętnika swoje marzenie. W podziemiach jego instytutu był piec krematoryjny, gdzie spalano zwłoki ofiar – Polaków i Żydów, których czaszek i szkieletów używano do jego koszmarnej produkcji. Pisze w swoim pamiętniku „jakby to było pięknie, gdyby całe polskie społeczeństwo można było zapędzić do takiego pieca”. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to, co stało się 1 września 1939 r., było realizacją woli bardzo wielu Niemców, przeciwko którym prowadziliśmy śledztwa, jednym z dowodów jest pamiętnik Hermanna Vossa. To było marzenie Vossa i nagle otworzyła się możliwość jego realizacji – stworzenie etnicznie czystej przestrzeni dla narodu niemieckiego. Mam też w pamięci fragment z pamiętnika Vossa, który dotyczy mojego rodzinnego miasta Łodzi. Autor pamiętnika przyjechał do Łodzi i ubolewał, że Poznań to jest jeszcze niemieckie miasto, natomiast w Łodzi widać po architekturze, że przeważały wpływy żydowsko-rosyjskie. Jakież wielkie zadania stoją wobec tego przed nami Niemcami. Łódź przecież jest częścią Rzeszy niemieckiej.

B.P. – Drugim takim Niemcem był gauleiter Gdańska i Prus Zachodnich Albert Forster.

W.K. – Z procesu przeciw gauleiterowi Gdańska i Prus Zachodnich Alberto wi Forsterowi, który toczył się przed polskim Najwyższym Trybunałem Narodowym, i z procesu przeciwko szefowi SS i policji w Gdańsku Richardowi Hildebrandtowi oraz komendantowi policji w Bydgoszczy Maxowi Henze wiemy, że chodziło o to, aby jak najszybciej zrealizować plan oczyszczenia terenów Pomorza z ostatniego Polaka. Akcje egzekucyjne na Polakach oceniano w RSHA jako przebiegające zbyt wolno, dlatego też nakazano ich przyspieszenie. Fakty te zostały ustalone w procesach. W niemieckim procesie oskarżony Jakob Löfgen – uczestnik tych egzekucji, dowodzący jednym z komand zabójców – mówił: „ponaglano nas, mówiono, że liczba rozstrze-

lanych we wrześniu jest zbyt mała. Kazano nam z wielokrotności nasze wysiłki. Dlatego sporządzałem fałszywe raporty, żeby zadowolić moich zwierzchników i podawałem dwukrotnie wyższe liczby rozstrzelanych” (choć niemiecki sąd słusznie nie dał wiary tym wyjaśnieniom, to jednak uwolnił oskarżonego od odpowiedzialności karnej z powodu rzekomego stanu wyższej konieczności, w którym musiał dokonywać zabójstw Polaków, aby samemu nie narazić się na ukaranie za nieposłuszeństwo otrzymanym rozkazom). Mówię o tym, ponieważ nie mam wątpliwości, że ten program był przygotowany z góry. Byli tacy, o których nie wiem, którzy nie mieli pojęcia o istnieniu owego programu, ale byli też i tacy, którzy przez lata przed wybuchem wojny przygotowywali się do jego realizacji. Tych znam – ich nazwiska zawarte są w aktach przeprowadzonych śledztw. Przeciwno nim prowadziliśmy procesy.

P.K. – Czy w świetle konwencji międzynarodowych dywersanci niemieccy, którzy podnieśli rękę na wycofujące się Wojsko Polskie, mogą być traktowani jako strona walcząca?

W.K. – Ludność cywilna na terenie, na którym toczą się działania wojenne, jeśli chwyta za broń, jest traktowana jako uczestnicząca, używając niemieckiej terminologii – w przestępczej partyzantce – „Freischerlerei”. Znaczący to, że ludność cywilna jest chroniona tak długo, dopóki nie uczestniczy w działaniach wojennych przeciwko wojsku państwa, w którym ludność ta zamieszkuje. Od chwili, gdy chwyta za broń po to, żeby udzielić pomocy wrogowi państwa, na którego terytorium zamieszkuje, przestaje być chroniona przez konwencję haską o zasadach prowadzenia wojny lądowej. Niemieckie prokuratury w okresie powojennym odmawiały jednak uznania, że polskiej ludności cywilnej przysługiwała ochrona przed wkraczającymi niemieckimi oddziałami ustanowiona przez konwencję haską. Przytoczę tu przykład rozumowania niemieckich prokuratorów. Prowadziliśmy bardzo wiele śledztw w sprawach zbrodni Wehrmachtu popełnionych od pierwszych dni września na polskiej ludności cywilnej. Jedno z nich dotyczyło zdarzenia, które miało miejsce 4 września 1939 r. W małej miejscowości, w domu Polaka, przy otwartym oknie golił się niemiecki żołnierz. Do ablucji zdjął mundur. Kiedy przed domem przejeżdżała niemiecka kolumna pancerna, Niemiec zbliżył się do okna, roześmiał się do swoich kamratów i coś krzyknął w ich kierunku. Nie przewidział, jakie konsekwencje pociągnie to, że niemieccy żołnierze zobaczą śmiejącego się mężczyznę, którego wezmą za Polaka. Natychmiast został zastrzelony. Niemiec zastrzelony przez Niemców, którzy wzięli go za Polaka. Co robi dowódca jednostki, która stacjonuje w tej miejscowości?

B.P. – Z pewnością zabija Polaka, w którego domu nocował niemiecki żołnierz.

W.K. – Wydaje rozkaz rozstrzelania dwudziestu Polaków – mieszkańców tej miejscowości, mimo że to Niemcy zabili Niemca. Niemiecka prokuratura





Karta z albumu „Selbstschutz – Westpreußen“
z fotografią SS-Oberführera Ludolfa von Alvenslebena

Archiwum
Główny Komisji Badania
Historii Państwa w Polsce

Dok. N. 328 / 11 - 9 m 4304

OKRĘGOWA KOMISJA
ORGANIZACYJNO-BUDOWLANA
W BYDGOSZCZY

Fot. ze zbiorów IPN



Der Führer
des Selbstschutzes
Westpreussen.

39 i. Toroubers

26283

DBERFÜHRER v. ALVENSLEBEN



w latach osiemdziesiątych z całą powagą odpowiedziała ówczesnej Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, że brakuje podstaw do uznania, iż była to zbrodnia wojenna, gdyż Polaków zastrzelono w ramach odwetu za śmierć niemieckiego żołnierza. Dowódca, który wydał rozkaz rozstrzelania Polaków, działał w przekonaniu, że to Polacy uczestniczyli w tym zabójstwie. Wcześniej ogłosił, że za każdego zabitego niemieckiego żołnierza rozstrzelanych zostanie dziesięciu Polaków. Umierzając postępowanie, niemiecka prokuratura napisała w uzasadnieniu, że dla prawnej legitymacji rozstrzelania Polaków wystarczyło przypuszczenie dowódcy jednostki, że bezbronnego niemieckiego żołnierza zabili Polacy. Ta opinia kończy się przerażającym stwierdzeniem, że zabijanie partyzantów było powszechnie akceptowaną praktyką do końca II wojny światowej.

B.P. – Czyli, kontynuując tok myślenia niemieckich prokuratorów, to twierdzenie można zastosować także wobec niemieckich partyzantów-dywersantów w Bydgoszczy?

W.K. – Właśnie tak. Gdybym został zapytany przez niemiecką prokuraturę o moje oceny dotyczące zdarzeń w Bydgoszczy przy zastrzeżeniu, że przecież nie wszyscy Niemcy, którzy stracili życie 3 i 4 września, byli dywersantami, to mógłbym odesłać niemieckich kolegów do ich własnego postanowienia i zawartego w nim rozumowania. Oczywiście owo postanowienie niemieckiej prokuratury budzi mój zdecydowany sprzeciw, gdyż oparte jest na błędnej ocenie prawnej wynikającej z niezrozumienia treści przepisów konwencji haskiej, a także pojęcia zbrodni wojennej oraz pojęcia zbrodni przeciwko ludzkości. Nie mam wątpliwości, że Polaków w tej miejscowości, o której wspomniałem, rozstrzelano tylko dlatego, że byli Polakami. W ocenie tej egzekucji zbiegają się zatem pojęcia zbrodni wojennej i zbrodni przeciwko ludzkości. Rozstrzelani Polacy nie brali w żadnej formie udziału w działaniach wojennych, brakowało też jakichkolwiek podstaw dla takiego przypuszczenia, gdyż ludność polska w tej miejscowości bała się nawet kichnąć w sposób, który byłby odebrany jako skierowany przeciwko Niemcom. Wobec tego ludność ta była chroniona przez konwencję haską jako nieuczestnicząca w walkach.

Jeśli chodzi o ludność niemiecką w Bydgoszczy, to musimy pamiętać o tym, co jest zapisane w meldunkach polskich oddziałów. Akty dywersji dokonanej w Bydgoszczy jednoznacznie wskazują na to, że była to akcja prowadzona nie tylko przez zewnętrznych dywersantów, ale dywersantów bazujących w samej Bydgoszczy. Przecięcie kabla telefonicznego, zakopanie jego końcówek w ziemi, wiedza, gdzie przemieszczają się polskie oddziały – wszystko to było oparte na informacjach, które pochodziły z samej Bydgoszczy. Nie mam co do tego wątpliwości. W meldunkach polskich oddziałów znajdują się wzmianki, że oddziały są atakowane przez dywersantów niemieckich, także w cywilnych ubraniach. Rozmawiałem wiele razy z wojskowymi na ten temat i usłyszałem, że w raportach wojskowych bardzo niechętnie pisze się, iż oddział wojska uległ cywilnym

dywersantom i wycofał się, gdyż to obraża honor żołnierzy. Taki zapis meldunku ośmieszać może całą jednostkę wojskową, wykluczam więc, że w meldunkach polskich oddziałów o niemieckiej dywersji podawano nieprawdę po to, aby usprawiedliwić egzekucje na Niemcach w Bydgoszczy 3 i 4 września. Dziennik działań bojowych jednostki zostaje – jest dziennikiem jej chwały, tam się nie pisze rzeczy nieprawdziwych po to, żeby uzasadnić zbrodnie na ludności cywilnej. Honor polskiego żołnierza nie pozwoliłby na pohańbienie dziennika działań bojowych własnej jednostki wpisywaniem nieprawdziwych informacji o niemieckiej dywersji. Dlatego też przypuszczenie takie całkowicie odrzucam. Meldunki polskich oddziałów o tym, że są atakowane przez napastników w cywilnych ubraniach, traktuję jako prawdziwe. Nie mogę jednak tego samego powiedzieć o podobnych zapisach w dziennikach jednostek Wehrmachtu.

B.P. – Dlaczego?

W.K. – Gdy czytam w jednym z takich dzienników, że w nocy jednostka Wehrmachtu była ostrzeliwana przez ubranych po cywilnemu Polaków, mam wątpliwości, skąd wiadomo było, że w nocy wkraczający niemiecki oddział był ostrzeliwany przez polską ludność cywilną, a nie przez umundurowanych polskich żołnierzy.

Sądzę, że wpisy w dziennikach działań bojowych jednostek Wehrmachtu i SS o rzekomym atakowaniu ich w czasie zajmowania miejscowości przez polską ludność cywilną, co miało powodować „dużą nerwowość” żołnierzy tych jednostek i usprawiedliwiać strzelanie do polskich cywili, czynione były po to, by dostarczyć uzasadnienia dla takich masowych egzekucji Polaków w tych miejscowościach.

Zważywszy wszystko to, muszę stwierdzić, że nie ma – w moim przekonaniu – podstaw faktycznych i prawnych do prowadzenia śledztwa w sprawie zbrodni popełnionych 3 i 4 września na niemieckich mieszkańcach Bydgoszczy, gdyż egzekucje, w których zginęli Niemcy, były dokonywane w następstwie rzeczywistych aktów dywersji potwierdzonych w różnych wiarygodnych źródłach. Jestem przekonany, że polska ludność cywilna i polscy żołnierze, dokonując owych egzekucji, działali w uzasadnionym przekonaniu o zwalczaniu niemieckiej dywersji.

Nie mam również wątpliwości co do tego, że pod pozorem zwalczania dywersji dokonywano także zabójstw poszczególnych osób niezaangażowanych w działania dywersyjne. Niemieckie ofiary tych zabójstw były wskazywane polskim żołnierzom jako rzekomi uczestnicy dywersji, co w wielu wypadkach było oczywistą nieprawdą, jednakże zabójstwa te, które mogły być dokonywane również z motywów zasługujących na szczególne potępienie, co czyniło je morderstwami, nie mogą być dziś przedmiotem śledztwa z powodu przedawnienia. Pragnę w tym miejscu z naciskiem stwierdzić, że konstatacja ta w najmniejszym stopniu nie oznacza relatywizowania tych zbrodni. Przedawnienie ścigania nie zmniejsza stopnia winy sprawców ani cierpień ofiar zbrodni. W świetle wiedzy, którą zebraliśmy w toku pro-



wadzonych śledztw, można powiedzieć, że ofiarami byli również przypadkowi Niemcy rozstrzelani dlatego, że poszczególni polscy sprawcy wskazywali ich jako potencjalnych dywersantów, kierując się w istocie osobistą nienawiścią do znanych sobie ofiar, wynikającą z rzeczywistych czy urojonych krzywd z ich strony. Mam w pamięci relację świadka, który mówił, że 3 września został zastrzelony Niemiec – piekarz z ulicy, przy której świadek mieszkał, nielubiany za swą wyniosłość. Później, po wkroczeniu Niemców do Bydgoszczy, żona zamordowanego piekarza zapowiedziała, że wszyscy polscy mężczyźni z tej ulicy zostaną rozstrzelani za to, że wskazano jej męża jako niemieckiego dywersanta. Zabójstwo owego niemieckiego piekarza było oczywistą zbrodnią, choć nie może być dziś przedmiotem śledztwa z tego względu, że nie stanowiło ono ani zbrodni wojennej, ani zbrodni przeciwko ludzkości i jako „zwykłe zabójstwo” uległo przedawnieniu.

B.P. – Jak je odróżnić od zabójstw, które mieszczą się w pojęciu zbrodni przeciwko ludzkości?

W.K. – Postępujemy się w tym celu kryterium ustawowym. Zabójstwo staje się zbrodnią przeciwko ludzkości, gdy powodem zabójstwa jest przynależność ofiary do określonej grupy narodowej, politycznej, społecznej, rasowej lub religijnej. Jeżeli powodem zabójstwa jest osobista nienawiść sprawcy do konkretnej osoby – ofiary zabójstwa, chęć odwetu, zemsty za jakieś rzeczywiste czy wymagane krzywdy, to jest to „zwykłe zabójstwo”, choćby było popełnione z motywów zasługujących na szczególne potępienie. Drugim elementem ustawowej definicji zbrodni przeciwko ludzkości jest dokonywanie tych zbrodni albo ich inspirowanie przez władzę państwa lub też ich tolerowanie. Zabójstwa dokonane na mieszkańcach Bydgoszczy narodowości niemieckiej popełnione przez polskich sprawców przy wykorzystaniu sytuacji, jaka panowała w tym mieście w dniach 3, 4 września 1939 r. nie stanowiły tak rozumianych zbrodni przeciwko ludzkości.

B.P. – W kontekście wydarzeń w Bydgoszczy przywołuje się jednak czasem Jedwabne, a w tej ostatniej sprawie IPN – KŚZpNP wszczął śledztwo.

W.K. – Pragnę wyraźnie powiedzieć, że nie ma żadnego podobieństwa ocen prawnych zdarzeń z 3 i 4 września 1939 r. w Bydgoszczy do oceny prawnej tego, co się stało 10 lipca 1941 r. w Jedwabnem. W Jedwabnem zamordowano obywateli polskich narodowości żydowskiej, kierując się jedynym kryterium – byli Żydami. Celem polskich sprawców było zamordowanie wszystkich spędzonych na rynek w Jedwabnem Żydów z tej miejscowości: mężczyzn, kobiet, młodzieży, dzieci i niemowląt. Zbrodni tej dokonano z inspiracji władz niemieckich reprezentowanych w dniu zbrodni przez żandarmów z posterunku w tej miejscowości. W Bydgoszczy dokonywano egzekucji na Niemcach z powodu uzasadnionego podejrzenia o branie udziału w dywersji w trakcie działań wojennych, a także



z różnych innych pobudek odnoszących się do konkretnych osób – ofiar zabójstw. Owe zabójstwa niewinnych ofiar, dokonywane na kanwie zdarzeń, nie były jednak ani przez polskie władze inspirowane, ani tolerowane. Z tego też względu nie znajduję żadnego podobieństwa w elementarnych ocenach prawnych tego, co się stało w Jedwabnem, i tego, co się stało w Bydgoszcy.

Czymś innym są zbrodnie niemieckie popełniane od 5 września 1939 r. w postaci masowych egzekucji Polaków, seryjnie skazywanych na kary śmierci przez niemieckie sądy specjalne. W sprawach tych zbrodni prowadzimy śledztwa. Po wejściu Niemców 5 września 1939 r. do Bydgoszcy dokonywano masowych egzekucji Polaków. Niemcy nie mieli prawa stawiać przed swoimi sądami i skazywać według własnego prawa Polaków, którzy uczestnicząc w zwalczaniu niemieckiej dywersji, zyskali status kombatantów.

P.K. – Niemcy też chyba nie mieli prawa stawiać przed sądami ani doraźnymi, ani specjalnymi tych sprawców, którzy dopuścili się zwykłych zabójstw.

W.K. – Oczywiście.

B.P. – Była to przecież właściwość sądu w Bydgoszcy.

W.K. – Polska ludność cywilna, której przysługiwał status strony walczącej, mogła być potraktowana tylko jako jeńcy wojenni, których się nie sądzi za zabójstwa przeciwnika. Dlatego też te procesy przeciw Polakom były bezprawne, a skazania na karę śmierci zbrodnicze. O tym, że wydawano wyroki śmierci na polskich mieszkańcach Bydgoszcy, w istocie za to, że byli Polakami, mogą świadczyć m.in. dowody, których dostarczyli sami Niemcy.

B.P. – Jakie to dowody?

W.K. – Z jednej z notatek niemieckiej policji w Bydgoszcy wynika, że ta sama niemiecka mieszkanka po raz kolejny wskazuje następujących Polaków jako zabójców swego męża, oczekując ich aresztowania i stracenia. Z notatki wynika jednakże, że dla jej autora owa Niemka nie jest wiarygodnym świadkiem, gdyż sam wątpi, by wszyscy wskazywani przez nią Polacy mogli przyczynić się do śmierci jej męża. Dowody na zbrodniczy charakter działalności niemieckich sądów w Bydgoszcy znajdujemy także w aktach polskich procesów, w których skazywano hitlerowskich zbrodniarzy.

B.P. – Dochodzimy jednak do sprawy dość trudnej. Czy możemy dziś bez wątpliwości akceptować wyroki polskich sądów z lat czterdziestych w sprawach takich właśnie jak wydarzenia w Bydgoszcy? Bądź co bądź te same sądy skazały na śmierć czy długoletnie kary więzienia wielu zasłużonych polskich patriotów.





W.K. – Najpierw chcę powiedzieć o atmosferze panującej w pierwszych tygodniach po wejściu Niemców do Bydgoszczy. Szefem policji w Bydgoszczy został niejaki Max Henze, osądzony i skazany na karę śmierci przez polski sąd. Wyrok wykonano. Jesienią 1939 r. Henze wygłosił na rynku w Bydgoszczy porywające przemówienie do policjantów i członków Selbstschutzu, mówiąc: „my, starzy żołnierze Führera, przybyliśmy tu, by zrobić porządek z polskimi podludźmi. Wyciągniemy ich z ich nor i zlikwidujemy”. Przemówienie wydrukowała niemiecka gazeta, której egzemplarz okazał prokurator w procesie przeciwko Maxowi Henze przed polskim sądem. Oskarżony przekonywał sąd, że wszystkim winni są dziennikarze, gdyż przekręcili sens jego słów, które nie wyrażały wrogości ani nawet niechęci do Polaków. – Gdy przeczytałem to przemówienie – wywołał Henze przed sądem – poradziłem się mojego doradcy prawnego, co mogę uczynić wobec wydrukowania mojego przemówienia w sposób zmieniający jego sens. Adwokat miał odpowiedzieć: „nic pan nie może zrobić, Herr Kommandant, ponieważ w Bydgoszczy jeszcze nie obowiązuje nasza niemiecka ustawa prasowa, która pozwoliłaby panu wystąpić z wnioskiem o sprostowanie”. Wobec tego – konkludował Max Henze – nie może on ponosić odpowiedzialności za słowa włożone mu w usta przez nierzetelnych prasowych sprawozdawców.

P.K. – Powinien zwrócić się do polskiego adwokata, żeby według polskiego prawa zażądać ukarania nierzetelnych dziennikarzy.

W.K. – Mówię o tym dlatego, że chcę przy okazji uzasadnić pewną tezę, która jest dla nas ważna. Procesy Niemców toczony przed polskimi sądami po wojnie były uczciwymi procesami, pomimo że był to przecież okres stalinizmu, w którym seryjnie wydawano wyroki śmierci na najlepszych Polaków, bohaterów walki z niemiecką okupacją. Taka ocena opiera się na aktach procesów sprawców zbrodni nazistowskich, które na szczęście się zachowały i które zgromadził IPN. Lektura tych akt ukazuje, z jaką cierpliwością sądy wysłuchiwały wszystkich argumentów podnoszonych przez oskarżonych w pełni korzystających ze swego prawa do obrony. Sąd nie przerywał także Maxowi Henze – wszystkie jego argumenty zostały wysłuchane i przytoczone w protokole, także i takie, które miały charakter groteskowy. Dziękuję Bogu, że sądy w tym okresie z takim pietyzmem prawnym sądziły sprawców zbrodni nazistowskich i przeżywam szczególną satysfakcję, gdy w aktach procesów znajduję nazwisko prokuratora Mieczysława Siewierskiego, mistrza mojego mistrza, którym był prof. Jan Waszczyński. Mieczysław Siewierski pracując na Uniwersytecie Łódzkim, był jednocześnie prokuratorem Najwyższego Trybunału Narodowego. Prof. Siewierski był jednym z tych, którym dziś zawdzięczamy, że polskie procesy sprawców zbrodni nazistowskich spełniały warunki uczciwych procesów, określane obecnie w państwie prawnym. W aktach procesu Alberta Forstera, gauleitera Gdańska i Prus Zachodnich, znalazłem opinię prokuratora Siewierskiego, że korzystanie przez prezydenta Bolesława Bieruta

z prawa łaski w stosunku do Forstera nie byłoby uzasadnione, gdyż dowiedziano oskarżonemu, zgodnie z wymogami prawa, popełnienie najcięższych zbrodni. Prokuratora Siewierskiego wkrótce po procesie Forstera aresztowano, a z akt, które zgromadził IPN, wynika, że Albert Forster i jego oskarżyciel Mieczysław Siewierski znaleźli się na tym samym oddziale więzienia na Mokotowie. Kiedy przywieziono Alberta Forstera na Mokotów w celu wykonania na nim wyroku śmierci w dniu 28 lutego 1952 r., w tym samym więzieniu siedział skazany na karę pięciu lat więzienia jego niedawny oskarżyciel Mieczysław Siewierski. Jakież to wstrząsający paradoks, pokazujący realia naszego sądownictwa z tego okresu.

B.P. – O co właściwie oskarżano prokuratora Siewierskiego? To może wątek poboczny, ale bardzo ciekawy, przywodzący na myśl pamiętne Rozmowy z katem Kazimierza Moczarskiego.

W.K. – Proces przeciwko Mieczysławowi Siewierskiemu był absurdalny – zarzucono mu, że jako przedwojenny prokurator oskarżał komunistów, a w okresie swej pracy w Ministerstwie Sprawiedliwości wyznaczał sędziów do udziału w komisjach wyborczych przeprowadzających wybory na mocy „konstytucji o charakterze faszystowskim” z 1935 r. W ten sposób oskarżony Siewierski miał przyczyniać się do faszyzacji życia w kraju, za co sąd skazał go na podstawie dekretu o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego.

W czasach stalinowskich zapadały takie wyroki. Jest współcześnie niestychanie trudne do wytłumaczenia, zwłaszcza moim niemieckim rozmówcom, którzy mnie o to pytają, że procesy przeciwko sprawcom zbrodni nazistowskich skazywanym w okresie stalinizmu w Polsce były procesami uczciwymi. W takich rozmowach proszę, by pytano o konkretny proces. Wtedy można sięgnąć do akt i sprawdzić, jak ten proces przebiegał. Przytłaczająca większość procesów przeciw zbrodniarzom nazistowskim była prowadzona uczciwie, choć stwierdzenie to nie zawsze przekonuje moich rozmówców, którym trudno jest pojąć polski paradoks: w tym samym czasie toczą się uczciwe procesy, w których oskarża Siewierski, a wkrótce odbywa się jego własny proces z takimi zarzutami, jakie państwu cytowałem. Jednakże nie ci sami sędziowie sądzili Forstera i Siewierskiego, nie ci sami prokuratorzy oskarżali.

P.K. – Jak postępowano z dywersantami złapanymi w Bydgoszczy? Czytając zbiór relacji wydanych przez Edwarda Serwańskiego na początku lat osiemdziesiątych, natrafiłem na informację, że nie wszyscy dywersanci byli rozstrzeliwani od razu na ulicy, tylko gromadzono ich w punktach zbórnych, gdzie zajmowali się nimi wojskowi prawnicy, którzy prowadzili formalne śledztwa. Czy udało się dotrzeć do jakichś akt dotyczących właśnie tych śledztw? Czy jakieś zeznania świadków się zachowały, czy jakieś wyroki ewentualnie zostały spisane?



W.K. – Mamy relacje świadków, które wskazują na takie właśnie postępowanie i nie mam wątpliwości, że są to relacje prawdziwe. Także sami niemieccy świadkowie mówili, że zwalniano niektórych z zatrzymanych Niemców, po krótkim postępowaniu, którego celem było ustalenie, czy chodzi o dywersantów, czy też osoby przypadkowo zatrzymane. Relacje te mają ważne znaczenie dla formułowania ocen prawnych, o których mówimy z tego względu, że dowodzą, iż polskie władze nie dokonywały zabójstw niemieckich mieszkańców Bydgoszczy z powodu ich przynależności narodowościowej ani też zabójstw takich nie inspirowały, ani nie tolerowały, co sprawia, że zabójstwa faktycznie dokonane nie miały charakteru zbrodni przeciwko ludzkości. Dziś wracamy do śledztw w sprawach zbrodni naziwskich popełnionych na Polakach masowo rozstrzeliwanych i skazywanych na śmierć za udział w zdarzeniach 3 i 4 września, także z tego względu, że śledztwa te zawiesiliśmy w momencie przekazania ścigania władzom niemieckim. W większości wypadków śledztwa są niezakończone w tym sensie, że nie otrzymywaliśmy końcowych postanowień niemieckich prokuratur, które zawierałyby uzasadnienie prawne ocen tych zdarzeń.

B.P. – Chciałabym w naszej rozmowie przypomnieć dialog dwóch postaw dotyczących „bydgoskiej krwawej niedzieli”: prof. Włodzimierza Jastrzębskiego w opublikowanej ostatnio jego wypowiedzi i niemieckiego autora Güntera Schuberta. Czy ten swoisty dialog w jakikolwiek sposób zmienia widzenie, a może inaczej, czy ujawnia jakieś fakty, które nie były jeszcze przedmiotem badania przez Główną Komisję?

W.K. – W moim przekonaniu dialog ten nie zmienia niczego z tego, co tutaj powiedziałem na temat ocen prawnokarnych. Natomiast dialog ten jest źródłem istotnej faktografii zabójstw niemieckich ofiar, które nie stanowią przedmiotu śledztwa z powodów przedstawionych w naszej rozmowie. Jest ważne, byśmy wiedzieli, ile dokonano „zwykłych zabójstw”, które dziś nie mogą być ścigane z powodu przedawnienia. Ważne jest, byśmy wiedzieli, ile sprawców tych zbrodni powinno być osądzonych przez polski wymiar sprawiedliwości na podstawie polskiego kodeksu karnego, zanim upłynął termin przedawnienia. W atmosferze zdarzeń z 3 i 4 września w Bydgoszczy mogły dochodzić do głosu także najgorsze ludzkie instynkty. Warto o tym wiedzieć.

B.P. – Pana wypowiedź zawiera ocenę wydarzeń przez prawnika karnistę. Odrębnym zagadnieniem jest ich ocena moralna, a jeszcze innym poznanie wszystkich uwarunkowań – społecznych, politycznych itd. – towarzyszących tym wydarzeniom. Porządków tych nie należy mieszać.

W.K. – To bardzo trafna refleksja. Każde odkrycie nowego dowodu, dokumentu wymaga oceny ich wartości dowodowej uwzględniającej ową wielowarstwowość zdarzeń, których dotyczą. Ale takie ustalenia

czynimy po to, by odpowiedzieć na pytanie, jaką prawdę prawną ten dokument potwierdza albo jaką neguje. Z całą pewnością badanie dowodu czy dokumentów wyrwanych z kontekstu rzeczywistości, w której powstawały, nie pozwoli ani na umocnienie, ani też na zmianę ocen prawnych. Pragnę jednak w tym miejscu zaznaczyć, co różni pracę historyka od pracy prokuratora. Prowadząc studia historyczne nad zdarzeniami, można ich ocenę sformułować w trakcie dociekań, a nawet po ich zakończeniu w podsumowaniu studiów. Prokurator zaś, wydając postanowienie o wszczęciu śledztwa, w jego uzasadnieniu musi sformułować i uzasadnić ocenę prawną tego, co stanowi przedmiot śledztwa, musi wykazać, że dowody i dokumenty, którymi dysponuje, uzasadniają kwalifikację prawną przyjętą przez niego za punkt wyjścia dla śledztwa.

B.P. – Bywa jednak, że ocena wartości odnajdywanych dokumentów zależy od interpretacji.

W.K. – Zgoda, jeżeli przez pojęcie interpretacji rozumieć będziemy wykładnię treści dokumentu i jej ocenę dokonaną na podstawie normy prawnej. Niech mi będzie wolno posłużyć się przykładem z ubiegłego tygodnia. Oto zwrócił się do Głównej Komisji obywateli amerykański narodowości niemieckiej, mówiąc – jestem synem oficera z niemieckiej łodzi podwodnej U-35, której dowódca, kapitan Werner Lott, był w brytyjskiej niewoli. Dowiedziałem się – wywodził mój rozmówca – że w IPN coś wiecie na temat rozmów polskich i brytyjskich władz z władzami III Rzeszy o zamianie tego dowódcy na aresztowanego przez Niemców polskiego oficera. – Po zapoznaniu się z pozytywnymi opiniami o zainteresowanym jako autorze przygotowywanej do druku książki o U-35, zdecydowałem się mu pomóc. W korespondencji, którą prowadziłem w tej sprawie z zagranicznymi partnerami, pojawiło się określenie „bohaterski kapitan Lott”. Musiałem zaprotestować wobec przymiotnika „bohaterski”, a to dlatego, że kapitan Kriegsmarine Lott uczestniczył w wojnie napastniczej mającej przynieść tysiącletnie panowanie zbrodniczego państwa, jakim była III Rzesza. Dzięki historykom oczywiście wiem, że dowodzony przezeń okręt został zatopiony 29 listopada 1939 r. na Morzu Północnym przez brytyjskie niszczyciele *HMS Kingston*, *HMS Icarus* i *HMS Kashmir*. Wcześniej zaś U-35 zatopił grecki statek s/s *Diamatis* niemal demonstracyjnie przestrzegając wszystkich konwencji dotyczących wojny na morzu, a więc ostrzegając i ratując załogę. Okręt Lotta trafił następnie na okładkę amerykańskiego magazynu „Life”, a jego historia posłużyła do reklamy... amerykańskiej gumy do żucia. Trudno o lepszy przykład niemieckiej propagandy wojennej. Nie do pomyslenia jest jednak, bym wpisał się w konwencję słowną tej propagandy, choćby milcząco akceptując określenie „bohaterski kapitan” z tego tylko powodu, że nie mamy dokumentów, które wskazywałyby na popełnienie przez niego, jako sprawcę, zbrodni wojennych na morzu. Pomoc merytoryczna, jakiej udzieliliśmy zainteresowanemu, nie dotyczyła zatem „bohaterskiego” niemieckiego kapitana,



lecz wskazywała, że miał on być wymieniony na bohaterskiego w naszym rozumieniu, polskiego kapitana kontrwywiadu Antoniego Kasztelana, obrońcę Helu, który z pogwałceniem jego statusu jeńca wojennego został bezprawnie aresztowany przez gestapo i skazany na trzykrotną karę śmierci za dokonywanie aresztowań niemieckich szpiegów w okresie przedwojennym w Gdyni. Niemieckie akta śledztwa, prowadzonego przeciwko kapitanowi Kasztelanowi, pokazują z jednej strony wszystkie aspekty bezprawia, z drugiej zaś strony bohaterską postawę skazanego wobec niego. Bezprawie to było tak oczywiste, że – jak wynika z końcowej części zachowanego wyroku – jeden z trzech niemieckich sędziów zgłosił *votum separatum*. To dla mnie dokument o wielorakim znaczeniu, dowodzi on bowiem nie tylko oczywistości czynionego przez sąd bezprawia, ale i faktycznej możliwości przeciwstawienia się temu bezprawiu przez jednego z członków składu sędziowskiego. Udostępnione badaczowi tej sprawy dokumenty ukazują, że rozmowy między Brytyjczykami a Niemcami w sprawie zamiany kapitana Kasztelana na kapitana Lotta na pewnym etapie ich zaawansowania zostały przerwane decyzją Joachima von Ribbentropa, niemieckiego ministra spraw zagranicznych, który zakazał ich kontynuowania, wskazując na „nieekwiwalentność” zamiany, w tym znaczeniu, że Polak skazany na trzykrotną karę śmierci przez niemiecki sąd to osoba o zbyt małym ciężarze gatunkowym, by płacić nią za uwolnienie z brytyjskiej niewoli tak wielkiej postaci, jak dowódca niemieckiego U-boat. Niemiecka dokumentacja śledztwa i procesu przeciwko kapitanowi Antoniemu Kasztelanowi – w intencji jej autorów – powstała jako dowód, że oskarżonego skazano i zgilotynowano zgodnie z prawem. Dla mnie dokumentacja ta jest dowodem jeszcze jednej niemieckiej zbrodni przerażającej w swej niegodziwości i patologii myślenia niemieckich nadludzi. W działalności IPN stale natrafiamy na takie dokumenty dotyczące zdarzeń z przeszłości, których rzeczywisty sens prawny ustalić można tylko w drodze interpretacji uwzględniającej równocześnie wiele warstw wydarzeń, na co trafnie zwracają państwo uwagę w naszej rozmowie. Tak też ocenić należy szczególnie dowód w sprawie wydarzeń w Bydgoszczy w dniach 3 i 4 września, jakim jest album chwały Selbstschutzu.

B.P. – Zdjęcia, które się w nim znajdują, są rzeczywiście wstrząsające. Kto w rzeczywistości jest na tych zdjęciach?

W.K. – Zdjęcia te przedstawiają zwłoki niemieckich ofiar „polskich zbrodni”, a także polskich „podżegaczy” i „morderców”, z których część zidentyfikowaliśmy jako wybitnych przedstawicieli polskiej inteligencji, w tym nauczycieli i duchownych. Niektóre fotografie zwłok „ofiar”, ze względu na zauważalny stan rozkładu, wskazują, że zwłoki te znacznie dłużej musiały spoczywać w ziemi aniżeli przez krótki czas między zakopaniem ich przez „polskich sprawców” a odkryciem przez Niemców, co miało nastąpić zaraz po zajęciu przez nich Bydgoszczy. Jestem przekonany, że album ten powstał dla propagandowego uzasadnienia zbrodni na Pola-

kach zamordowanych w ramach wcześniej przygotowanej akcji likwidacji polskiej inteligencji. Album kończy się bardzo znamienym hasłem: „to, co czynisz dla swej ojczyzny i swego narodu, jest zawsze słuszne”.

Pytałem Dietera Schenka, dlaczego w grudniu 1939 r. rozwiązano Selbstschutz. Wyjaśniał mi, że Selbstschutz poczuł się na tym terenie tak silny, że przestał słuchać zarówno policji, jak i SS. Jego komanda morderców działała na własną rękę, nie podporządkowując się zwierzchności, dlatego organizacja została rozwiązana, a najsprawniejsi wykonawcy zbrodni wcieleni do SS. W czasie swej działalności Selbstschutz odegrał wiodącą rolę w wymordowaniu 60 tys. Polaków. Schenk poczynił bardzo istotne ustalenia: w zamordowaniu owych 60 tys. Polaków współdziałało około 20 tys. niemieckich sprawców, z których 1701 zostało zidentyfikowanych z nazwiska w 258 prowadzonych po wojnie niemieckich śledztwach. 233 śledztwa zostały umorzone. Tylko w dwunastu wypadkach doszło do sądowego osądzenia zbrodni, za które skazano 10 sprawców. Autor tej statystyki Dieter Schenk podsumowuje ją następująco: *Das ist eine Schande für die deutsche Justiz* (To hańba niemieckiego wymiaru sprawiedliwości). Gdyby nie przeprowadzone w Polsce procesy Forstera, Hildebranta, Henze, trudno byłoby mówić o odpowiedzialności kogokolwiek za ten akt ludobójstwa.

B.P. – Jakie jest obecne stanowisko niemieckiego wymiaru sprawiedliwości wobec tego typu spraw?

W.K. – Pełną zgodność ocen prawnych zbrodni nazistowskich prokuratorzy polskiej Głównej Komisji uzyskiwali zawsze w toku współpracy z prokuratorami niemieckiej Centrali Ścigania Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu. Prokuratorzy tej Centrali – wybitni prawnicy karniści, prowadzili wstępne śledztwa na podstawie ustaleń i dokumentacji przekazywanej z Polski. Po zakończeniu wstępnego postępowania i sformułowaniu kwalifikacji prawnej w kategoriach zbrodni narodowosocjalistycznej prokuratorzy z Ludwigsburga przekazywali śledztwa do dalszego prowadzenia właściwym prokuratorom powszechnym, które umarzały większość postępowań, w szczególności z powodu niestwierdzenia cech zbrodniczego działania (np. we wszystkich sprawach zabójstw ludności cywilnej dokonanych przez Wehrmacht we wrześniu 1939 r. w Polsce) lub z powodu niewykrycia albo śmierci sprawców. Przed miesiącem spotkałem się z prokuratorami z Ludwigsburga z okazji czterdziestopięciolecia działalności Centrali w celu omówienia spraw bieżącej współpracy. Od końca lat sześćdziesiątych w Republice Federalnej Niemiec ścigana jest tylko jedna postać zbrodni nazistowskiej – morderstwo. Dlatego też we wszystkich przekazywanych z Polski śledztwach staramy się wskazać, że dokonywanym przez niemieckich sprawców zabójstwom towarzyszyły niskie pobudki lub okrutny sposób uśmiercania ofiar, bądź też podstęp sprawców. Przy okazji rocznicy działalności Centrali w Ludwigsburgu niemiecka prasa przypomniała o koktajlach Mołotowa, którymi nieznanymi sprawcy ob-



rzucali budynek Centrali, bombie podłożonej pod drzwiami jej siedziby, a także o publicznej wypowiedzi nadburmistrza tego miasta, który nazwał Centralę plamą hańby na pięknym Ludwigsburgu. Sądzę, że zarówno stan prawny w Niemczech, jak i praktyka ścigania zbrodni nazistowskich nie ulegną zmianie. Odnotować jednak trzeba, że w 1998 r. Bundestag uchwalił ustawę o uznaniu za nieważne z mocy prawa wyroków wydanych przez nazistowskie sądy w czasie II wojny światowej. Wyroki te uznano za nieważne – jak napisano w komentarzu do ustawy – ryczałtowo, ale stwierdzenie nieważności konkretnego wyroku wydaje niemiecka prokuratura, wystawiając stosowny dokument. Łączyłem tę ustawę w pewnej mierze ze sprawą unieważnienia w maju 1998 r. przez niemiecki sąd wyroków skazujących bohaterskich obrońców Polskiej Poczty w Gdańsku, która to sprawa ukazała pełny wymiar bezprawia czynionego przez niemieckie sądy. Okazało się, że – co wnoszę z rozmów z niemieckimi prawnikami – jedną z rzeczywistych przyczyn uchwalenia tej ustawy przez Bundestag był fakt pozostawiania w mocy wyroków skazujących niemieckich żołnierzy w ostatnich miesiącach wojny za dezercję lub defetyzm. Skazanym ani ich rodzinom nie przysługiwały po wojnie świadczenia z tytułu rent i emerytur wojskowych. Intencją niemieckiego ustawodawcy było przeto uznanie tych wszystkich wyroków za nieważne z mocy prawa po to, aby otworzyć drogę do stosownych świadczeń dla osób uprawnionych. Niezależnie jednak od intencji ustawodawcy leżących u podstaw ustawy, korzystamy z jej przepisów, występując z wnioskami o stwierdzenie nieważności wyroków skazujących Polaków, wydanych przez nazistowskie sądy w okresie okupacji. Problem proceduralny, przed którym stanęliśmy, jest następujący: niemiecka ustawa mówi, że właściwa do wydania oświadczenia o nieważności konkretnego wyroku jest ta prokuratura, w której okręgu działał sąd, jaki wydał ten wyrok.

B.P. – Jeżeli te wyroki były wydawane na terenie okupowanej Polski, to która niemiecka prokuratura jest właściwa do rozpatrzenia polskiego wniosku?

W.K. – Wypracowaliśmy wspólnie z prokuratorami z Ludwigsburga następujący tryb postępowania: przekazujemy im treść wyroku niemieckiego sądu z naszą oceną prawną, oni zaś kierują polski wniosek za pośrednictwem Prokuratora Generalnego do Sądu Najwyższego Republiki Federalnej, który wyznacza jedną z niemieckich prokuratur powszechnych do rozpatrzenia polskiego wniosku. W jednym z pierwszych postępowań wyznaczono prokuraturę w Goerlitz jako właściwą do rozpoznania naszego wniosku o uznanie za nieważny konkretnego wyroku skazującego na karę śmierci. Do niemieckiej ustawy załączony jest wykaz aktów prawnych, a także konkretnych przepisów, na których podstawie wydany wyrok uznawany jest za nieważny z mocy prawa. Konsultujemy z prokuratorami z Ludwigsburga naszą argumentację prawną, opartą na sformułowaniu niemieckiej ustawy zawierającym stwierdzenie, że uznaje

się za nieważne wyroki wydane „w szczególności” na podstawie wymienionych dalej w treści ustawy przepisów. Owo sformułowanie „w szczególności” otwiera drogę do argumentacji, według której także inne przepisy, jakie powołał nazistowski sąd za podstawę skazania, choć nie wymienione *expressis verbis* w ustawie z 1998 r., czynią skazanie nieważnym. Przygotowujemy wnioski o stwierdzenie nieważności wyroków skazujących polskich mieszkańców Bydgoszczy za zbrodnie popełnione na Niemcach w dniach 3 i 4 września 1939 r. W uzasadnieniu tych wniosków stwierdzone zostanie to, co starałem się w naszej rozmowie wyartykułować, że nie było dopuszczalne stawianie polskich mieszkańców Bydgoszczy przed niemieckimi sądami z tego względu, że oskarżonym o zabójstwa Niemcom przysługiwał status kombatantów – jeńców wojennych. Niezależnie zatem od podstaw prawnych skazania, powołanych przez niemieckie sądy, wyroki te uznać należy za nieważne. Jeżeli zatem w publikacjach, które ukazały się w ostatnim czasie, wskazywano, że polscy mieszkańcy Bydgoszczy gremialnie dopuścili się 3 i 4 września zabójstw niewinnych Niemców, które generalnie jawią się w kategoriach zbrodni morderstwa, gdyż nie było żadnej niemieckiej dywersji w tym mieście, to z takimi stwierdzeniami nie zamierzam podejmować żadnej polemiki.



Witold Kulesza urodził się 4 maja 1950 r. w Łodzi. Wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej, dyrektor Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, zastępca Prokuratora Generalnego RP.

Jest profesorem Uniwersytetu Łódzkiego, specjalistą w zakresie prawa karnego. Tytuł doktora otrzymał w 1982 r. z wyróżnieniem miesięcznika „Państwo i Prawo”, zaś habilitację w 1992 r., także z nagrodą wspomnianego miesięcznika. Kilkaście lat współpracował (społecznie) z Okręgową Komisją Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi. W latach 1994–1998 był jej przewodniczącym.

16 marca 1998 r. powołano prof. Witolda Kuleszę na stanowisko dyrektora Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytutu Pamięci Narodowej.



KONIEC MITU „BYDGOSKIEJ KRWAWEJ NIEDZIELI”

Od ponad sześćdziesięciu lat historycy polscy i niemieccy całkowicie odmiennie przedstawiają wydarzenia, do jakich doszło 3 września 1939 r. w Bydgoszcy, nazwane w propagandzie III Rzeszy „bydgoską krwawą niedzielą”. Można odnieść wrażenie, że ma się do czynienia z opisem dwóch różnych wydarzeń. Różnice dotyczą zasadniczych faktów, takich jak strzały Niemców „zza węgła” do wycofujących się oddziałów Wojska Polskiego i polskiej ludności cywilnej Bydgoszcy, czyli niemieckiej dywersji, i liczba ofiar wśród bydgoskich Niemców.

Przełomem w niemieckiej historiografii dotyczącej pierwszych dni września 1939 r. w Bydgoszcy jest książka Güntera Schuberta *Bydgoska krwawa niedziela. Śmierć legendy*, którą po 14 latach od jej wydania w Niemczech przetłumaczono na język polski. Autor, z wykształcenia historyk, z zawodu dziennikarz, wbrew dotychczasowemu stanowisku niemieckiej historiografii udowodnił, że 3 września 1939 r. w Bydgoszcy doszło do „powstania”¹, które przygotowali dywersanci z III Rzeszy. Do dywersantów przybyłych z Niemiec przez Gdańsk mieli dołączyć niektórzy mieszkańcy Bydgoszcy i utworzyć wraz z nimi kilkusobowe grupy, które rozlokowane w kilku punktach miasta rozpoczęły w tym samym czasie ostrzeliwanie wycofujących się polskich żołnierzy. „Powstańcy” mieli szybko przemieszczać się z miejsca na miejsce, by nie wpaść w ręce Polaków i doczekać do chwili wkroczenia oddziałów niemieckich. Natychmiast po wybuchu „powstania”, w niedzielę 3 września 1939 r., polscy żołnierze przechodzących przez miasto 9., 15. i 27. Dywizji Piechoty, świeżo sformowanego w Bydgoszcy 82. Batalionu Wartowniczego oraz cywilni ochotnicy przystąpili do tłumienia dywersji. Strzelanina ogarnęła ulice Bydgoszcy w wąskim pasie wzdłuż linii z północy na południe, a w jej czasie zdarzało się, że polscy żołnierze omyłkowo celowali do swoich. W poszukiwaniu dywersantów aresztowano osoby narodowości niemieckiej, na których ciążył choćby cień podejrzenia, a gdy znaleziono przy nich broń, rozstrzeliwano je na miejscu. Dochodziło także do mordowania niewinnych Niemców. Większość aresztowanych nie brała udziału w strzelaninie. Około godziny 16.00 strzały ucichły, sytuacja wyglądała na opanowaną, wojska polskie mogły dalej swobodnie wycofywać się przez Bydgoszcz. W trakcie walk poległo od 30 do 45 żołnierzy polskich i od 90 do 110 osób narodowości niemieckiej. Następnego dnia, w poniedziałek 4 września 1939 r., strzały „zza węgła” rozległy się ponownie, jednak walki toczyły się wzdłuż linii z zachodu na wschód. W Bydgoszcy tego dnia nie było już polskich władz, które ewakuowały się poprzedniej nocy. Przez miasto ciągnęli ostatni żołnierze z rozbitych polskich jednostek, to oni wraz z ochotniczą Strażą Obywatelską przystąpili do krwawego tłumienia resztek niemieckiego „powstania”. Niemców podejrzanych o strzelanie do Polaków rozstrzeliwano na miejscu. Chaos opanowali dopiero wkraczający do Bydgoszcy 5 września 1939 r. niemieccy żołnierze 50. Dywizji Piechoty.

Przełom w niemieckich poglądach

Opis dywersji w Bydgoszcy przedstawiony przez Güntera Schuberta stanowi przełom w poglądach niemieckich historyków, gdyż wcześniej zaprzeczali oni doniesieniom, że ludność nie-

¹ Określenie „powstanie” w języku niemieckim jest terminem neutralnym, dalekim od emocjonalnego zabarwienia.



Fot. ze zbiorów IPN (zdjęcia z albumu „Selbstschutz – Westpreußen”)

1 listopada 1939 r. przed egzekucją pięćdziesięciu polskich nauczycieli z Bydgoszczy



miecka strzelała do polskich wojsk. Dochodzenie w sprawie wydarzeń z 3 i 4 września 1939 r. strona niemiecka rozpoczęła jeszcze w czasie kampanii wojennej w Polsce. Zajęta się nim głównie specjalnie powołana Placówka Badawcza Wehrmachtu ds. Naruszenia Prawa Międzynarodowego (WUSt). Minister propagandy III Rzeszy Joseph Goebbels zadbał o to, aby „bydgoska krwawa niedziela” została przedstawiona w sposób poruszający, stanowiła przeciwwagę dla okrucieństw popełnionych przez Niemców we wrześniu 1939 r. w Polsce. Już w listopadzie 1939 r. ukazał się pierwszy zbiór dokumentów dotyczący mordów popełnianych na członkach mniejszości niemieckiej w Polsce, w którym mówiono o 5437 zamordowanych Niemcach. Kilka miesięcy później w kolejnym wydaniu owego zbioru liczba ta uległa „cudownemu rozmnożeniu” do 58 tys. osób. Pierwsze publicystyczne opisy „bydgoskiej krwawej niedzieli”, powstałe m.in. na podstawie wyników prac specjalnej komisji Policji Kryminalnej Rzeszy kierowanej przez dr. Bernda Wehnera, przypisywały wojsku polskiemu mordy popełnione na niemieckich cywilach. Było to trochę inne stanowisko od tego, jakie przyjęła nazistowska propaganda lansująca wersję o mordach ze strony „polskich band”. Historiografia niemiecka po roku 1945 poświęcała „bydgoskiej krwawej niedzieli” niewiele miejsca. Przeważnie zajmowali się tym zagadnieniem historycy związani z ziomkostwami wysiedlonych z Pomorza Niemców, którzy pisali o masakrze ludności niemieckiej, zaprzeczając zarazem jakiegokolwiek prowokacji z jej strony.

Takiemu sposobowi przedstawienia wydarzeń z 3 i 4 września 1939 r. sprzeciwiała się strona polska. Oficjalne badania nad „bydgoską krwawą niedzielą” datują się od 1945 r., kiedy wiceprokurator ówczesnej Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce Kazimierz Garszyński rozpoczął przesłuchania świadków. Garszyński potwierdził, że Niemcy 3 września strzelali do wycofujących się polskich żołnierzy z 46 miejsc w Bydgoszczy. Strzały oddawane z wież kościołów i dachów domów sprawiły, że Polacy przystąpili do dławienia dywersji. Liczbę ofiar po stronie ludności niemieckiej ustalono na około trzystu osób. Dalsze śledztwo prowadzili prokuratorzy Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Bydgoszczy, a Instytut Zachodni w Poznaniu na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych podjął własną akcję zbierania relacji i wspomnień. Przede wszystkim na podstawie tych materiałów powstało opracowanie Włodzimierza Jastrzębskiego *Dywersja czy masakra* i jego nieznacznie zmieniona niemieckojęzyczna wersja *Der Bromberger Blutsonntag* (1988). *Legende und Wirklichkeit* (1990), które można określić jako dotychczas najbardziej reprezentatywne dla polskiej opcji przedstawienie wydarzeń bydgoskich.

Wątpliwości i błędy w dotychczasowych hipotezach

Günter Schubert w swojej książce krytycznie analizuje dotychczasową historiografię polską i niemiecką, wskazując na liczne wątpliwości i błędy w opisach „bydgoskiej krwawej niedzieli”. Powołując się na wiele dokumentów, stawia dalsze znaki zapytania lub kategorię odrzucania dotychczasowe hipotezy. Sięga zarówno do relacji niemieckich, jak i polskich. Jednak zdaniem Schuberta nie pozwalają one na ustalenie pełnej prawdy. W zeznaniach niemieckich „powstanie” celowo pominięto, za to nadmiernie eksponowano nienawiść Polaków i niemieckie ofiary, w polskich relacjach zaś podkreślano dywersję bydgoskich Niemców, bez podania informacji o mordach niewinnej ludności cywilnej narodowości niemieckiej. Wartość dokumentarną składanych relacji osłabił też moment ich zbierania. Wiele z nich powstało kilka lub kilkanaście lat po wydarzeniach bydgoskich. Na zeznaniach złożonych przez Niemców jeszcze w 1939 r. ciężą zarówno hasła propagandy nazistowskiej, jak i strach przed terrorem aparatu represji III Rzeszy. Zeznania polskich świadków z 1945 r. zbierano po tragicznych doświadczeniach niemieckiego zmasowanego odwetu z jesieni 1939 r. Poza tym Schubert zwraca uwagę, że: „Świadkowie mieli więc prawie we wszystkich wypadkach okazję do przeczytania i zgłębienia licznych i obszernych opisów wydarzeń, które mieli odtworzyć z własnej pamięci”.

Swoje poglądy na wydarzenia z 3 i 4 września w Bydgoszczy Günter Schubert przedstawił na podstawie dokumentów 15. Dywizji Piechoty Armii „Pomorze”, z których wojenną zawieruchę przetrwało niewiele meldunków, przechowywanych dzisiaj w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie. Autor przyznaje, że meldunki dowódców jednostek do sztabu

dywizji pisano „w momencie, w którym hasło »bydgoska krwawa niedziela« nie istniało jeszcze, i dlatego na pewno nie były obciążone jakimikolwiek polemicznymi zamiarami. Z tego powodu są prawdopodobnie najbardziej wiarygodne ze wszystkich wspomnianych już wypowiedzi, przesłanek i dokumentów”. Żołnierze 15. Dywizji Piechoty wysyłali „na gorąco” meldunki o prowadzonych walkach z dywersantami. Poszlaki świadczące o stratach niemieckich dywersantów do wojska polskiego znalazł Schubert także w zeznaniach złożonych przez polskich oficerów przed niemieckim sądem specjalnym w Bydgoszczy w 1939 r.

Nie udało się Günterowi Schubertowi, jak również nikomu dotąd, odnaleźć dokumentów z planami bydgoskiej dywersji lub raportami z jej przeprowadzenia, jednak jego zdaniem nie oznacza to, że takich dokumentów nie było. Analizując poszlaki, połączył on niektóre fakty w logiczną i przekonującą całość. Według niego „powstanie” wywołali ludzie należący do SD (nazistowskiej Służby Bezpieczeństwa), skierowani do Bydgoszczy z Berlina. Zginęli oni w większości podczas walk ulicznych 3 i 4 września, a „ci, którzy przeżyli, nie nadawali się do odegrania roli zwycięskich gospodarzy witających wchodzące oddziały w niemieckich mundurach”. Zdaniem Schuberta „akcja »bydgoska krwawa niedziela« nie powiodła się w najstraszniejszy z możliwych sposobów. Była ona pomyślana i przeprowadzona jako samodzielny czyn SD. Wprawdzie wojsko było pomocne, podobnie jak na Śląsku, w sprawach logistycznych, ale poza tym akcja nie była koordynowana przez żadną instytucję wojskową”. Udało mu się ustalić, że z rozkazu Heinricha Himmlera organizacja Lebensborn, powołana, aby stworzyć warunki do „hodowli nordyckiej nadrasy”, wypłacała zasiłki i udzielała pomocy matkom, których mężowie byli ofiarami „bydgoskiej krwawej niedzieli”. Schubert odkrył także istnienie „tajnego specjalnego komanda” (*geheimes Sonderkommando Rottler-Kühl*), które działało na początku września 1939 r., a było powołane do szczególnego zadania – zaatakowania wojska polskiego na Pomorzu.

Krytyczne rozważania Schuberta

Próba unicestwienia niemieckiej legendy o wydarzeniach 3 i 4 września 1939 r. podjęta przez Güntera Schuberta podważa niedawne wypowiedzi Włodzimierza Jastrzębskiego (w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” zamieszczonym w dodatku „Duży Format” z 13 sierpnia 2003 r.). Prof. Jastrzębski po kilkudziesięciu latach zajmowania się problematyką okupacji Pomorza diametralnie zmienił swoje dotychczasowe poglądy i obecnie twierdzi, że niemieckiej dywersji w Bydgoszczy nie było, a 3 i 4 września Polakom „puściły nerwy” i w chaosie ewakuacji zaczęli przez pomyłkę strzelać do siebie nawzajem, po czym z bezsilnej zemsty „polskie patrole wyciągają z domów Niemców i na miejscu ich rozstrzelują”. Założenie przez prof. Jastrzębskiego, że „polskie relacje [...] były pisane pod dyktando dawnej tzw. polskiej racji stanu” oraz przyjęcie, iż „relacje niemieckie” to „szczegółowe opisy masakry”, budzi wątpliwości co do wiarygodności jego tezy. Książka Güntera Schuberta *Bydgoska krwawa niedziela. Śmierć legendy* zdaje się natomiast krytyczną analizą relacji zarówno niemieckich, jak i polskich, w której autor przyjmuje, że przy spisywaniu własnych przeżyć zawsze występują emocje, mogące zaciemniać właściwy przebieg wydarzeń. Schubert dokonuje konfrontacji punktów widzenia Niemców i Polaków, uzupełniając ją spójną analizą zachowanych dokumentów źródłowych. W końcu dochodzi do wniosku, że w Bydgoszczy 3 i 4 września 1939 r. Niemcy wywołali „powstanie” i nie ma wątpliwości, że ten fakt w zeznaniach spisanych przez nazistowskie instytucje celowo pomijano.

Praca Güntera Schuberta zbliża nas do prawdy, pozostawia jednak jeszcze wiele problemów do wyjaśnienia. Historycy nadal muszą prowadzić kwerendy w licznych archiwach w Niemczech i Rosji. Oby te żmudne poszukiwania zostały uwieńczone odkryciem kolejnych dokumentów, które umożliwią bardziej jednoznaczną interpretację wydarzeń z początku II wojny światowej.

Günter Schubert, *Bydgoska krwawa niedziela. Śmierć legendy*, Miejski Komitet Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2003, *Das Unternehmen „Bromberger Blutsonntag”. Tod einer Legende*, red. Marian Wojciechowski, Köln 1989.

WYPĘDZENI Z OSIEDLA „MONTWIŁŁA” MIRECKIEGO W ŁÓDZI

Polesie Konstantynowskie należy do ładniejszych miejsc w Łodzi. Jedyne w obecnych granicach miasta pozostałości dawnej puszczy tworzą w tym rejonie duży kompleks rekreacyjno-wypoczynkowy. Nic dziwnego, że w odrodzonej Polsce na północnych jego krańcach postanowiono wznieść nowoczesne osiedle. Wybudowane w latach 1928–1931 i rozbudowywane do chwili wybuchu wojny miało być przeznaczone dla robotników.

Stąd też postanowiono nazwać je imieniem Józefa Anastazego Mireckiego „Montwiłła”¹. Na terenie kolonii², gdzie stanęło ponad dwadzieścia czterokondygnacyjnych bloków o takiej samej elewacji, założono kanalizację i wodociągi (co w Łodzi – poza centrum – było rzadkością) oraz oświetlenie w postaci lamp gazowych. W domach zaś zainstalowano sieć elektryczną. Mieszkania wyposażono w kuchenki gazowe i inne domowe, praktyczne urządzenia. Osiedle miało własne zaplecze handlowo-usługowe i administracyjne. Jego lokale okazały się jednak zbyt drogie dla robotników, dlatego zamieszkała tam lepiej uposażona inteligencja: artyści, urzędnicy samorządowi, adwokaci, nauczyciele, lekarze, policjanci, kolejarze, wojskowi. Wśród nich było wielu ludzi wybitnych, zasłużonych nie tylko dla Łodzi, ale także kraju, m.in.: Karol Hiller³, Katarzyna Kobro⁴ i jej mąż Władysław Strzemiński⁵, Marian Minich – dyrektor Muzeum Miejskiego Historii i Sztuki w Łodzi, Antoni Purlal – ławnik Rady Miejskiej w Łodzi, Feliks Paszkowski i jego żona Anna Rynkowska – historyk w oddziale Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi, Adam Walczak – wiceprezydent Łodzi, Stefan Wegner – artysta plastyk⁶. W wielojęzycznej i wielowyznaniowej Łodzi osiedle to w składzie narodowościowym było prawie jednorodne – większość stanowili Polacy. Liczące około 5 tys. osób osiedle na długo miało być oazą szczęścia dla jego mieszkańców. Mieszkanie na Polesiu – bo tak powszechnie je

¹ Józef Anastazy Mirecki „Montwiłł” (1879–1908), działacz ruchu robotniczego, organizator wielu akcji prowadzonych przez Organizację Bojową Polskiej Partii Socjalistycznej, m.in. tzw. krwawej środy w Łodzi (15 VIII 1906 r.), stracony na stokach Cytadeli warszawskiej.

² Obszar osiedla obejmował dzisiejsze ulice: Gustawa Daniłowskiego (w okresie okupacji – Goldingener Strasse), Feliksa Perla (Embachstrasse), Srebrzyńską (W. v. Plettenberg Strasse), Henryka Barona (Wolmarer Strasse), Ksawerego Praussa, Aleję Unii (Sport Allee).

³ Karol Hiller, ur. w 1891 r. w Łodzi, malarz i grafik, działacz Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz wiceprezes Klubu Demokratycznego w Łodzi, w pierwszych miesiącach okupacji aresztowany i osadzony w obozie przejściowym w Łodzi na Radogoszczu, zamordowany przez hitlerowców w lesie lućmierskim, w pobliżu Łodzi, najprawdopodobniej 20 XII 1939 r. w ramach likwidacji inteligencji polskiej.

⁴ Katarzyna Kobro-Strzemińska (1898–1950), rzeźbiarka, członek grupy „a.r.” i „Błoku”.

⁵ Władysław Strzemiński (1893–1952), malarz i teoretyk sztuki, współzałożyciel grupy „a.r.”, członek „Błoku”, współtwórca kolekcji sztuki nowoczesnej – Muzeum Sztuki w Łodzi.

⁶ Stefan Wegner (1901–1965), po wojnie rektor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi.



Fot. Sławomir Abramowicz

Fragment osiedla Montwiłła-Mireckiego w Łodzi

nazywano – było wyróżnieniem, a nawet w jakimś sensie nobilitacją. Jednak pomysły los tych ludzi nie trwał długo, brutalnie przerwał go wybuch wojny. Tragiczne w skutkach dla mieszkańców osiedla okazały się działania okupanta hitlerowskiego na przełomie roku 1939 i 1940.

Wcielenie Łodzi do Rzeszy

Nim do tego doszło, nastąpiły nie mniej istotne wydarzenia w życiu ogółu mieszkańców Łodzi. Decyzja o wcieleniu miasta do Rzeszy Niemieckiej zapadła na najwyższych szczeblach władzy hitlerowskiej najprawdopodobniej w początkach listopada 1939 r. Oficjalnie ogłoszono ją 9 listopada. Jednocześnie rozpoczęto proces integracji Łodzi i znacznej części obszaru województwa łódzkiego z Rzeszą. Obejmując urząd namiestnika „Okręgu Rzeszy Poznań” (Reichsgau Posen)⁷, w którego granicach znalazło się województwo łódzkie, Arthur Greiser stwierdził, że jego najszczytniejszym zadaniem będzie uczynienie wszystkiego, aby w kilku najbliższych latach usunąć z objętego obszaru „wszelkie przejawy polskości, obojętnie jakiego rodzaju”. Od pierwszych dni niemieckiej aneksji głównym założeniem było sterroryzowanie i obywatelnienie społeczeństwa polskiego. Już w pierwszych tygodniach okupacji przeprowadzono likwidację polskich organizacji społecznych, gospodarczych, kulturalno-oświatowych i politycznych. Konfiskowano majątek wszystkich bez wyjątku polskich związków. W nocy z 9 na 10 listopada w Łodzi dokonano pierwszych masowych aresztowań przywódczych grup tutejszej społeczności polskiej. Równocześnie rozpoczęto proces budowania lokalnych, niemieckich organów władzy. Organizacja instytucji okupacyjnych w Łodzi i napływ nowych urzędników i funkcjonariuszy różnych służb z III Rzeszy były pierwszą przyczyną wysiedleń miejscowej ludności – polskiej i żydowskiej. Przede wszystkim wysiedleniami objęto mieszkańców najładniejszych kamienic położonych w centrum miasta oraz z osiedli willowych na Julianowie, Karolewie i Radogoszczu. Z lokali usytuowanych przy głównej ulicy Łodzi – Piotrkowskiej – usunięto Żydów, a kompleks gmachów przy ulicy Anstadta zajęto z przeznaczeniem na siedzibę gestapo. Początkowe tzw. dzikie wysiedlenia zastąpiono planowanymi akcjami, którymi kierował Specjalny Sztab ds. Wysiedleń Polaków i Żydów (Sonderstab für die Aussiedlung der Polen und Juden) z siedzibą w Poznaniu. Wkrótce przystąpiono do masowych wysiedleń z poszczególnych dzielnic. Ich pierwszy etap przypada na przełom grudnia 1939 r. i stycznia 1940 r. Właśnie w tym czasie wypędzono prawie wszystkich mieszkańców osiedla im. Montwiłła-Mireckiego.

Pierwsze wysiedlenia

Akcja zaskoczyła większość ludności Polesia, przemianowanego przez Niemców na „Stadt-siedlung”. Niektórzy Polacy przeczuwali jednak nadciągające nieszczęście. Ładne bloki – położone w niezwykle atrakcyjnym miejscu, wówczas z dala od centrum miasta – były bowiem takomym kąskiem dla licznie sprowadzanych do Łodzi Niemców. Także informacje o wysiedleniach w innych dzielnicach miasta rozchodziły się błyskawicznie. Rozpoczęły się sporadyczne, wybiórcze wysiedlenia (dotyczyło to zwłaszcza inteligencji) również z poleskiego osiedla. Dlatego też bardziej przewidujący wywozili z niego co cenniejsze rzeczy do krewnych zamieszkałych na wsi lub w inne bezpieczne miejsca. Jedna z mieszkanki osiedla Bożena Niemierowska-Szczepańczyk w opublikowanych wspomnieniach pisała: „Nikt nie przypuszczał, że może tu [na poleskim osiedlu] dojść do wypędzenia wszystkich mieszkańców naraz. Przepowiednie takie przyjmowano z niedowierzaniem, jako wymysł skrajnych pesymistów lub ludzi do cna zastraszonych”⁸. Wielu uważało, że wyrzucenie z mieszkań tylu ludzi jednocześnie jest fizycznie niemożliwe. Jednak także dla nich święta Bożego Narodzenia 1939 r. przeszły w atmosferze niepewności. To, co w ocenach Polaków wydawało się mało realne, rychło urzeczywistnili Niemcy. W trzaskającą mrozem noc sylwestrową 1939 r. wypędzono niewielką część mieszkańców

⁷ 29 I 1940 r. Reichsgau Posen przemianowano na Reichsgau Wartheland („Okręg Rzeszy Kraj Warty”).

⁸ B. Niemierowska-Szczepańczyk, *Z przeżyć okupacyjnych na Ziemi Opoczyńskiej*, Łódź 1992, cyt. za: *Czas przeszły – ciągle obecny. Z dziejów wysiedleń*, red. L. Włodkowski, Łódź 1998, s. 57.

Polesia. Jako jedną z pierwszych wysiedlono rodzinę wicedyrektora Zarządu Miejskiego Włodzimierza Gralińskiego. Nie była to jednak jeszcze właściwa akcja. Ta nastąpiła niebawem, nocą – równie mroźną jak ta sylwestrowa – z niedzieli na poniedziałek z 14 na 15 stycznia 1940 r.

W niedzielę około godziny 21, czyli tuż po rozpoczęciu tzw. godziny policyjnej, osiedle szczerze otoczyli uzbrojeni funkcjonariusze policji hitlerowskiej i innych formacji pomocniczych (m.in. Selbstschutz) rozstawieni na jego granicach co kilkadziesiąt metrów. Plastycznie opisała to Krystyna Latoszewska-Wróblewska: „W tym sielskim, prawie nierealnym krajobrazie tkwiły nieruchomo sylwetki żandarmów, proste, masywne niczym pomniki cmentarne. Stali tak w równym szeregu z szeroko rozstawionymi nogami, zaciskając w potężnych łapach karabiny wycelowane prosto w okna domów. Jak okiem sięgnąć, ciągnął się ten zwarty korowód wywołujący grozę”⁹. Przebieg wypędzania ludzi z poszczególnych mieszkań wyglądał podobnie – do lokalu kierowało się przeważnie dwóch do trzech funkcjonariuszy hitlerowskich władz wysiedleńczych i policyjnych, często w asyście tłumacza-folksdojczka. Wkraczający do mieszkania egzekutorzy sprawdzali przede wszystkim tożsamość domowników. Wypytywali więc o dane personalne poszczególnych osób, stan rodziny i posiadane przez nią kosztowności, a także papiery wartościowe. Kilka grup funkcjonariuszy dokonywało wysiedleń w tym samym czasie. Raz odbywały się one w ten sposób, że wyrzucano rodziny z danej klatki w kolejności numerów mieszkań, innym razem np. wypędzano jedną rodzinę z parteru, drugą z trzeciego piętra, potem wracano po następną rodzinę z parteru, a później z drugiego piętra itd. W tym drugim wypadku Niemcom chodziło o sprawne (ze względu na brak tłoku na klatce schodowej) i szybkie przeprowadzenie akcji, jak również o to, by rodziny nie kontaktowały się z sobą. Były przypadki, że wcześniej (to jest około godziny 21) powiadomiono rodziny, że będą wysiedlone, i zalecano, aby były przygotowane na godzinę 2.00. Osoby te miały dzięki temu więcej czasu na przygotowanie się do opuszczenia domu.

Większość mieszkańców była jednak zaskoczona i zszokowana całą sytuacją – niespodziewany łomot kolbami do drzwi i po sprawdzeniu danych osobowych niemal zawsze padało słowo „raus!”. Włodzimierz Józwiak, wyrzucony jako dziecko z osiedlowego mieszkania, po wielu latach wspominał: „słowo »raus« usłyszałem wówczas po raz pierwszy i zapamiętałem na całe życie”¹⁰. Zdezorientowanym rodzinom dawano 10–20 minut na opuszczenie mieszkania, jednak nie wszystkim. Ekipa wysiedlających nie dała takiej szansy rodzinie Mękarskich. Jeden z Niemców przekraczających próg ich mieszkania oświadczył, że mają natychmiast opuścić lokal tak jak stoją, ponieważ za trzy dni wrócą. Pod groźbami musieli wyjść na mroź z chorym synem. Nieprędko jednak wrócili do Łodzi. Z kolei Sławomir N. tak opisuje moment, kiedy musiał opuścić mieszkanie: „Mama otworzyła drzwi. Momentalnie wtargnęło trzech Niemców. Wśród nich był volksdeutsch, mówił dobrze po polsku. On oznajmił, żeby zabrać ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy, ubrać się i iść z nimi. Dali nam na przygotowanie 15 minut, lecz już po 10 minutach wyrzucili nas z mieszkania. Pozwolili zabrać tylko jedną walizkę z odzieżą”¹¹. Marian Waligóra tak wspomina tę noc: „O godzinie 23.00 obudziło nas gwałtowne dobijanie się do drzwi. Do mieszkania wtoczyło się kilku osobników w granatowych mundurach z wystawionymi do przodu łufami karabinów. Zażądano pieniędzy i biżuterii. [...] Zona pod wpływem groźby oddała im kasetkę z naszymi zasobami. Potem, nie zważając [na to], że byłem ciężko chory, kazano nam opuścić w ciągu 15 minut mieszkanie”¹².

Wypędzanym wolno było wziąć ze sobą do 25 kg bagażu ręcznego na każdą dorosłą osobę i połowę tego na dziecko oraz kwotę do 200 zł i połowę tej sumy na dziecko. Nie wolno było zabierać bagażu na wózkach. Kategorycznie zabroniono brania pościeli, wartościowej odzieży i jakiegokolwiek sprzętu. W praktyce te drakońskie metody wypędzania stosowane wedle zarządzenia niemieckich władz wysiedleńczych były jeszcze bardziej zastrzane

⁹ Czas przeszły – ciągle obecny..., s. 97.

¹⁰ W. Józwiak, *Jak wysiedlano z Łodzi w 1939 roku?*, „Odgłosy”, 15 I 1989.

¹¹ IPN OKŁ, Ds. 37/67, t. 5, Zeznanie świadka.

¹² Czas przeszły – ciągle obecny..., s. 119.

przez wykonawców akcji. Egzekutorzy często sami decydowali, co wolno wziąć, a czego nie wolno. Wyrzucany z mieszkania Teofil Wiktor T. wspominał: „Zabrano nas [do obozu] jedynie w ubraniach, to znaczy w tym, co byliśmy w stanie – z uwagi na zimową porę – nałożyć na siebie”¹³. Do nagminnych praktyk należało okradanie Polaków z pieniędzy i kosztowności, choć cały majątek wysiedlanego, zarówno ruchomy, jak i nieruchomy, ulegał konfiskacie na rzecz III Rzeszy. Sytuację taką opisał Kazimierz Russek wypędzony z całą rodziną: „Grabież rozpoczęła się już w momencie wkroczenia hitlerowców do mieszkań. Chłonna pamięć młodego chłopca zarejestrowała na trwałe, jak pierwszym »gestem« ze strony tych »nadmudzi« było zdjęcie rodzicom z palców ich rąk pierścionków i obrączek, zabranie im zegarków, naszyjników i innych kosztowności. Nigdy nie zapomnę butnego wyglądu żołdaków z niemieckiego korpusu ekspedycyjnego, z blaszanymi tablicami na piersiach ze znakami NSKK [Narodowo-socjalistyczny Korpus Samochodowy], poganiających mnie i moich rodziców do pośpiechu kolbami karabinów i pistoletów”¹⁴. Wielu osobom, zwłaszcza starszym i chorym, trudno było w pośpiechu i atmosferze zastraszenia, w ciągu tak krótkiego czasu, zebrać to, co najbardziej wartościowe i potrzebne, zwłaszcza w sytuacji, kiedy nikt nie wiedział, jaki będzie dalszy jego los. W wypadku zapomnienia czegoś nie można było wrócić do mieszkania. Szczególnie mocno wyrzucenie z domu przeżywały dzieci. Noc, krzyki w obcym, niezrozumiałym języku, zastraszanie, poszturchiwania i ciągle popędzanie przez Niemców – wszystko to potęgowało grozę. Z domów wyprowadzano całe rodziny z tobołkami i walizkami. Matki z dziećmi, ludzi chorych, inwalidów i starców ładowano na podstawione samochody ciężarowe i odwożono do obozu przesiedleńczego przy ulicy Łąkowej. Mężczyzn pieszo pędzono do obozu.

Listy proskrypcyjne

Wypędzenia z Polesia dokonano na podstawie wcześniej przygotowanych list dostarczonych przez gestapo i łódzkich Niemców. Wysiedlono rodziny (udało się ustalić nazwiska tylko niewielkiej ich części): Amanowiczów, Antczaków, Balcerzaków, Banachów, Bonikowskich, Drązkiewiczów, Frąckiewiczów, Frątczaków, Galickich, Głazewskich, Gojawińskich, Górskich, Jagodzińskich, Józefiaków, Józwiaków, Kamerów, Kielskich, Kolasińskich, Kościelaków, Krajewskich, Lambrechtów, Majewskich, Makowskich, Małolepszych, Marczaków, Markowskich, Mękarskich, Michalskich, Minichów, Muszyńskich, Niemierowskich, Niewiadomskich, Odolaków, Olawińskich, Paszkowskich, Pawłowskich, Płońskich, Pogonowiczów, Postołów, Roszaków, Russków, Sobolewskich, Sokołowskich, Staszeliś, Staszewskich, Szczepańskich, Tredikowskich, Turskich, Waligórow, Wegnerów, Wróblewskich, Zarębów, Żołędowskich, a także wdowę po Karolu Hillerze.

W tym czasie pozostawiono we własnych mieszkaniach polskie rodziny kolejarzy i tramwajarzy, którzy z racji wykonywanego zawodu byli niezbędni dla gospodarki niemieckiej.

Pozostawione mieszkania, a w nich majątek często kilku pokoleń, zamknięto i oplombowano. Odtąd miały służyć obywatelom Rzeszy Niemieckiej.

Centralny obóz przesiedleńczy – Durchgangslager I

W celu przyjęcia pierwszych wypędzonych z opisywanego osiedla na przełomie grudnia 1939 r. i stycznia 1940 r. utworzono centralny obóz przesiedleńczy (Durchgangslager I) w Łodzi przy ulicy Łąkowej 4 (Wiesenstrasse). W pofabrycznych pomieszczeniach, w których zorganizowano prymitywny obóz, miał miejsce kolejny (lecz nie ostatni) etap gehenny mieszkańców Polesia: rejestracja, selekcje dorosłych (na roboty przymusowe do Niemiec) i dzieci (pod względem rasowym), dalsza grabież majątku i kosztowności, poniżenie, choroby oraz głód.

Pobyt społeczności z osiedla im. Montwiłła-Mireckiego w tym i kilku innych obozach przesiedleńczych zorganizowanych przez hitlerowców w Łodzi to już osobna, choć równie tragiczna historia.

¹³ IPN OKŁ, Ds. 37/67. t. 2, Zeznanie świadka.

¹⁴ K. Russek, *Jak wysiedlano z Łodzi w 1939 roku?*, „Odgłosy”, 19 II 1989.

WYSIEDLENIA Z GDYNI W 1939 ROKU

Gdynia przed wybuchem II wojny światowej była jednym z nowoczesniejszych w Europie portów handlowych, miała blisko 127 tys. mieszkańców. Okupanci bardzo szybko docenili jej walory morskie i zaczęli dostosowywać Gdynię do potrzeb zmilitaryzowanej gospodarki Rzeszy, przekształcając port handlowy w niemiecką bazę marynarki wojennej.

Z rozkazu Hitlera 19 września 1939 r. wprowadzono niemiecką nazwę Gdyni – *Gotenhafen* (Port Gotów), co miało uzasadnić rozpoczynającą się akcję wysiedleń ludności polskiej, zamieszkującej rzekomo rdzennie germańskie tereny. Jeszcze przed wybuchem wojny w kierownictwie Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej (NSDAP) zapadła decyzja o szybkim usunięciu polskiej ludności napływowej z pomorskiego „korytarza” do centralnej i wschodniej Polski i sprowadzeniu na jej miejsce Niemców. Z chwilą zajęcia Pomorza przystąpiono do akcji „oczyszczania korytarza”, w której brały udział jednostki SS, policji, Wehrmachtu oraz złożone z miejscowych Niemców oddziały *Selbstschutzu*, które już znacznie wcześniej przygotowały listy proskrypcyjne; na ich podstawie przeprowadzano aresztowania.

Wysiedlenia

W początkowej fazie akcję wysiedlania Polaków z Gdyni prowadzono bardzo szybko i chaotycznie. Władzom III Rzeszy bardzo zależało na tym, aby nowo utworzoną bazę *Kriegsmarine* zamieszkiwali rodowici Niemcy, którzy dbaliby o rozwój tego ważnego dla gospodarki Rzeszy portu bałtyckiego. Podstawę prawną masowych wysiedleń ludności pozostającej w strefie okupacji niemieckiej dał dekret Hitlera z 7 października 1939 r., którym posłużył się szef niemieckiej policji *Reichsführer SS* Heinrich Himmler, upoważniając 11 października 1939 r. policję i Służbę Bezpieczeństwa do rozpoczęcia wysiedleń ludności polskiej z Gdyni. Rozpoczęto je na wyraźne żądanie dowódcy wojskowego okręgu Gdańsk – Prusy Zachodnie gen. Hertza, zawarte w piśmie do komendanta *Gotenhafen* Schalla-Emnena z 29 września 1939 r. Do kierowania akcją wysiedleńczą powołano terenowy sztab do spraw przesiedleńczych, na którego czele stanął *SS-Standartenführer* Henschl¹. Ścisłe współpracował z nim działający przy wyższym dowódcy SS i policji sztab osiedleńczy, powołany w celu organizacji osiedlenia obywateli niemieckich z krajów nadbałtyckich, Besarabii i Rzeszy.

Wysiedlenia w Gdyni na przełomie października i listopada 1939 r. określa się jako tzw. wysiedlenia dzikie, czyli takie, które są przeprowadzane z inicjatywy miejscowych władz i obejmują poszczególne osoby umieszczone na listach proskrypcyjnych. Wyznaczone osoby i ich rodziny zmuszano do opuszczania domów pod groźbą zesłania do obozu koncentracyjnego. Nakazy te dotyczyły przede wszystkim posiadaczy ziemskich, kupców i rzemieślników, których zakładami zainteresowani byli miejscowi Niemcy, jak również właściciele

¹ Brak jest imion gen. Hertza i płk. Henschla oraz imienia i stopnia wojskowego Schalla-Emnena zarówno w literaturze przedmiotu: *Dzieje Gdyni*, red. R. Wapiński, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1980, jak i w aktach, w których prowadzona była kwerenda: Archiwum Państwowe Gdańsk, 265; *ibidem*, 264; AP Bydgoszcz, 97; Biblioteka PAN Gdańsk, Dokumenty życia społecznego – plakaty.

dużych mieszkań położonych w prestiżowych dzielnicach miasta, przeznaczonych na biura i kwatery dla tworzonej administracji niemieckiej. Dopiero wysiedlenia prowadzone na początku 1940 r. można określić jako planowe, a zatem organizowane przez niemiecką Centralę Przesiedleńczą. Z akcji wysiedleńczej prowadzonej w 1939 r. z powodu braku wykwalifikowanych sił niemieckich wyłączono około 5 tys. polskich specjalistów z różnych dziedzin gospodarki, lekarzy i personel farmaceutyczny. Wraz z rodzinami uzyskiwali oni specjalne przepustki zezwalające na pozostanie w mieście.

Pierwsze masowe „dzikie wysiedlenie” ludności Gdyni nastąpiło 12 października 1939 r. i objęło mieszkańców dzielnicy Orłowo. O konieczności opuszczenia mieszkań informowały pisemne i podawane drogą radiową obwieszczenia prezydenta policji SS-Brigadenführera Christoph Diehma: „Ze względu na bezpieczeństwo nakazuję ewakuację ludności polskiej dzielnicy Orłowo z wyłączeniem Kolibek i Małego Kacka do czwartku 12 października 1939 r. o godzinie 9.00”. Gdynię Orłowo opuściło w tym dniu około 4 tys. mieszkańców: 2,7 tys. dorosłych i 1,3 tys. dzieci. Wszystkich przejściowo zakwaterowano na peryferiach miasta w dzielnicach Grabówek, Chylonia, Witomino, oczekując na zorganizowanie przez administrację wojskową transportów kolejowych do Generalnego Gubernatorstwa. Kilka dni później ewakuowano dzielnicę Kack, a następnie Wzgórze Focha (obecnie Wzgórze św. Maksymiliana), ulicę Świętojańską, Grabówek, Witomino, Obłuże, Kamienną Górę.

W raporcie operacyjnym sporządzonym po ewakuacji Orłowa zawarto informację, która miała duży wpływ na wysiedlanie pozostałych dzielnic miasta. Zauważono, że ciasnota i fatalne warunki higieniczne panujące w miejscach oczekiwania wysiedlonych na transport do GG powodują duże niebezpieczeństwo powstania i rozprzestrzenienia się szkarlatyny i tyfusu, co może ujemnie wpłynąć na planowany rozwój bazy marynarki wojennej i opóźnić repatriację Niemców bałtyckich.

Dzikie wysiedlenia

Akcja wysiedleńcza wymagała uporządkowania, dlatego 14 października 1939 r. dwaj współpracownicy gauleitera Alberta Forstera – dr Wilhelm Löbsack i SS-Obersturmbannführer dr Sandenberg² – opracowali kryteria oceny przynależności narodowej ludności Gdyni. Ich celem było wytonienie spośród mieszkańców miasta uprzywilejowanej grupy folksdojców, która miała uniknąć wysiedlenia. Uznano, że folksdojcem jest osoba, która przed wrześniem 1939 r. była członkiem niemieckiej organizacji w Polsce, lub też postępująca się językiem niemieckim jako ojczystym i wychowująca swoje dzieci w duchu niemieckim. Polaków zamieszkujących Gdynię podzielono na trzy grupy, nadając pojęciu „wysiedlenie” dwa znaczenia: „Aussiedlung” – czyli typowe wysiedlenie, i „Verdrängung” – czyli „wewnętrzne rugowanie”, polegające na przesiedlaniu ludności wewnątrz tego samego okręgu, na peryferie miasta lub w jego okolice. Do pierwszej grupy ludności przeznaczonej do natychmiastowego wysiedlenia zaliczono Polaków, którzy przybyli do Gdyni po 1918 r., jak również inteligencję i działaczy politycznych, którzy uniknęli do tej pory represji. Do drugiej grupy, która miała zostać poddana „wewnętrznemu rugowaniu”, zaliczono autochtoniczną polską ludność Pomorza mieszkającą w Gdyni, lecz urodzoną gdzie indziej. Ludzi tych miano przesiedlić na Kaszuby – do Kościerzyny, Kartuz i Wejherowa, jeśli tylko w tych miejscowościach mieszkali ich krewni. Trzecią grupę stanowiła pozostała ludność polska zamieszkująca Gdynię, w tym również rodowici jej mieszkańcy, którzy mieli być wysiedleni w momencie, gdy ich mieszkania będą potrzebne dla rodzin niemieckich przybywających do miasta.

Dla zachowania pozorów praworządności wysiedleniom starano się nadać charakter dobrowolnej emigracji ludności. Na posterunkach policyjnych wydawano numerowane bilety kolejowe z zaznaczoną liczbą osób i miejscem docelowym. Podpis szefa policji na bilecie pełnił jednocześnie funkcję przepustki granicznej uprawniającej do powrotu w rodzinne strony matki bądź ojca.

² Brak imienia ppłk. Sandenberga (*ibidem*).



Dokument uprawniający do przekroczenia granicy Rzeszy i GG wystawiony przez niemiecką policję w Gdyni (Gotenhafen) dla jednej z polskich wypędzonych i jej dzieci

W mieście rozplakatowano ogłoszenia o obowiązku wysiedlenia, informację tę podawano również przez radio i megafony. Część mieszkańców Gdyni pobierała policyjne przepustki i pozostawiając cały swój dobytek, opuszczała miasto, część zaś na wiadomość o planowanym wysiedleniu danej dzielnicy, chcąc się przed tym uchronić, przenosiła się do innej. Aby powstrzymać ucieczki do innych dzielnic, władze niemieckie 24 października 1939 r. podały do wiadomości „ostatnie rozporządzenie” – „Niniejszym przypominam po raz ostatni, że ludność Polska powinna opuścić miasto Gotenhafen i sąsiednie miejscowości”³.

Przebieg akcji wysiedleńczej

Wysiedlenia przeprowadzano we wczesnych godzinach rannych. Brały w nich udział żandarmeria, oddziały policji ochronnej, Selbstschutzu, oddziały SA i SS. Domy, a nawet całe dzielnice objęte akcją, otaczane były przez kordony policji, która przy wyciu syren wkraczała do mieszkań i zmuszała wysiedlanych do ubrania się i spakowania niezbędnych rzeczy. Mieszkania pozostawiano otwarte; „klucze powinny zostać w drzwiach domów, mieszkań i pokoiów. Ponowne wstąpienie do mieszkań po godzinie 9.00 uważa się jako akt sabotażu”⁴. W tym samym zarządzeniu prezydenta policji nr IX z 12 października 1939 r. w punkcie piątym podano, że „akty sabotażu i niedozwolone posiadania broni ukarze się śmiercią”⁵.

Niemcy nie stosowali przemocy wobec wysiedlanych, jedynie krzykiem próbowali zastraszyć ludność. Waga bagażu, który pozwolono zabrać, nie mogła przekroczyć 25–30 kg na

³ Biblioteka PAN Gdańsk, Dokumenty życia społecznego – plakaty, 170, Ostatnia odezwa prezydenta policji z 24 X 1939 r.

⁴ *Ibidem*, 170, Zarządzenie prezydenta policji nr IX z 12 X 1939 r.

⁵ *Ibidem*.

osobę dorosłą i 10 kg na dziecko. Początkowo zezwalano na zabranie 200 zł, potem kwotę tę ograniczono do 20 zł. Większość wysiedlanych pędzono pieszo do punktów zbornych urządzonych w kościołach, stodołach, halach, pod gołym niebem, np. przed cmentarzem na Witominie, gdzie oczekiwali na sformowanie transportu. W tych punktach zbornych miejscowi folksdojczę pozostający na usługach władzy okupacyjnej spisywali dane personalne i miejscowości, z których pochodzili wysiedleni. Niektórych już pod domami ładowano na samochody ciężarowe marki Opel Blitz, służące do przewożenia żywności i uzbrojenia dla armii niemieckiej, i wywożono do GG. Ludność oczekującą w tzw. polskich gettach gromadzono przed dworcem kolejowym na peronie nr 5 od strony ul. Morskiej (wówczas Albert Forster Strasse) i po rewizji osobistej wywożono wagonami towarowymi w kierunku Częstochowy, Kielc, Siedlec i Lublina. Wykorzystywano najczęściej bydłce lub towarowe wagony, które zamykano od zewnątrz, tylko niektórzy wywożeni byli wagonami osobowymi, tzw. bokówkami. Zeznania świadków nie dają jednoznacznej odpowiedzi, czy przed wywózką Niemcy rozdzielali kobiety i dzieci od mężczyzn, czy też nie. Wagony były najczęściej przeładowane i zanieczyszczone odchodami zwierząt bądź unoszącymi się w powietrzu kłębami sproszkowanego wapna. W każdym wagonie podróżowało około sześćdziesięciu osób. Na początku składu pociągów były dwa wagony osobowe, przeznaczone dla niemieckiej ochrony transportu, a każdy wagon towarowy z wysiedlonymi miał na końcu, przy buforach, budkę strażnika.

Podróż najczęściej trwała od kilku do kilkunastu dni. Przyczyną tego były zerwane mosty lub całodzienne postoje na bocznicach i jazda wyłącznie nocą. Obowiązywał też nakaz przepuszczania niemieckich taborów dowożących żywność i uzbrojenie, dlatego pociągi z wysiedlanymi często jeździły okólną drogą. W wagonach panowały okropne warunki sanitarne. Raz dziennie zezwalano na krótki postój. Za przewiant w czasie podróży musiały służyć zapasy zabrane z domu. Bardzo rzadko wysiedlani otrzymywali od niemieckich strażników głodowe racje czarnego chleba. Na trasach przejazdu miejscowa ludność próbowała dostarczać żywności więzionym, jednak była skutecznie odstraszana strzałami z karabinów; czasami jedynie „kobiety z Czerwonego Krzyża dostarczały nam wodę i kawę zbożową do picia, a dla dzieci podawane było przypalone mleko”⁶. Największą udręką w podróży był brak wody. „Wodę do picia zdobywano z tendra parowozu w niewielkich ilościach, była ciepła i miała kolor brunatno-szary, z całą pewnością była szkodliwa dla zdrowia, gdyż zawierała sodafox, czyli środek chemiczny zapobiegający osadzeniu się kamienia w kottach”⁷. Warunki podróży miały wpływ na choroby i śmiertelność podróżujących. Jeden z wysiedlonych zeznał: „Sam widziałem, jak płacząca matka przekazywała dróżnikowi zmarłe dziecko, prosząc o jego pochowanie”⁸, inny zaś mówił: „Ludzie w trakcie transportu umierali, wtedy żołnierze niemieccy kazali wysiadać dorosłym i grzebać zmarłych. Ludzie kopali doły-groby, tym czym mieli. Były to łyżki, a moja mama dostała od jakiegoś żołnierza kawałek bagnetu”⁹. Ze strachu przed jazdą w nieznane niektórzy decydowali się na ucieczkę: „Pamiętam, że w nocy, gdy transport zatrzymał się przed zamkniętym semaforem gdzieś pomiędzy Tarnowskimi Górami i Częstochową, nagle usłyszeliśmy głośne krzyki Niemców »Halt« i polskie »uciekać« oraz strzały z karabinów. Po chwili ktoś od zewnątrz otworzył nasz wagon i krzyknął, żeby uciekać. Zaczęliśmy biec do pobliskiego lasu. Uciekało wiele osób, a w wagonach pozostali jedynie starzy i chorzy”¹⁰. W różny sposób postępowano z wysiedlonymi w miejscach docelowych – w Kielcach pozwolono im udać się tam, gdzie chcą, w Lublinie zajęli się nimi Czerwony Krzyż, kwaterując ludzi w budynkach publicznych, w Częstochowie na miejscu przygotowano obóz przejściowy, w Radomiu umieszczono ich w kościele garnizonowym wypełnionym końmi, skąd następnego dnia gospodarze zabierali ich furmankami do swych domostw.

⁶ Akta śledztwa OKBZpNP Gdańsk, S 22/00/Zn, t. 4, Protokół przesłuchania świadka Władysława Napieraty z 21 XI 2001 r., s. 731.

⁷ *Ibidem*, t. 4, Protokół przesłuchania świadka Czesława Możejko z 30 VIII 2001 r., s. 603.

⁸ *Ibidem*, s. 602.

⁹ *Ibidem*, t. 5, Protokół przesłuchania świadka Hanny Antoniny Frątczak z 5 XII 2001 r., s. 806.

¹⁰ *Ibidem*, t. 4, Protokół przesłuchania świadka Edwarda Wejnera z 28 XI 2001 r., s. 744.

Fot. ze zbiorów IPN



Takimi wagonami towarowymi wywożeni byli Polacy wysiedleni z Gdyni w 1939 r.

Losy wysiedlonych mieszkańców Gdyni były różne. Niektórzy udawali się do swych rodzin mieszkających w GG, innych zmuszono do pracy u niemieckich gospodarzy lub wywieziono na roboty do Niemiec, część pracowała w kraju przy budowie mostów, umacnianiu fortyfikacji. Większość z nich nie potrafiła jednak odnaleźć się w nowej rzeczywistości, skazując siebie i swe rodziny na vegetację. Czekali na koniec wojny i możliwość powrotu do Gdyni. Z ankiet Polskiego Komitetu Opiekuńczego i miejskich komitetów opieki społecznej dowiadujemy się, że osoby wysiedlone z Gdyni zwracały się o darowanie im rzeczy pierwszej potrzeby.

26 października 1939 r. Heinrich Himmler w wyniku nieporozumień z Albertem Forsterem w sprawie osiedlania w Gdyni Niemców bałtyckich zawiesił do odwołania wszelkie wysiedlenia ludności z ziem wcielonych do Rzeszy. Jednakże już 30 października 1939 r. ukazało się rozporządzenie wykonawcze do dekretu Hitlera o ustanowieniu komisarza Rzeszy dla umacniania Niemczyzny. Rozpoczęło ono drugi etap wysiedlania ludności z terenów wcielonych do Rzeszy.

Wysiedlenia z Gdyni na przełomie października i listopada 1939 r. objęły 40 proc. przedwojennego stanu mieszkańców miasta. Z „Dziennika Wojennego Dowództwa Wojskowego Gdańsk – Prusy Zachodnie” wynika, że wysiedlono wówczas 12 271 mieszkańców Gdyni, a dobrowolnie miasto opuściło około 38 tys. osób, co daje łączną liczbę 50 271 osób. Pozostających w Gdyni rugowano z ich mieszkań i zmuszono do osiedlenia się na peryferiach miasta.

Większość wysiedlonych gdynian wróciła do swego miasta najszybciej, jak to tylko było możliwe, podążając tuż za frontem radzieckim w kwietniu 1945 r.: „Wróciłam wraz z moją babcią i mamą do Gdyni do tego samego mieszkania, skąd nas wysiedlono w 1939 roku. Jednak mieszkanie było całkowicie zniszczone, nie miało ścian. Moja mama wyremontowała je na własny koszt”. Nie wszyscy jednak znaleźli swoje dawne mieszkania: „Staraliśmy się powrócić do Gdyni, jednakże okazało się, że nasze mieszkanie zostało już zajęte przez jakąś polską rodzinę, nie czyniliśmy żadnych starań o odzyskanie tego mieszkania”¹¹, „Po naszym miejscu zamieszkania w Gdyni nie było śladu, dom wyburzono, nie widzieliśmy przyszłości i warunków materialnych do zamieszkania w Gdyni, osiedliliśmy się na stałe w miejscu naszej zsyłki w Pabianicach”¹².

¹¹ *Ibidem*, t. 4, Protokół przesłuchania świadka Reginy Heleny Musielak z 5 IX 2001 r., s. 626.

¹² *Ibidem*, t. 3, Protokół przesłuchania świadka Apoloniusza Wolfa z 27 VIII 2001 r., s. 594.

„INTELLIGENZAKTION” NA WARMII, MAZURACH I PÓŁNOCNYM MAZOWSZU

Wykorzystanie legendy o „krwawej niedzieli bydgoskiej” (*Bromberger Blutsonntag*) do podsycania nienawiści ludności niemieckiej do Polaków najdobitniej egzemplifikują słowa, którymi Niemcy obrzucali Polaków wyprowadzanych z ośrodków internowania: „*Polacken raus nach Warschau. Ihr Staatsfeinde. Ihr Morder von Bromberg*” (Polacy, wynosić się do Warszawy. Wy wrogowie państwa. Wy mordercy z Bydgoszczy)¹. Padły one podczas pierwszej ludobójczej akcji przeprowadzonej przez Niemcy hitlerowskie, oznakowanej kryptonimem „*Tannenberg*”, a określanej przez hitlerowskich dygnitarzy „politycznym oczyszczeniem gruntu” (*politische Flurbereinigung*) lub „Akcją inteligencja” („*Intelligenzaktion*”).

Pojęcie inteligencji nie oznaczało w tym przypadku ludzi z racji wykształcenia należących do określonej warstwy społecznej, lecz tych, którzy dzięki swej aktywności i postawie pełnili w społeczeństwie funkcje przywódcze. Fizyczną eksterminacją podczas akcji „*Tannenberg*” objęto zatem nie tylko nauczycieli, księży i urzędników, lecz także robotników i rolników – jeżeli równocześnie byli prezesami, sekretarzami lub skarbnikami legalnych stowarzyszeń i związków. Niemcy postrzegali ich wszystkich jako wrogów III Rzeszy.

Ludobójczą „Akcję inteligencja” zaplanowała i przygotowała niemiecka policja i służba bezpieczeństwa. Legenda o „krwawej niedzieli bydgoskiej” posłużyła do wzmocnienia przekonania opinii publicznej, że „polską zarazę” należy zniszczyć. Była argumentem uzasadniającym „zlikwidowanie polskich inteligentów w odwet za morderstwa w Bydgoszczy”. Szermował nim m.in. SS-Hauptsturmführer Friedrich Horst Schlegel pełniący funkcję osobistego referenta wyższego dowódcy SS i policji w Prusach Wschodnich, który wiedział, że w obozie w Działdowie przeprowadza się masowe egzekucje na Polakach internowanych przez operacyjne grupy policji bezpieczeństwa (*Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei und des SD*)².

Eksterminacja ludności polskiej na Warmii i Mazurach

Likwidację polskiego „przywódczego elementu” rozpoczęto od mniejszości polskiej w Niemczech. W granicach państwa niemieckiego mieszkało ponad 1,5 mln Polaków (w tym samym czasie Polskę zamieszkiwało około 790 tys. Niemców). Zwarte skupiska ludności polskiej znajdowały się na Dolnym Śląsku, Warmii, Mazurach, Ziemi Łębskiej, Ziemi Bytowskiej, Krajnie i Ziemi Złotowskiej. Ludność ta była przeważnie zorganizowana w Związku Polaków w Niemczech, którego godłem był graficzny znak biegu Wisły – „*Rodło*”, oraz w Związku Polskich Towarzystw Szkolnych (polskie szkoły w Niemczech miały odpowiadać, na zasadzie wzajemności, szkołom dla mniejszości niemieckiej w Polsce), a także w kółkach teatralnych i śpiewaczych. Polacy mieli własny Bank Ludowy i Spółdzielnię Rolniczo-Handlową „*Rolnik*”. Wydawali własną prasę.

¹ AIPN, SWWW [Sąd Wojewódzki dla Województwa Warszawskiego], 749, Akta w sprawie Hellwiga Otto, k. 255.

² *Ibidem*, 757, Akta w sprawie karnej Ericha Kocha, k. 507.

Organizacje te i towarzystwa silnie inwigilowała hitlerowska policja bezpieczeństwa za pośrednictwem tzw. *Vertrauensmänner* („V”) – nieopłacanych, działających z ukrycia konfidentów. Siatka ludzi „V” dostarczała informacji z każdej dziedziny życia publicznego, a policja na podstawie donosów sporządzała kartoteki i listy z nazwiskami tych, których trzeba się było pozbyć drogą egzekucji lub uwięzienia w obozie koncentracyjnym. Tajni agenci zjawili się m.in. na uroczystych obchodach 25. rocznicy powstania polskiego Banku Ludowego, które odbyły się 16 października 1938 r. w hotelu „Concordia” w Olsztynie. Z ich przebiegu złożyli dokładne sprawozdanie, sporządzone na blankiecie z nadrukiem *Bund Deutscher Osten*, opatrzone czerwoną pieczęcią z napisem *streng vertraulich* (ściśle poufne), które wysłano według rozdzielnika do miejscowej placówki policji państwowej (Staatspolizeistelle), służby bezpieczeństwa, krajowej organizacji Bund Deutscher Osten (Landesgruppe des BDO) i do prezydenta rejencji (Regierungspräsident).

W sprawozdaniu wymieniono nazwiska uczestników pochodzących z Olsztyna i obiecano uzupełnić je o tych, którzy przyjechali z terenu. „O ile nam nazwiska uczestników uroczystości przybyłych z prowincji nie zostaną zakomunikowane przez zaufanych ludzi [V-Männer], to postaramy się tutaj o nie dowiedzieć”³.

Mając doskonałe rozeznanie, kto posyła dzieci do polskiej szkoły, uczestniczy w mszach dla Polaków, czyta polską prasę lub bierze udział w polskich uroczystościach, organizowano szykany dokonywane przez bojówki hitlerowskie. W polskich szkołach, drukarniach i siedzibach organizacji wybijano szyby. Mnożyły się napady i pobicia oraz demolowanie lokali organizacji i mieszkań najaktywniejszych Polaków. Rujnowano sklepy, których właścicielami byli Polacy. Rozpędzono polskie nabożeństwa. Pod mieszkaniem nauczycieli zbierali się esamani i śpiewali: „*Wenn das Polenblut vom Messer spritzt, dann geht's noch mal so gut*” (Gdy spod noża tryśnie polska krew, wszystko pójdzie dwa razy lepiej)⁴.

W 1939 r. prześladowania ciągle się nasilały. Najbardziej znani z aktywności Polacy otrzymywali rozkazy opuszczenia własnych gospodarstw. Zamykano tygodniki katolickie i polskie domy kultury. Na przełomie czerwca i lipca zabroniono odprawiania nabożeństw w języku polskim.

Szykany trwały do ostatnich dni sierpnia, kiedy – tuż przed inwazją na Polskę – policja bezpieczeństwa przystąpiła do całkowitego zlikwidowania przejawów życia społeczno-politycznego mniejszości polskiej w Niemczech, internując niemal wszystkich działaczy polskich organizacji, nauczycieli, pracowników polskich banków, działaczy spółdzielczych i polskich księży. Internowano Seweryna Pieniężnego, redaktora wydawanej – mimo szykan – „Gazety Olsztyńskiej”, która sprzeciwiała się germanizacji ludności Mazur; Juliusza Malewskiego, dyrektora Banku Ludowego w Olsztynie, i jego zastępcę Stefana Różyckiego; wszystkich nauczycieli trzynastu polskich szkół na Warmii; działaczy Polonii Warmińsko-Mazurskiej, Leona Włodarczyka, kierownika Spółdzielni „Rolnik” w Olsztynie. Internowano nauczycieli ze szkół polskich i wychowawczynie z przedszkoli z Powiśla, w tym 12 nauczycieli, 153 uczniów i cały personel administracyjny gimnazjum polskiego w Kwidzynie, na czele z dyrektorem tego gimnazjum, prezesem Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej Władysławem Gąbikiem i kierownikiem administracyjnym Edmundem Styp-Rekowskim. Przed przewiezieniem do obozów internowanych osadzano w miejscowych więzieniach, skąd wyprowadzano ich, aby pod nadzorem zacierali ślady po zlikwidowanych przez władze hitlerowskie polskich instytucjach. Musieli zrywać i niszczyć szyldy oraz rozbijać godła i emblematy instytucji, w których dotąd działali.

9 września internowanych Polaków z Warmii, Powiśla i Mazur odtransportowano do Hohenbruch koło Labiawy – obozu dla politycznych przeciwników Hitlera założonego przed wojną na pustkowiach nad Zalemem Kurońskim, oraz do Tapiaw (Tapiewa nad Pregołą) i Grünhof w pobliżu Królewca. Tam zastali internowanych 1 września pracowników Konsu-

³ *Ibidem*, 756, Akta w sprawie karnej Ericha Kocho, k. 328.

⁴ *Ibidem*, 756, k. 351.

latu Generalnego w Królewcu, konsula Jana Piotrowskiego, attaché Winiarskiego, urzędników: Martę Szajkową, Władysława Pieniężnego i Schullera oraz szofera Borka, a także pracowników Konsulatu Polskiego w Olsztynie na czele z konsulem Bogdanem Jałowickim. Tam też internowano polskich celników spod Malborka i Tczewa oraz nauczycieli z polskiego gimnazjum w Bytomiu. Wkrótce dołączyli do nich Polacy z północnego Mazowsza i sąsiadujących z Mazowszem miejscowości na Kujawach, internowani podczas „Akcji inteligencja”.

Likwidacja „przywódczego elementu” na Mazowszu

Wkraczające od północy na terytorium państwa polskiego tuż za 4. Armią Einsatzgruppe IV – do Płocka, a za 3. Armią Einsatzgruppe V – do Pułtuska, Mławy, Przasnysza i Ostrołęki były wyposażone w imienne listy osób, które chciano internować. Listy te przygotował Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) na podstawie raportów, meldunków i wiadomości napływających od mniejszości niemieckiej o Polakach nieprzychylnie nastawionych do Niemców i Rzeszy lub o aktywnych przedstawicielach miejscowej inteligencji.

Listy uzupełniano na miejscu na podstawie zdobytej dokumentacji polskiej i wskazówek członków Selbstschutzu, organizacji mniejszości niemieckiej o charakterze policyjnym, utworzonej na polecenie Heinricha Himmlera zaraz po ustaniu działań wojennych. Członkowie Selbstschutzu nie byli wprawdzie umundurowani, lecz dla identyfikacji nosili na lewym rękawie zielone opaski z napisem „Selbstschutz”. Organizacja ta ściśle współdziałała z operacyjnymi grupami policji, donosząc, wskazując, a także internując i dokonując egzekucji Polaków. Była groźna przede wszystkim ze względu na znajomość miejscowej ludności i panujących między nią stosunków.

Polacy, którym udało się przeżyć internowanie i obozy, tak opisują aktywność Selbstschutzu: „Złożył na mnie doniesienie niejaki »X«, Niemiec, któremu zwróciłem uwagę jeszcze przed wojną, że używa słów niemieckich”. „Zostałem na ulicy zaarrestowany przez »X«, siodlarza z Działdowa, z którym znaliśmy się przed wojną. Nosił karabin i miał na rękawie opaskę. Zarzucił mi rozbijanie związków niemieckich przed wojną”⁵.

Internowania objęły setki osób. Łapano ludzi na ulicy, wyciągano z domów, wabiono podstępem na zebrania. Podczas takich spotkań policja zabierała do więzień ich uczestników, jak w przypadku zebrania ziemian z powiatu lipnieńskiego. Aresztowano ich w sposób, który w niedługim czasie powtórzono wobec profesorów krakowskich. Okręgowy przywódca chłopów (Kreisbauernführer) zwołał na 24 października 1939 r. zebranie rolników powiatu lipnieńskiego posiadających majątki o powierzchni powyżej 50 ha. Celem tego zebrania miały być „pilne sprawy gospodarcze”. Internowano w ten sposób 60 mężczyzn, których osadzono w więzieniu we Włocławku, a następnie razem z 71 nauczycielami włocławskich szkół średnich i katolickimi duchownymi wywieziono do obozu Rudau II bei Königsberg (Rudawa koło Królewca), do obozu Grossmischen (Miszewo w Sambii) i do Beidritzen koło Królewca, gdzie pracowali przy budowie autostrady Berlin–Szczecin–Braniewo–Królewiec, na odcinku Braniewo–Królewiec.

W październiku i listopadzie internowano działaczy politycznych i społecznych z powiatu gostynińskiego, wśród nich komendanta Policji Polskiej w Gostyninie i komendanta Straży Pożarnej, nauczycieli i kierowników szkół, księży, posła na sejm z Gostynina, urzędników i adwokatów. W tym samym czasie w Płocku internowano wskazanych przez Selbstschutz działaczy politycznych Związku Zachodniego, Polskiej Organizacji Wojskowej, miejscowych notariuszy i redaktora naczelnego „Głosu Mazowieckiego”. W Węgrzynowie, Krasieńcu i Krasnem w powiatach makowskim i ciechanowskim internowano proboszczów miejscowych parafii i kierowników szkół podstawowych. Osadzono ich w miejscowych więzieniach – obóz w Hohenbruch był bowiem przepiętny.

⁵ *Ibidem*, 757, k. 751, 621–622.

Utajony ośrodek zagłady w Działdowie

Dalszy przebieg „Akcji inteligencja” na północnym Mazowszu znany jest m.in. z wypowiedzi SS-Brigadeführera Otto Rascha, dowódcy oddziału operacyjnego policji bezpieczeństwa (Einsatzkommando der Sicherheitspolizei) w grupie operacyjnej do zadań specjalnych (Einsatzgruppe zur besonderen Verwendung), a następnie w okresie od listopada 1939 do listopada 1941 r. dowódcy policji i służby bezpieczeństwa w Królewcu. Rasch był twórcą utajonego ośrodka zagłady w Działdowie (Soldau-Durchgangslager für polnische Zivilgefangene) dla inteligencji tego regionu, internowanej w ramach „Intelligenzaktion”. Okoliczności powstania obozu Rasch opisywał – można powiedzieć – chłodno i rzeczowo. Ten chłód do dzisiaj wstrząsa: „Gdy objąłem to stanowisko, zastałem tam [Hohenbruch, Rudau, Grossmischen, Beidritten, powiatowe więzienia] dużą liczbę politycznych więźniów, aresztowanych przez operacyjne grupy policji. Więźniowie ci zostali zbadani przeze mnie lub przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy [RSHA]. W toku sprawy okazało się, że część tych więźniów można było zwolnić. W stosunku do pewnej części musiałem zażądać umieszczenia ich w obozach koncentracyjnych, a ostatnią część więźniów, składającą się z aktywistów polskiego ruchu oporu, najlepiej było zlikwidować. [...] Przejściowy obóz w Działdowie został przeze mnie utworzony umyślnie zimą 1939/1940 w tym celu, aby dokonać w sposób dyskretny koniecznej likwidacji”⁶.

W obozach koncentracyjnych (KL Sachsenhausen, a następnie KL Dachau) uwięziono celników spod Malborka i Tczewa i internowanych z Chorzeli i Przasnysza. Większość z nich nigdy stamtąd nie wróciła. Żonę Seweryna Pieniężnego wraz z poetką Marią Zientarówną umieszczono w KL Ravensbrück. Do KL Sachsenhausen, a następnie do KL Mauthausen-Gusen, skierowano nauczycieli z Kwidzyna. Nauczycieli z Olsztyna uwięziono w KL Dachau.

W Hohenbruch rozstrzelano Seweryna Pieniężnego. Wraz z nim zginęli Jan Maza – nauczyciel z Uniszewa, Leon Włodarczyk – wspomniany kierownik Spółdzielni „Rolnik” w Olsztynie i Wojciech Gałęziewski – współwydawca „Gazety Olsztyńskiej”.

Do Działdowa przewieziono pracowników konsulatów, wrocławskich nauczycieli i księży oraz nauczycieli, księży i rolników z powiatu lipnieńskiego, żeby – jak to ujął Rasch – „zlikwidować tych więźniów tak dyskretnie, aby nic nie dotarło do wiadomości publicznej”. Natomiast wspomniany wcześniej osobisty referent Rascha, Schlegel, dodał zimno i cynicznie, w jak wielkiej tajemnicy dokonywano egzekucji. „W celu zamaskowania mieli ci Polacy podpisać deklarację tej treści, że zgadzają się na odesłanie ich do G[eneralnego] G[ubernatorstwa]. Wykonując wydane mi rozkazy, kazałem wystąpić w pierwszych dniach stycznia 1940 r. transport, może 170 osób, do GG. W rzeczywistości egzekucja tych Polaków odbyła się w lesie”⁷.

W lesie koło Woli Łąckiej na przełomie listopada i grudnia 1939 r. rozstrzelano działaczy politycznych i społecznych z powiatu gostynińskiego, przetrzymywanych w miejscowym więzieniu. W tym samym czasie rozstrzelano w lesie pod Łąckiem działaczy z Płocka. Również na przełomie listopada i grudnia w lasach rozstrzelano internowanych proboszczów i kierowników szkół z Węgrzynowa, Krasinca i Krasnego.

Osadzonych w Działdowie działaczy, urzędników, księży i nauczycieli z Ciechanowa, Płocka, Makowa Mazowieckiego, Działdowa i Ostrołęki mordowano zarówno w lesie koło Góry Komornikowskiej, jak i w piwnicach budynków obozowych. W powiatach tych „Akcja inteligencja” trwała do kwietnia 1940 r. W jej wyniku zamordowano w obozie w Działdowie i okolicznych lasach kilka tysięcy przedstawicieli miejscowej inteligencji.

W powiecie sierpeckim internowano w kwietniu 1940 r. około 500 działaczy społecznych, urzędników i nauczycieli, których osadzono w Działdowie i tam rozstrzelano lub uwięziono do KL Mauthausen-Gusen. W powiecie ciechanowskim internowano 117 nauczycieli, część z nich zamordowano w Działdowie, innych w egzekucji w lesie ościstowskim, pozostających wysłano do KL Mauthausen-Gusen.

⁶ *Ibidem*, 757, k. 501–503.

⁷ *Ibidem*, 757, k. 507–508.

Internowanych w powiecie makowskim na Mazowszu rozstrzelano w Wąskim Lesie. W nocy z 5 na 6 kwietnia 1940 r. w Ostrołęce internowano około 200 osób. Część z nich rozstrzelano na wzgórzach za miejscowym cmentarzem, pozostałych wywieziono do obozów koncentracyjnych. Od 4 do 9 kwietnia 1940 r. internowano inteligencję powiatu płockiego – około 2 tys. osób. Ludzie ci zostali rozstrzelani w Działdowie lub zginęli w KL Mauthausen-Gusen, gdzie m.in. zamordowano 41 nauczycieli powiatu płockiego, internowanych w kwietniu 1940 r. W Działdowie i Mauthausen-Gusen ginęła również inteligencja powiatu mławskiego i przasnyskiego.

Ogólny bilans strat

Oblicza się, że w ramach „Akcji inteligencja” zamordowano na terenach polskich przyłączonych do Rzeszy ponad 40 tys. osób. W tym samym czasie ponad 20 tys. Polaków z tych ziem zesłano do obozów koncentracyjnych. Przeżyło zaledwie kilka procent z nich.

Tę przerażającą akcję Rasch podsumował słowami: „Zlikwidowano tych Polaków, którzy uważani są za wrogów państwa, zbrodniarzy, osoby aspołeczne. [...] Uważałem za swój obowiązek uczestniczyć we wszystkich fazach egzekucji i zlikwidowania więźniów, tak że w tej dziedzinie nic nie mogło stać się bez mojej zgody. Stosownie do tego nic nie dotarło do wiadomości publicznej”⁸.

Informacje o rozmiarach „Akcji inteligencja” zdobyto dopiero po wojnie, w wyniku ankietyzacji przeprowadzonej przez sądy grodzkie na wniosek Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce.



Fot. ze zbiorów IPN

Polacy wysiedlani z Włocławka

⁸ *Ibidem*, 757, k. 503.

TRZY DNI TERRORU. PIERWSZE PLANOWE MASOWE EGZEKUCJE W WIELKOPOLSCE

W okresie zarządu wojskowego w Wielkopolsce działały specjalne grupy operacyjne policji bezpieczeństwa (Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei und des Sicherheitsdienstes). Celem ich działań była pacyfikacja zajętego terenu po to, by umożliwić stworzenie nowej – niemieckiej administracji i zapewnić bezpieczeństwo na tyłach Wehrmachtu. Działania te odbywały się pod kryptonimem „Akcja Tannenberg”.

Nie po to mnie tu przysłał Führer, abym teraz głąskał w jedwabnych rękawiczkach kilku niemieckich proboszczów, którzy tu wytrzymali próbę, lecz abym wytepił naród polski, po to, by dzięki temu mógł żyć naród niemiecki.
(Arthur Greiser – szef zarządu cywilnego, a następnie gauleiter i namiestnik Rzeszy w Kraju Warty)¹

Obszar Wielkopolski potraktowano jak integralną część III Rzeszy. Pamiętając jednak o zachowaniu Wielkopolan przed dwudziestoma laty, kiedy patriotyzm nakazał im chwycić za broń i walczyć o polskość, założono, że jedyną metodą pozwalającą opanować tę ziemię jest masowa eksterminacja jej ludności.

Odwet na Polakach

Przeprowadzone egzekucje miały charakter propagandowy. Od połowy września 1939 r. na łamach „Posener Tageblatt” często pojawiały się nekrologi Niemców z Wielkopolski, którzy zginęli podczas pierwszych dni wojny. W prasie zamieszczano informacje o rozstrzelanych niemieckich dywersantach, podkreślając, że „jako narodowi socjaliści zmarli dla wielkich Niemiec” lub też że zginęli „w walce o wyzwolenie naszej Ojczyzny”. W oficjalnych wystąpieniach i pismach władz oskarżano naród polski o masowe mordowanie Niemców. W sprawozdaniu dowódcy policji porządkowej w Poznaniu Oskara Knofego, wystanym do Berlina 19 października 1939 r., czytamy: „dla właściwego ukarania Polaków za straszne mordy” przeprowadzone zostaną w najbliższych dniach aresztowania przedstawicieli polskiej inteligencji. Szczególnie akcentowano wydarzenia w Bydgoszczy – tzw. krwawą niedzielę, podczas której „polskie bandy zabójców” miały dokonać rzezi mężczyzn, kobiet i dzieci tylko dlatego, że byli oni Niemcami. W prasie ukazywały się makabryczne opisy tej zbrodni, podawano coraz większą – fikcyjną – liczbę ofiar. Aresztowanym Polakom pokazywano fotografie przedstawiające zwłoki Niemców rzekomo zamordowanych przez ich rodaków w trakcie tych zajęć. Podkreślano przy tym, że wypadki te spowodowała polska inteligencja, podburzając do mordowania Niemców. Działania inteligencji miały być wręcz siłą sprawczą całej wojny. Choć wypadki w Bydgoszczy najbardziej nagłaśniano, aresztowanych Polaków obarczano również odpowiedzialnością za inne zbrodnie na mniejszości niemieckiej. Po egzekucji w Kostrzynie ukazał się afisz z zawiadomieniem tamtejszego burmistrza

¹ Cyt. za: S. Datner, *Wilhelm Koppe – nieukarany zbrodniarz hitlerowski*, Warszawa 1963, s. 15.

Brunona Smolnego, że „za podżeganie i współudział w bestialskim zamordowaniu koła Turku 103 osób narodowości niemieckiej sąd doraźny skazał na karę śmierci 57 osób z powiatu Środa”. Innym powodem egzekucji miało być zabicie przez Polaków pod Kutnem dwóch Niemców z Mosiny, zmobilizowanych podczas ewakuacji jako wozaków.

Uderzenie w elity

Spodziewano się, że wyniszczenie warstwy przywódczej spowoduje pacyfikację Wielkopolski. Liczono, że w ten sposób Polacy staną się rzeszą potulnych pracowników, którym nie przyjdzie na myśl zrzucenie niemieckiego jarzma. Tak jak zakładnicy, których brali wkraczające do poszczególnych miejscowości oddziały Wehrmachtu w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa i spokoju, osoby wytypowane do egzekucji były najprzedniejszymi obywatelami swoich miejscowości. Z przeprowadzonych przez mnie obliczeń wynika, że wśród zamordowanych największą grupę (36 osób) stanowili urzędnicy – burmistrzowie, funkcjonariusze policji, leśnicy, pracownicy poczty i różnych urzędów. Liczni byli również nauczyciele (32 osoby), właściciele ziemscy (17 osób), a także lekarze (4 osoby) i prawnicy (5 osób). Dużą grupę stanowili przedstawiciele miejscowej gospodarki i przemysłu: kupcy, właściciele sklepów i fabryk, rzemieślnicy, dyrektorzy i pracownicy banków – niejednokrotnie najbogatsi obywatele poszczególnych miast. Przed plutonem egzekucyjnym stawali także rolnicy, którzy cieszyli się poważaniem społeczności lokalnych, czego dowodem było pełnienie funkcji sołtysa. Wszyscy skazani byli aktywnymi społecznikami – wychowawcami młodzieży w harcerstwie, Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”, kołach śpiewaczych; działaczami lokalnych samorządów, propagatorami idei modernizacji w rolnictwie, starali się, by cała społeczność uczestniczyła w życiu politycznym kraju, chociażby przez słuchanie informacyjnych programów radiowych z publicznie udostępnianych odbiorników. Większość aresztowanych i straconych była ponadto członkami Związku Powstańców Wielkopolskich, Związku Zachodniego oraz Bractwa Kurkowego i Związku Strzeleckiego, część należała do oddziałów Obrony Narodowej. Wśród zamordowanych byli czynni działacze polityczni – w tym przede wszystkim przedstawiciele cieszącego się szerokim poparciem w Wielkopolsce Stronnictwa Narodowego. Najistotniejsze było jednak to, że wszyscy byli prawdziwymi patriotami. Jeszcze przed wojną często przeciwstawiali się działaniom mniejszości niemieckiej, które godziły w dobro państwa polskiego. Kiedy podczas procesu w Środzie proponowano Kazimierzowi Boeningowi, właścicielowi majątku Połazejewo, zwolnienie – sugerując, że jego nazwisko oraz to, że podczas I wojny światowej zasiadał w niemieckim sądzie polowym, przeczą jego polskości – nie skorzystał z tej oferty i wołał umrzeć jako Polak. Skazani wychodzili na stracenie śpiewając hymn narodowy, niektórzy ginęli z okrzykiem „Niech żyje Polska”. W trakcie egzekucji w Śremie stojący przed plutonem ksiądz Antoni Rzadki ukląkł, przez co ominęły go pociski, zabił go strzałem w głowę prowadzący egzekucję oficer.

Plany i sprawy

Źródłem terroru można doszukiwać się już w „biblii” nazizmu – *Mein Kampf* Adolfa Hitlera. Jeszcze przed wojną sporządzono specjalne listy Polaków (*Sonderfahndungsbuch Polen*), których uznano za szczególnie niebezpiecznych dla Rzeszy. Przy nazwiskach znajdowały się następujące uwagi: AV – członek Związku Powstańców Wielkopolskich, WM – członek Związku Zachodniego, Lc. (lista c) – lista osób obciążonych politycznie, L – nauczyciel, *Intell.* – inteligencja i półinteligencja, *Gesch.* – właściciel sklepu, S – inni przewidziani do ewakuacji, ND – Partia Narodowo-Demokratyczna, Df. – wrogi stosunek do Niemców.

Realizacją idei zawartych w *Mein Kampf* zajął się szef bezpieczeństwa Reinhard Heydrich. 25 sierpnia 1939 r. w berlińskiej siedzibie gestapo stworzył on Specjalny Referat ds. „Akcji Tannenberg”, dzięki któremu mógł bezpośrednio kierować całą akcją. Referat gromadził materiały i meldunki nadsyłane przez wszystkie grupy operacyjne, jak również zajmował się ich opracowywaniem. Stąd przekazywano dowódcom grup wstępne wytyczne i dyrektywy dotyczące eksterminacji inteligencji i warstw przywódczych. Takie rozkazy do-



Obwieszczenie o egzekucji

stawał również SS-Oberführer Erich Nauman dowodzący utworzoną 12 września 1939 r. we Frankfurcie nad Odrą Einsatzgruppe VI, której wyznaczono do działań teren wyjątkowy, czyli Wielkopolskę. W ramach tej grupy funkcjonowały trzy oddziały operacyjne: Einsatzkommando 14 pod dowództwem SS-Sturmbannführera Gerharda Flescha, Einsatzkommando 15 pod dowództwem SS-Sturmbannführera Franz Sommera, Einsatzkommando 11 pod dowództwem SS-Sturmbannführera Heinza Graefego.

14 października 1939 r. w Berlinie na konferencji szefów departamentów Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) i dowódców grup operacyjnych Heydrich wydał rozkaz: „likwidacja polskiej warstwy kierowniczej musi być zakończona do 1 listopada!”². W konferencji uczestniczył w charakterze gościa również Arthur Greiser, któremu była bezpośrednio podporządkowana Einsatzgruppe VI. Następstwem tego była zorganizowana 18 października 1939 r. w Poznaniu odprawa funkcjonariuszy tej grupy operacyjnej. Zgodnie z rozkazem Heydricha zaplanowano wówczas przeprowadzenie w dniach 20, 21 i 23 października serii egzekucji publicznych w czternastu miastach leżących na terenie pięciu powiatów Wielkopolski: gostyńskiego, kościańskiego, leszczyńskiego, śremskiego i średzkiego. Nie tylko ustalono miejscowości, gdzie będą przeprowadzone egzekucje, określono również minimalną liczbę ofiar. W Śremie miano zgładzić 25 osób, w Lesznie – 30, Kórniku – 15, Osiecznej – 25, Książu – 15, we Włoszakowicach – 15, w Mosinie – 15, Poniecu – 25, Krobi – 25, Smiglu – 20, Środzie i Kostrzynie – 30, Gostyniu – 25. Łączna liczba ofiar miała więc wynieść 295 osób. Na odprawie tej wyznaczono również składy oddziałów egzekucyjnych oraz ich marszruty. Rangę i wyjątkowość tego zadania potwierdza to, że członków plutonów egzekucyjnych dobierano z funkcjonariuszy różnych pododdziałów wchodzących w skład Einsatzgruppe VI, pomimo że teren tej operacji był właściwy dla działań Einsatzkommando 14.

² Cyt. za: K. Radziwińczyk, „Akcja Tannenberg” grup operacyjnych Sipo i SD w Polsce. Jesień 1939, „Przegląd Zachodni” 1966, nr 5, s. 103.

Podjęte na tej odprawie postanowienia jeszcze tego samego dnia przekazano wraz z zarządzeniami wykonawczymi terenowym organom władz hitlerowskich – landratom. Do nich bowiem, jako skupiających w swoich rękach władzę wykonawczą i odpowiedzialnych za realizację zadań o charakterze politycznym, należało przygotowanie akcji. Jak wynika z meldunku dziennego komendanta posterunku żandarmerii w Kórniku Höppnera, landrat śremski – Alfred Klöstermann – zwołał jeszcze tego samego dnia, czyli 18 października 1939 r., specjalną odprawę, w której uczestniczyli komendanci miejscowej żandarmerii.

Aresztowania, „sądy” i przygotowania do egzekucji³

Po otrzymaniu wytycznych poszczególni landraci przystąpili do działań (w miastach nie będących siedzibami landratów, a w których zaplanowano egzekucje, przygotowaniemi kierowali burmistrzowie). Wydano odpowiednie zarządzenia dla organów policji o aresztowaniu osób, które znalazły się na specjalnych listach. Bezpośrednim wskazaniem osób, które miały ponieść śmierć, zajęli się miejscowi Niemcy – jako najlepiej zorientowani w sytuacji w poszczególnych miejscowościach. To oni ustalali, który z miejscowych Polaków najbardziej „zasłużył” na śmierć; często wyborem tym kierowała sąsiedzka animozja czy też żądza zemsty.

Aresztowania rozpoczęły się już 18 października 1939 r. Przeprowadzała je z reguły żandarmeria przy udziale policji pomocniczej. Jeśli wskazana na liście osoba była nieobecna, w jej miejsce aresztowano kogoś innego. Dla przykładu: zamiast Stanisława Madalińskiego – właściciela majątku w Dębiczu, zmarłego 24 października 1937 r., aresztowano jego syna. Część osób figurujących na listach przebywała już w aresztach, w takiej sytuacji osoby te przewożone były do miejscowości, w której miały zginąć. Tragiczny był los dr. Romana Gawrona z Kórnika. Z powodu jego nagłego wyjazdu do chorego nie zdołano go postawić przed odbywającym się w Kórniku sądem. Kiedy powrócił, było już po egzekucji, ale ponieważ był na liście przeznaczonych do stracenia – musiał zginąć. Został więc zatrzymany i przewieziony autobusem razem z plutonem egzekucyjnym do Mosiny, gdzie skazano go na śmierć razem z innymi. Aresztantów (z reguły w liczbie przewyższającej wyznaczoną do egzekucji) umieszczano zarówno w prowizorycznych aresztach (np. w piwnicach ratusza w Śremie, w boźnicy w Mosinie), jak i w aresztach stałych (w Gostyniu i Lesznie). W niektórych miastach zezwalano aresztantom na kontakty z rodziną oraz dostarczanie im posiłków i odzieży. Aresztanci nie byli przesłuchiwani, nie toczyło się przeciwko nim żadne postępowanie. Ponieważ zgodnie z zarządzeniem dowódcy poznańskiego okręgu wojskowego gen. Alfreda von Vollard-Bockelberga z 21 września 1939 r. we wszystkich tych miejscowościach wyznaczano ciągle zakładników, nikt z aresztantów ani ich rodzin nie przypuszczał, że zostaną straceni. Dopiero powzięte przez niemieckie władze przygotowania i informacje z innych miast, gdzie egzekucje już się odbyły, uświadamiały wszystkim, co czeka zatrzymanych.

Zgodnie z zarządzeniami w przeddzień lub w dniu egzekucji w centralnych punktach miast – na rynku, przed ratuszem – pod niemieckim nadzorem tworzone scenę zbrodni: wrywano kostki z bruku, budowano tzw. kulochwyty (ścianę z desek lub podkładów kolejowych, przed którą przeprowadzano egzekucję), przywożono i ustawiano worki z piaskiem lub trocinami. Do wykonania tych czynności zmuszano Polaków. Wskazane osoby musiały stawić się do kopania grobów dla przyszłych ofiar. Poszczególni Polacy otrzymali również nakaz stawienia się na rynku z furmankami i łopatami.

Aby zapewnić odpowiednią frekwencję „publiczności”, wydano zarządzenia, na mocy których wyznaczonego dnia na miejscu egzekucji stawić się mieli wszyscy mężczyźni z danej miejscowości.

Odpowiednie wytyczne otrzymały również przebywające w poszczególnych miejscowościach jednostki Wehrmachtu. Do ich zadań należało zapewnienie porządku w miejscu

³ Informacje dotyczące przygotowań i przebiegu egzekucji zaczerpnięto ze znajdujących się w archiwum podręcznym OKŚZpNP w Poznaniu akt śledztw dotyczących poszczególnych zbrodni.



Grzebanie ofiar egzekucji w Kościanie

egzekucji, stąd w wyznaczonym dniu miejsce to było obstawione wojskiem, a na uliczkach wychodzących z placu lub rynku stały karabiny maszynowe.

Trzy dni zagłady

20 października 1939 r. odbyły się następujące egzekucje: w Śremie (około godz. 10) i Książu (około godz. 16) dokonane przez Einsatzkommando 14, w Środzie (około godz. 9) i Kostrzynie (około godz. 15.30) – przez Einsatzkommando 15 oraz w Kórniku (około godz. 8) i Mosinie (około godz. 14.30) – przez Einsatzkommando 11. 21 października 1939 r. Einsatzkommando 14/VI przeprowadziło egzekucje w Lesznie (w godzinach przedpołudniowych), Osiecznej (w godzinach południowych) i we Włoszakowicach (w godzinach popołudniowych), a – najprawdopodobniej – Einsatzkommando 11 egzekucje w Gostyniu (około godz. 10), Krobi (po południu) i Poniecu (wieczorem). 23 października 1939 r. Einsatzkommando 14 dokonało egzekucji w Kościanie i Śmiglu.

Wszystkie egzekucje przeprowadzono w podobny sposób. Określonego dnia w danej miejscowości zjawiał się oddział Einsatzkommando z policyjnym sądem doraźnym. Sądy te powołano na mocy rozporządzenia naczelnego dowódcy wojsk lądowych gen. Waltera von Brauchitscha z 21 września 1939 r. Oprócz członków składu sądującego (dowódcy oddziału i dwóch oficerów jako ławników) w rozprawie uczestniczyli jako opiniodawcy i informatorzy przedstawiciele miejscowych Niemców. W rozprawie w Lesznie brał udział np. miejscowy pastor – Wolfgang Bickerich. Był on twórcą przedwojennych kartotek, w których zawarte były informacje o miejscowych Polakach dotyczące ich działalności politycznej i społecznej. Od pierwszych dni wojny prowadził on również zapis wszelkich krzywd doznanych przez Niemców z tego terenu. W rozprawach uczestniczyli także w roli obserwatorów przedstawiciele miejscowej władzy cywilnej i policyjnej. Następnie do pomieszczenia, w którym odbywała się rozprawa, wprowadzano grupami aresztantów. Ustalano, czy zgadzają się ich

dane personalne, następnie wysłuchiwano opinii przedstawiciela miejscowej niemieckiej mniejszości na ich temat. Później aresztowanych pytano o przynależność do różnych organizacji (Stronnictwo Narodowe, Związek Zachodni, Związek Powstańców Wielkopolskich). Dociekano, dlaczego uciekali przed Niemcami i co robili, by zapobiec prześladowaniom i morderstwom, jakich dopuścili się Polacy na Niemcach. W trakcie rozprawy nie dopuszczano nawet możliwości, że aresztanci są niewinni. Zarzucano im podżeganie przeciw Niemcom i udział w zbrodniach dokonanych na Niemcach zarówno przed wybuchem wojny, jak i w pierwszych dniach września 1939 r. Oskarżano ich również o potajemne przygotowywanie powstania skierowanego przeciw III Rzeszy. W zależności od tego, ilu oskarżonych stało przed sądem, rozprawa trwała od jednej do trzech godzin. Następnie po krótkiej naradzie (15–20 minut) ogłaszano, którzy z więźniów zostali skazani na śmierć.

Po odczytaniu listy odbierano skazanym cenniejsze przedmioty (zegarki, pióra, obrączki, portfele itp.), rozkazywano zdjąć wierzchnią odzież i grupami wyprowadzano, z podniesionymi rękoma, na miejsce straceń. Tam czekał już pluton egzekucyjny, który na oczach setek ludzi dokonywał rzezi. Tych, którzy po salwie jeszcze żyli, dobijał z rewolweru prowadzący egzekucję oficer. Ludność niemiecka zgromadzona podczas egzekucji, klaszcząc, okazywała zadowolenie. Po egzekucji w Książu burmistrz Dolska – Wilhelm Kleiböcker – wygłosił nienawistne przemówienie, w którym z furią potępiał Polaków.

Po egzekucji wyznaczeni Polacy ładowali ciała pomordowanych na przygotowane wozy i transportowali je na miejsce pochówku. Szczególnie okrutnie potraktowano byłego burmistrza Śremu Teofila Wolniewicza, który z powodu złego stanu zdrowia nie mógł chodzić. Nie rozstrzelano go na rynku, lecz po rozprawie i wykonaniu wyroku na pozostałych skazanych posadzono na wózku i przewieziono razem z ciałami zabitych na cmentarz. Wolniewicz, pomimo że był starym i schorowanym człowiekiem, próbował uciekać. Czotgającego się na kolanach starca uśmiercono dwoma strzałami w tył głowy.

Uratowani

Jednak nie wszystkich, których nazwiska znalazły się na liście skazanych, zabito. By uratować oskarżonemu życie, wystarczyło uzyskać poświadczenie miejscowego Niemca. Dlatego rodziny aresztowanych zwracały się z prośbami o wstawiennictwo do najbardziej znanych i cenionych w miejscowych społecznościach Niemców. Tym sposobem w Środzie uniknął śmierci Jan Błażejowski (uczestnik powstania wielkopolskiego, kierownik Spółdzielni Handlowo-Rolnej „Rolnik” w Środzie i rzeczoznawca Giełdy Zbożowo-Towarowej w Poznaniu). Powołał się na to, że doprowadził do zwolnienia dwóch internowanych Niemców – działaczy mniejszościowych, ponadto jeden z przebywających na sali rozpraw oficerów rozpoznał w nim współtowarzysza z oddziału niemieckiego walczącego na froncie wschodnim podczas I wojny światowej. Oficer ten zawiózł go samochodem do majątku Zbierki, gdzie mieszkał jeden ze zwolnionych Niemców – Schur. Bojąc się reperkusji spowodowanych obroną Polaka, nie chciał on jednak podpisać oświadczenia, zrobił to dopiero pod presją oficera. Po powrocie i okazaniu oświadczenia Błażejowskiego zwolniono.

Mogiły

Zwłoki straconych chowano we wspólnym, nieoznakowanym grobie. Często groby te przygotowywano na cmentarzu żydowskim (w Kościanie), kartoflisku (w Środzie) lub poza murem cmentarnym (w Łesznie). Rodzinom nie zezwalano na obecność przy pochówku. Przed świętem Wszystkich Świętych szef Einsatzkommando 14 SS-Sturmabführer Gerhard Flesch zalecał landratom zastosowanie wyjątkowych środków policyjnych. W związku z tym w Książu, Kórniku i Śremie Polakom zakazano wstępu 1 listopada na wszystkie cmentarze. W większości akty zgonu zamordowanych wystawiono z dużym opóźnieniem, niektóre nawet w 1942 r.

Te trzy dni stanowiły jedynie preludeum do prowadzonych przez całą okupację planowych, masowych akcji zagłady wielkopolskich elit.



Kraj Warty. Wysiedlani Polacy w drodze na dworzec

„AKCJA AB” NA LUBELSZCZYŹNIE

7 września 1939 r. szef RSHA Reinhard Heydrich na odprawie dotyczącej „Akcji Tannenberg” wydał polecenie: „czołowe warstwy ludności polskiej należy unieszkodliwić w takim stopniu, na ile to jest możliwe”¹. Decyzje, które zapadły kilka dni później, nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do skali planowanej zbrodni.

Na odprawie, która odbyła się 12 września 1939 r. w Jełowej na Śląsku, w obecności m.in. gen. Wilhelma Keitla, szefa Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, admirała Wilhelma Canarisa, szefa wywiadu wojskowego (Abwehry), i Joachima von Ribbentropa, ministra spraw zagranicznych Rzeszy, Hitler nakazał „masowe niszczenie polskiej inteligencji”.

W początkach października 1939 r., po całkowitym zajęciu Lubelszczyzny przez Wehrmacht i ustanowieniu zarządu wojskowego, a także w pierwszych dwóch tygodniach po utworzeniu dystryktu lubelskiego w ramach Generalnego Gubernatorstwa, społeczeństwo polskie tych ziem, głównie inteligencja, spodziewało się raczej okupacji na wzór okupacji austriackiej z okresu I wojny światowej. Te przypuszczenia zostały rozwiane już 9 listopada, kiedy to władze okupacyjne przeprowadziły brutalne masowe aresztowania. Objęły one nauczycieli szkół podstawowych i średnich, sędziów, adwokatów, inżynierów oraz księży. Wydarzenia tego dnia i kilku następnych można porównać do akcji przeprowadzonej parę dni wcześniej w Krakowie, która zyskała miano „Sonderaktion Krakau”. 11 listopada zatrzymano czternastu profesorów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, 17 listopada zamknięto uniwersytet i aresztowano około sześćdziesięciu studentów. Aresztowano także licznych duchownych Kurii Biskupiej, Sądu Biskupiego i Seminarium Duchownego. 23 listopada akcja objęła kleryków jezuickich. Wśród aresztowanych w listopadzie 1939 r. znalazło się szesnastu profesorów KUL, 36 profesorów gimnazjów lubelskich, 44 nauczycieli szkół powszechnych, siedmiu sędziów Sądu Okręgowego i Apelacyjnego, 24 adwokatów oraz ponad stu duchownych katolickich, w tym biskupi Marian Fulman i Władysław Goral. Wszystkich aresztowanych osadzono w celach więzienia na Zamku w Lublinie.

W przeddzień świąt Bożego Narodzenia, 23 grudnia 1939 r., na cmentarzu żydowskim przy ul. Siennej funkcjonariusze 102. batalionu policji rozstrzelali dwunastu więźniów Zamku. Wśród zamordowanych było dziesięciu przedstawicieli lubelskiej inteligencji. Byli to: Stanisław Bryła – prezes Sądu Okręgowego w Lublinie, Bolesław Sekutowicz – prezes Sądu Apelacyjnego w Lublinie, Edward Lipski i Władysław Rutkowski – adwokaci, Czesław Martyniak – profesor KUL, ks. Michał Niechaj – profesor Wyższego Seminarium Duchownego i KUL, Tadeusz Moniewski – dyrektor Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Staszica, Antoni Krzyżanowski – dyrektor Gimnazjum i Liceum Wacławy Arciszowej, Józef Dańkowski – starosta powiatu lubelskiego, Tadeusz Illukiewicz – starosta powiatu lubartowskiego. Mord ten – zdaniem prof. Czesława Łuczaka – był zaczątkiem „systematycznej akcji wyniszczania w Generalnym Gubernatorstwie polskiej inteligencji”².

W ciągu kilku pierwszych miesięcy okupacji siły SS i policji niemieckiej, kierowane przez SS-Brigadeführera Odilo Globocnika, obok akcji przeciwko inteligencji Lubelszczyzny prze-

¹ K. Radziwończyk, „Akcja Tannenberg” grup operacyjnych Sipo i SD w Polsce. Jesień 1939, „Przegląd Zachodni” 1966, nr 5, s. 98.

² C. Łuczak, *Polityka ludnościowa i ekonomiczna hitlerowskich Niemiec w okupowanej Polsce*, Poznań 1979, s. 75.



Fot. ze zbiorów IPN

Wysiedlanie Polaków z powiatu biłgorajskiego, 1943 r.

prowadziły także atak na struktury hierarchii diecezjalnej, którą Globocnik uznał za istotną ostoję polskości. Jak ustaliła działająca w latach 1945–1949 Miejska Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Lublinie, 25 stycznia 1940 r. w Lublinie pod pretekstem przechowywania oficerów polskich, ukrywania broni oraz przynależności do tajnych organizacji aresztowano 23 kapucynów, a 2 lutego – 43 jezuitów³.

„Akcja AB”: cel polska inteligencja

Władze Generalnego Gubernatorstwa uznawały polską inteligencję za inicjatora organizującego się ruchu oporu. Znalazło to odzwierciedlenie w ustaleniach zapadłych na kolejnych roboczych konferencjach na temat bezpieczeństwa w GG. Na jednej z nich, 16 maja 1940 r., Hans Frank stwierdził: „Ogólna sytuacja wojenna zmusza do bardzo poważnego rozważenia warunków bezpieczeństwa w GG. Mnóstwo oznak i wypadków wskazuje na to, że w kraju istnieje wielki, zorganizowany ruch oporu i że kraj stoi bezpośrednio przed wybuchem gwałtownych wydarzeń. Tysiące Polaków zorganizowało się w tajnych związkach, są uzbrojeni i gotowi popełniać akty terroru wszelkiego rodzaju w najbardziej buntowniczej formie”. Efektem tego posiedzenia było zarządzenie Hansa Franka zawierające wytyczne dotyczące planowanej akcji: „1. Z natychmiastową mocą zaleca się szefowi Sicherheitspolizei bezpośrednią realizację nadzwyczajnego programu pacyfikacyjnego; 2. Przy wyborze metod realizacji tego programu należy stosować się do omówionych wytycznych; 3. Koniecznymi w tym celu akcjami o charakterze policyjnym, jak również wszystkimi innymi, kierować będzie szef Sicherheitspolizei. Akcje samowolne są absolutnie niedopuszczalne. Przy wszelkich posunięciach należy przede wszystkim pamiętać o utrzymaniu autorytetu Führera i Rzeszy”.

Na poświęconym sprawom bezpieczeństwa posiedzeniu rządu GG 30 maja 1940 r., którego uczestnikami byli gubernatorzy dystryktów i przedstawiciele władz policyjnych, omawiano plany działań, jakie miały być podjęte w ramach akcji pacyfikacyjnej określanej jako „Aktion AB” (*Ausserordentliche Befriedungsaktion*). Generalny gubernator, przedstawiając zgromadzonym zbrodnicze plany, stwierdził: „W chwili obecnej, gdy na zachodzie co minuta i co sekunda tysiące Niemców składa swe życie w ofierze i leje się najlepsza niemiecka krew – naszym obowiązkiem, jako narodowych socjalistów, jest dołożyć wszelkich starań, żeby naród polski nie wzrósł w siłę kosztem ofiar ponoszonych przez Niemców. Toteż w tym czasie omówiłem z kolegą [Bruno – A.G.] Streckenbachem w obecności SS-Obergruppenführera [Friedricha Wilhelma – A.G.] Krügera ten nadzwyczajny program pacyfikacyjny, którego celem była przyspieszona likwidacja znajdującej się w naszym ręku większości buntowniczych polityków głoszących opór i innych osobników politycznie podejrzanych, jak również jednoczesne położenie kresu tradycyjnej polskiej przestępczości. Przyznaję otwarcie, że w rezultacie będzie musiało rozstać się z życiem kilka tysięcy Polaków, głównie ze sfer ideowych przywódców polskich”⁴.

Cynizm Hansa Franka w planowaniu zbrodni znalazł wyraz w innej części jego wypowiedzi na tej konferencji. W protokole posiedzenia znajdujemy następujący zapis: „uzgodniłem z kolegą Streckenbachem, że sprawy związane z akcją AB będą rozpatrywane w uproszczonym trybie przez policyjne sądy doraźne, gdyż w żadnym razie nie powinny one sprawiać wrażenia aktów samowoli lub czegoś w tym rodzaju. Sądzę, że akcję w całości będzie można zakończyć do 15 czerwca [...] Utworzona przy moim urzędzie komisja utaskawień nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Akcja AB prowadzona jest wyłącznie przez wyższego dowódcę SS i policji Krügera i podległe mu organy. To niezbędna akcja pacyfikacyjna, wykraczająca poza ramy normalnych metod postępowania”⁵.

³ R. Moszyński, L. Policha, *Lublin w okresie okupacji (1939–1944). Na podstawie badań sądowych Miejskiej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich* (dalej: MKBZN), Lublin 1964, s. 99–101.

⁴ *Okupacja i ruch oporu w dzienniku Hansa Franka 1939–1945*, Warszawa 1972, t. 1, s. 185–186, 194–195.

⁵ *Ibidem*, s. 196.

„Akcja AB” na Lubelszczyźnie

Na terenie dystryktu lubelskiego do realizacji „Akcji AB” władze okupacyjne przystąpiły de facto dopiero w połowie czerwca 1940 r. Niemal we wszystkich miastach i miasteczkach przeprowadzono masowe aresztowania działaczy organizacji społeczno-politycznych, nauczycieli, księży, sędziów, prokuratorów, adwokatów, urzędników. Zapelnili się cele zamienionej w obóz przejściowy Rotundy Zamojskiej, gdzie osadzono około dwustu przedstawicieli inteligencji⁶.

24 czerwca 1940 r. w Lublinie oddziały 104. batalionu policji, funkcjonariusze SD i Selbstschutzu przeprowadzili w różnych dzielnicach miasta zmasowane aresztowania, których ofiarą padło ponad osiemset mężczyzn w wieku od osiemnastu do sześćdziesięciu lat. Osadzono ich w więzieniu na Zamku⁷. W Białej Podlaskiej aresztowano ponad czterdziestu nauczycieli szkół średnich, w Lubartowie 26 czerwca – około pięciuset osób⁸. Akcja objęła także inne miejscowości: Chełm, Radzyń Podlaski, Janów Lubelski, Puławy. Zdecydowaną większość aresztowanych miejscowe władze policyjne skierowały do więzienia na Zamku w Lublinie, mimo że jego cele były przeznaczone tylko dla około siedmiuset więźniów.

Część więźniów wysłano do obozów koncentracyjnych. Tylko w czerwcu i lipcu 1940 r. ponad tysiąc osób wywieziono do obozu w Sachsenhausen⁹. Wobec tych, którzy znaleźli się na „czarnych listach”, sądy doraźne, stosownie do wytycznych generalnego gubernatora, orzekały tylko jedną karę – karę śmierci. W Lublinie na miejsce egzekucji ofiar „Akcji AB” wybrano tzw. Doły należące do wsi Rury Jezuickie, oddalonej o 3,5 km od śródmieścia Lublina. Począwszy od 29 czerwca do 15 sierpnia 1940 r. przeprowadzono tu pięć egzekucji, w których (co potwierdziła ekshumacja przeprowadzona przez Miejską Komisję Badania Zbrodni Niemieckich w Lublinie od 4 do 11 października 1945 r.) śmierć poniosło 450 osób. Ani w czasie ekshumacji, ani w toku późniejszych badań nie udało się ustalić pełnej listy ofiar tej zbrodni. W miejscu egzekucji stoi dziś monument.

Przebieg wszystkich egzekucji był podobny. Odbływały się, jak opisali je świadkowie, do których dotarła MKBZN w Lublinie, przy świetle reflektorów samochodowych. Podczas ekshumacji w 1945 r. stwierdzono, że „[...] liczne zwłoki miały ręce związane z tyłu sznurkami [...] na wielu czaszkach zachowały się opaski na oczodołach, na niektórych zaś widoczne były wgniecenia na skutek uderzenia tępym narzędziem”. Na podstawie położenia zwłok lekarze biegli stwierdzili, że wiele ofiar wpadało do rowów na wprost żywych¹⁰.

Ofiary kolejnych egzekucji

Najwięcej informacji, dzięki przekazanemu z więzienia grypsowi, uzyskano o pierwszej egzekucji, która odbyła się 29 czerwca 1940 r. Udało się ustalić nazwiska 34 spośród rozstrzelanych wówczas 45 osób. Byli to m.in.: Stefan Lelek-Sowa – sędzia Sądu Apelacyjnego w Lublinie, współorganizator lubelskiego okręgu SZP oraz ZWZ; Halina Lelekówna – studentka KUL, łączniczka Komendy Okręgu ZWZ; Józef Dederko – sędzia Sądu Okręgowego w Lublinie; Tadeusz Eysmont – lekarz, współzałożyciel Komendy Okręgu Związku Orła Białego; Celina Iwanowska – harcerka, szef łączności w Komendzie Okręgu ZWZ; Wincenty Samoń – strażnik z więzienia na Zamku; Zbigniew Klaudel – adwokat, redaktor wydawanego w Zamościu tygodnika „Prawda”; Bolesław Wnuk – rolnik z Wysokiego koła Zamościa, poseł na Sejm RP; mjr Zygmunt Mucha; kpt. Jan Śliwiński; sierż. Roman Jagielski z Krasnegostawu; Jan Gutek – urzędnik¹¹.

⁶ Z. Klukowski, *Dziennik z lat okupacji Zamojszczyzny (1939–1944)*, Lublin 1958, s. 119.

⁷ W. Zyśko, *Z działalności niemieckiej policji w dystrykcie lubelskim w pierwszym okresie okupacji (1939–1941)*. Wybór źródeł, „Zeszyty Majdanka” 1971, t. 5, s. 220.

⁸ *Ibidem*, s. 225.

⁹ T. Cieślak, *Oranienburg – Sachsenhausen. Hitlerowskie obozy koncentracyjne 1939–1945*, Warszawa 1972, s. 84.

¹⁰ Archiwum Państwowe w Lublinie, Miejska KBZN w Lublinie, 8, Protokół nr 459 oględzin i ekshumacji zwłok masowych mordów dokonanych przez okupantów niemieckich w Lublinie.

¹¹ *Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie 1939–1944*, red. Z. Mańkowski, Lublin 1988, s. 197.

Kolejne egzekucje odbyły się 3 oraz 4 lipca i 15 sierpnia 1940 r. Nie udało się precyzyjnie określić daty piątej egzekucji. W toku prowadzonych prac ustalono nazwiska zaledwie kilkunastu osób rozstrzelanych w Rurach Jezuickich, byli to m.in.: Bolesław Salamacha – nauczyciel z Dzierzkowic; Bolesław Rachoń – sekretarz gminy Dzierzkowice; Brunon Redliński – uczeń Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Staszica; Stanisław Rzeźniczek – student KUL; Błażej Dzikowski – poseł na Sejm RP z ramienia PSL „Wyzwolenie”; Kazimierz Sierakowski – komendant policji polskiej w Janowie Lubelskim; Stanisław Kowalski – handlowiec; ks. Władysław Bocian – proboszcz z Suchowoli¹².

W protokole z oględzin i ekshumacji ofiar tych egzekucji czytamy: „Rozkopano pięć mogił. Były to rowy 2 m głębokie i 17 m długie. Na dnie każdej mogiły leżały zwłoki w pozycji przeważnie prostopadłej do osi rowu, wrócone głowami w kierunku przeciwnym do wzgórza okalającego miejsce mordu [...] Miejskami ciała pomordowanych pokrywały sąsiednie, a w kilku miejscach znajdowały się po 2–3 warstwy zwłok ułożonych jedna na drugiej [...] Rozpoznano wyraźnie zwłoki w granatowym mundurze polskiego policjanta, jego czapkę oraz zwłoki w mundurze strażnika więziennego. Dwoje zwłok w sutannach z kotnierzykami tzw. koloratkami, co pozwala przypuszczać, że byli to księża katolicy. Kilka sukien i okryć nawet futrzanych na zwłokach kobiet. Reszta zwłok przeważnie w marynarkach, kamizelkach i spodniach [...] Po komisyjnym obliczeniu ustalono, że ilość zwłok w poszczególnych rowach wynosi: w I rowie około 70 zwłok; w II rowie około 120 zwłok; w III rowie około 80 zwłok; w IV rowie około 130 zwłok i w V rowie około 50 zwłok”¹³.

W czasie prac ekshumacyjnych – ze względu na znacznie posunięty proces rozkładu ciał – rodziny zamordowanych zdołały zidentyfikować jedynie sześć ofiar. Rozpoznani zostali: Celina Iwanowska, Stanisław Rzeźniczek, Stanisław Kowalski, Jan Gutek, Józef Dederko i Halina Lelek¹⁴. Ich ciała oddano rodzinom. Pochowane zostały na cmentarzu, natomiast pozostałe zwłoki pogrzebano na miejscu egzekucji¹⁵.

Miejscem egzekucji ofiar „Akcji AB” była także Kumowa Dolina w ówczesnym powiecie chełmskim. 3 i 4 czerwca 1940 r. funkcjonariusze gestapo rozstrzelali co najmniej 115 osób aresztowanych w powiatach chełmskim i zamojskim¹⁶. Wśród ofiar znajdowali się m.in.: Henryk Bałazy – chorąży WP; Józef Janiślawski – ziemianin; Kazimierz Janiślawski – ziemianin; Michał Nowacki – zastępca burmistrza Zamościa; Edmund Prost – kapitan WP; Jerzy Stępniewski – nauczyciel gimnazjalny; Jan Sztaba – dyrektor cukrowni w Rejowcu, Stefania Szwed – działaczka harcerska; Tadeusz Tomaszewski – prezydent Chełma; Kazimierz Żurawski – dr medycyny, major WP.

„Akcja AB” na Lubelszczyźnie była prowadzona jeszcze długo po upływie terminu określonego przez Hansa Franka – 15 czerwca 1940 r. – i mimo jego deklaracji na konferencji 23 lipca 1940 r.: „Pan gubernator generalny potwierdza fakt, że akcja A-B została zakończona, i oświadcza, że można fakt ten oficjalnie przyjąć do wiadomości”¹⁷.

Mimo upływu ponad sześćdziesięciu lat od tamtych tragicznych wydarzeń ciągle bez precyzyjnej odpowiedzi pozostaje pytanie o liczbę ofiar „Akcji AB”. W tym samym czasie, co zbrodnie w Rurach Jezuickich, miały miejsce egzekucje inteligencji polskiej m.in. w Palmirach pod Warszawą i w okolicach Krakowa. Podawana w opracowaniach¹⁸ liczba 3500 osób zamordowanych na terenie Generalnego Gubernatorstwa w ramach tej akcji zapewne nie wyczerpuje listy ofiar.

¹² *Ibidem*, s. 198.

¹³ Archiwum Państwowe w Lublinie, MKBZN w Lublinie, 3, k. 183–198.

¹⁴ *Ibidem*, k. 152.

¹⁵ *Ibidem*, 1, k. 30.

¹⁶ Akta Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Lublinie, OKL/Ds. 10//71/Ch.

¹⁷ *Okupacja i ruch oporu w dzienniku Hansa Franka...*, s. 234.

¹⁸ C. Łuczak, *op. cit.*, s. 78.

NIEMIECKIE ZBRODNIE NA POWSTAŃCACH ŚLĄSKICH W 1939 ROKU

Wkraczające oddziały Wehrmachtu i oddziały specjalne, tzw. Einsatzgruppen (grupy operacyjne), wspomagane przez niemiecką policję i Freikorps bezwzględnie likwidowały opór powstańców wspierających działania polskiego wojska na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim.

Obrona Śląskiego Obszaru Warownego i jednocześnie regionu przemysłowego przez niewystarczające siły wzmocnionej 23. Dywizji Pancernej i dwa pułki 55. rezerwowej DP okazała się niemożliwa i z góry skazywała na niepowodzenie wysiłki utrzymania Górnego Śląska w rękach polskich. Dlatego w połowie lipca dowódca 23. DP gen. Jan Jagmin-Sadowski porozumiał się z władzami Związku Powstańców Śląskich, które zobowiązały się do wystawienia batalionów samoobrony. Pod koniec sierpnia część tych oddziałów wspólnie z wojskiem patrolowała granicę, udaremniając jej penetrację przez oddziały Freikorpsu. W związku z tym niejednokrotnie dochodziło do starć. Najbardziej znane są potyczki pod Łagiewnikami czy Maciejkowicami. Na bezpośrednim zapleczu frontu zorganizowano również sieć meldunkowo-observacyjną i łączności oraz służbę sanitarną, w co zaangażowane były wszystkie patriotyczne organizacje polskie, od harcerzy poprzez Oddziały Młodzieży Powstańczej aż po weteranów powstań śląskich.

Regularne boje i walki powstańcze

Od 1 do 3 września, współdziałając z oddziałami fortecznymi 23. DP, oddziały powstańcze aktywnie powstrzymywały natarcie Freikorpsu Ebbinghaus. 3 września regularne jednostki Wojska Polskiego opuściły region przemysłowy razem z częścią oddziałów powstańczych. Te, które pozostały, nadal stawiały opór. Wobec szczupłości sił prowadziły tylko walki opóźniające. Powstało kilkanaście odizolowanych od siebie punktów oporu, m.in. w Chorzowie, Świętochłowicach i Katowicach. Do wkraczających wojsk niemieckich strzelano z poszczególnych domów. Akcje te nie były jednak powszechne. Na przykład w Świętochłowicach, nie licząc oporu zorganizowanego, jaki stawiały jednostki wycofujące się z wojskiem, strzelano do wkraczających Niemców w trzech różnych punktach miasta.

Zbrodnie sił niemieckich

Najlepiej zorganizowany opór jednostki powstańcze przygotowały w Katowicach. Zaskoczone oddziały niemieckie dokonywały natychmiastowych egzekucji zatrzymanych osób czynnie biorących udział w walce lub tylko o to podejrzewanych. W kilku przypadkach rozstrzelano również zakładników, osoby posiadające broń lub o to podejrzane. W zbrodniach tych brali udział Freikorps i prawdopodobnie również nowo utworzone tzw. stráže obywatelskie (Ortswehr i Werkswehr). Najwięcej egzekucji wynikających z zaskoczenia Niemców nieoczekiwanym oporem odbyło się w rejonie, gdzie trwały zażarte walki, a więc w okolicach Orzesza, Wyr, Katowic. Schwytanych przy stawianiu oporu powstańców Wehrmacht nie traktował jak żołnierzy regularnych jednostek, chronionych konwencjami międzynarodowymi, tylko jak zwykłych przestępców, co w warunkach toczących się działań wojennych było równoznaczne z wyrokiem śmierci. W pięciu przypadkach egzekucji dokonali członkowie Freikorpsu, w dalszych

Was Du für Volk

Ist immer

pięciu współdziałał z Wehrmacht, w czternastu za zbrodnie odpowiedzialny był tylko Wehrmacht, sprawców kilku innych bliżej nie określono¹. Według danych zawartych w *Rejestrach miejsc faktów zbrodni* od 1 do 3 września zginęło około 190 osób, głównie w egzekucjach.

Działania grup operacyjnych

Za wkraczającymi oddziałami Wehrmachtu 4 września 1939 r. w województwie śląskim pojawiły się grupy operacyjne (Einsatzgruppen). Były to doraźnie utworzone jednostki, w których skład wchodził funkcjonariusze różnych formacji policyjnych i SS. Podlegały bezpośrednio szefowi niemieckiej policji i Reichsführerowi SS Heinrichowi Himmlerowi, a w strefie przyfrontowej jednocześnie podlegały operacyjnie dowódcom poszczególnych armii.

W obszarze 10. Armii, która swoim pasem działania zahaczała o północne granice województwa śląskiego, operowała Einsatzgruppe II dowodzona przez SS-Obersturmbannführera Emanuela Schäfera. W jej ramach funkcjonowało Einsatzkommando (oddział operacyjny) nr 1 z oddziałami wydzielonymi – oddziałem w Lublińcu, którego dowódcy nie znamy, i oddziałem w Tarnowskich Górach, dowodzonym przez Sturmführera Zeidlera.

W pasie działania 14. Armii, w którym leżała przemysłowa i południowa część Górnego Śląska, działały:

- Einsatzgruppe I, dowodzona przez SS-Brigadeführera Brunona Streckenbacha. W jej skład wchodziło Einsatzkommando nr 1 dowodzone przez Sturmbannführera Ludwika Hahna, stacjonujące w Katowicach od 6 do 27 września 1939 r., złożone z dwóch trzynastoosobowych pododdziałów:

- w Chorzowie, dowodzony przez Obersturmführera Stawitzkiego. Obszarem działań tego pododdziału były Chorzów, Czeladź, Siemianowice;

- w Szopienicach, dowodzony przez Obersturmführera Soltaua. Oddział ten działał w Będzinie, Dąbrowie Górniczej, Sosnowcu;

¹ Dane dotyczące liczby ofiar zaczerpnięto z *Rejestrów miejsc faktów zbrodni popełnionych przez okupanta hitlerowskiego na ziemiach polskich w latach 1939–1945* dla województw: katowickiego, bielskiego, częstochowskiego.

und Heimat tust, recht getan!

Napis „zdobiący” niemiecki album z fotografiami z wysiedleń ludności polskiej w Bydgoskiem
Fot. ze zbiorów IPN

- Einsatzkommando nr 2, dowodzone przez Sturmbannführera Müllera, stacjonujące w Cieszynie od 6 do 13 września. W Bielsku operował również pododdział dowodzony przez Untersturmführera Maacka, a w Karwinie Untersturmführera Schulza;
- Einsatzkommando nr 4, dowodzone przez Standartenführera Brunnera, stacjonowało w Rybniku od 6 do 13 września, a od 13 września do 5 października przegrupowano je do Cieszyna.

Prawdopodobnie utworzono również tymczasową placówkę w Orzeszu. W każdym razie do 20 września działał tam specjalny oddział policji.

Na Śląsku i przede wszystkim w Zagłębiu operowała również Einsatzgruppe zur besonderen Verwendung (do specjalnych zadań) Udo von Woyscha, którego Heinrich Himmler mianował nadzwyczajnym dowódcą policji przy 14. Armii. W skład się, którymi dysponował Woysch, wchodziły:

– cztery bataliony policji porządkowej dowodzone przez pułkownika Wolfstiga (pierwszy batalion operował w rejonie Pszczyny i Rybnika, drugi w rejonie Lublińca i Tarnowskich Gór, trzeci w rejonie Będzina, o czwartym nic nie wiemy);

– oddział specjalny policji bezpieczeństwa dowodzony przez Oberführera Ottona Rascha. Z jego pododdziału wydzielono trzy jednostki: północ, środek i południe.

Oddział von Woyscha przebywał na Śląsku i Zagłębiu do 16 września, a następnie od 23 do 26 września 1939 r.

Relacja członka grup operacyjnych

Oficjalnym zadaniem grup operacyjnych było „zapewnienie spokoju” na tyłach frontu. Gdy 4 i 5 września regularne jednostki przesunęły się dalej na wschód, ich miejsce zajęły jednostki policyjne. Jeden z członków grupy von Woyscha tak relacjonuje zadania, jakimi obarczono jego oddział²: „Podczas tego apelu na 1–2 [dni] przed 1 IX 1939 na wolnym dziedzińcu szkoły, w której byliśmy zakwaterowani, dr Hahn odczytał kilka

² Wszystkie fragmenty zeznań umieszczone w tym artykule pochodzą z akt śledztwa prowadzonego przez OKŚZpNP w Katowicach, S 61/02/Zn.

rozkazów. Odczytane na obu apelach przez dr. Hahna rozkazy zawierały, z tego, co sobie przypominam, zadania dla naszego oddziału [...] przy czym nam oświadczono, że oczekuje nas bezpośrednio zbrojny napad Polski na Niemcy. Jako członkowie policji bezpieczeństwa i SD [służby bezpieczeństwa], razem z Wehrmachtem mieliśmy przyczynić się do niszczącego kontrataku na Polskę. Zgodnie z odczytanym nam rozkazem mieliśmy pacyfikować obszary Polski wyalczone przez Wehrmacht, tzn. zbrojnie i bezwzględnie zwalczać każdy stwierdzony i podejrzewany opór polskiej ludności. Należało to wówczas w ten sposób rozumieć, że polscy obywatele, którzy stawiali opór, mieli być przez nas rozstrzeliwani. Przy czym nie należało rozróżniać pomiędzy polską ludnością cywilną i rozproszonymi członkami polskich oddziałów. [...] Dr Hahn wydał podczas tych apeli również rozkaz, aby członkowie naszego oddziału natychmiast zwalczali wszelkie, nawet najmniejsze oznaki oporu lub wrogiego nastawienia do Niemców ze strony polskich obywateli, w drodze natychmiastowych aresztowań lub rozstrzeliwań. [...] Poprzez aresztowania i rozstrzeliwania miał zostać zlikwidowany wszelki możliwy lub występujący opór polskiej ludności względem oddziałów, jednostek i instytucji. Zgodnie z tym zamysłem członkowie kierowanego przez dr. Hahna oddziału operacyjnego 1/1 mieli na danych obszarach prowadzić działania przeciwko określonym grupom polskiej ludności, które były wówczas postrzegane jako możliwe siły ruchu oporu. Do tej grupy zaliczano byłych członków polskiej armii, członków polskiej inteligencji, należących do tzw. wrogich narodowi niemieckiemu organizacji, partii, ruchu oporu lub którzy byli podejrzewani o przynależność do takich grup, jak również takie osoby, które były w posiadaniu broni, ew[entualnie] w odniesieniu do których zachodziło podejrzenie posiadania broni”.

Zarząd wojskowy Śląska i jego udział w represjach

Formalnie władzę na Górnym Śląsku i Zagłębiu do 13 września 1939 r. sprawował dowódca 14. Armii gen. Wilhelm List. Faktycznie od 3 września zaczęły powstawać struktury zarządu wojskowego, które tworzył dowódca 3. Odcinka Granicznego gen. Georg Brandt i szef zarządu cywilnego Otto Fitzner³.

Już 5 września Fitzner wydał zarządzenie o oddawaniu broni i materiałów wojennych, a 6 września Brandt nakazał zgłaszać miejsca pobytu powstańców śląskich i przechowywania broni. Jednak już od 1 września samorzutnie wyłapywaniem powstańców zajęły się straże obywatelskie i Freikorps przy współpracy z Wehrmachtem. 9 września gen. Brandt wydał kolejne rozporządzenie regulujące współpracę między grupami operacyjnymi, policją, strażami obywatelskimi i wojskiem. Władze niemieckie dosyć szybko powołały do życia aparat sądownictwa umożliwiający normalizację struktury administracyjnej i aparatu policyjnego zgodnie z zasadami, jakie obowiązywały w państwie nazistowskim. 11 września dowódca 14. Armii utworzył Sąd Specjalny w Katowicach. Pierwsze jego posiedzenie odbyło się 20 września. 12 września powołano wojskowe sądy doraźne, a 21 września policyjne sądy doraźne w Katowicach i Cieszynie.

Z braku źródeł trudno niestety oszacować liczbę osób, które zginęły wskutek połączonych działań policji, grup operacyjnych i straży cywilnych. Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce ustaliła na podstawie ankiet sądów grodzkich, że w byłej rejencji katowickiej, a więc na obszarze poza przedwojennym województwem śląskim, we wrześniu i październiku 1939 r. zginęło około 1500 osób, w tym 1133 w egzekucjach masowych, 770 z nich to powstańcy śląscy. W Zagłębiu Dąbrowskim od 4 do 30 września zginęło 371 osób, w tym 249 Żydów; tylko w jednym przypadku jako sprawcę wskazano oddział SS, zapewne chodziło o oddział operacyjny (Einsatzkommando), reszta egzekucji obciążałaby głównie jednostki Wehrmachtu. Najprawdopodobniej jednak spory udział miała w nich grupa operacyjna Udo von Woyscha, co wynika również z meldunków, jakie przesyłała do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

³ Formalnie szefem zarządu cywilnego był gauleiter i nadprezydent Josef Wagner.

Według *Rejestru miejsc faktów zbrodni* w województwie śląskim liczba osób zamordowanych od 4 do 30 września wyniosła 1023, z czego około 860 zginęło prawdopodobnie w Katowicach, przy czym tylko w ośmiu przypadkach jako sprawcę zbrodni wskazuje się oddziały operacyjne. W Katowicach 3 i 4 września zamordowano rzekomo około 750 osób⁴.

W rzeczywistości na temat działalności grup operacyjnych w byłym województwie śląskim wiemy jeszcze niewiele. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można tym jednostkom przypisać egzekucję w Krasnej koło Cieszyna, Strzybnicy koło Tarnowskich Gór, Bielsku, Lublińcu. Obecnie nie jesteśmy w stanie ustalić, jaka formacja czy jednostka dokonała konkretnej zbrodni, chyba że zostaną odnalezione nowe, nieznanne dotąd materiały źródłowe.

Śmierć w lesie strzybnickim

Losy Demarczyka, który poniósł śmierć w lesie strzybnickim, opowiedziane przez jego siostrę oraz relacja osoby uratowanej przed egzekucją pozwalają nam chociaż do pewnego stopnia odtworzyć mechanizm działania oddziału specjalnego: „Tuż przed wybuchem wojny, gdzieś pod koniec sierpnia 1939 r., brat wraz z innymi powstańcami dostał polecenie wyjazdu w głąb Polski, gdzie miał prowadzić walki z Niemcami. Brat faktycznie pojechał rowerem w stronę Sosnowca i został tam zatrzymany na dworcu kolejowym przez Niemców. [...] Mogło to być 2 lub 3 września 1939 r. Wraz z bratem Niemcy zatrzymali także wielu innych byłych powstańców śląskich. [...] Po zatrzymaniu brat, wraz z innymi powstańcami, został umieszczony w więzieniu w Mysłowicach. Tam wszyscy byli trzymani do 7 września 1939 r., kiedy to Niemcy wypuścili ich na wolność. Wtedy brat wrócił do swojego mieszkania [...] już tego dnia wieczorem, kiedy wrócił z więzienia w Mysłowicach, to był u niego w domu niejaki Birkopf, który przyjechał z Niemiec i był pierwszym przedstawicielem niemieckich władz na tamtym terenie. [...] Ten Niemiec przyszedł do brata wraz z trzema uzbrojonymi żołnierzami, przy czym nie wiem dokładnie, co to była za formacja [...] kazał mu się meldować na gestapo co dwie godziny. [...] brata zabrali w nocy funkcjonariusze miejscowego Freikorpsu [...] było ich ośmiu i podczas zatrzymywania bardzo pobili brata. [...] potem dowiedziałam się, że tej nocy Niemcy zatrzymali także wielu innych byłych powstańców i byli oni trzymani w więzieniu w Tarnowskich Górach. [...] Tam faktycznie dopiero powiedzieli nam, że brat już nie wróci i że został rozstrzelany przez sąd wojskowy”. Tak zeznała osoba, która uniknęła egzekucji:

„Freikorzyści[Członkowie Freikorpsu] z Brzozowic wszyscy mnie znali. Oni by mnie przepuścili, ale sąsiad L.S. powiedział do nich »idzie ten, co strzelał do samolotów niemieckich«. Po tych słowach ci z Freikorpsu zatrzymali mnie [...] Zostałem zamknięty w celi piwnicy, gdzie było już dużo byłych powstańców [...] Warunki w celi były bardzo złe, dawali nam tylko wodę i trochę chleba. Tam przebywałem przez tydzień czasu. Każdej nocy do celi przychodzili ci z Freikorpsu i bardzo nas wszystkich bili rękami i czym popadnie. [...] Po tygodniu przyjechali funkcjonariusze SS w jasnozielonych mundurach i zabrali nas samochodami do więzienia w Tarnowskich Górach [...] Przesłuchiwało mnie trzech funkcjonariuszy, którzy chcieli się dowiedzieć wszystkiego o powstańcach [...] Pewnego dnia wyprowadzili nas [...] i załadowali [...] Wysadzili nas z samochodów gdzieś w środku lasu. [...] ja już wtedy wiedziałem, co nas czeka, bo stały tam już ustawione na nóżkach dwa karabiny maszynowe. Ja wykopałem dół dla siebie, potem jeszcze dla Demarczyka, który miał złamaną rękę. Po wykopaniu dołów zaczął coś do nas mówić jakiś oficer. [...] Wówczas do tego oficera zwrócił się po niemiecku Demarczyk i coś mówił. Ten oficer podszedł do mnie i pytał mnie coś po niemiecku. Ja ogólnie rozumiałem, że chodzi mu o to, ile mam lat. Ja powiedział [...] że mam 17 lat. Wtedy ten oficer kopnął mnie kilka razy w tyłek i kazał iść do samochodu”.

⁴ Aktualnie w katowickiej Komisji toczy się śledztwo w sprawie zbrodni popełnionych w Katowicach we wrześniu 1939 r., tak że liczby te prawdopodobnie zostaną zweryfikowane.

Możliwe, że także zachowany meldunek Einsatzgruppe II z 20 września 1939 r. zawiera informację o zbrodni w lesie strzybnickim: „16 i 17 rozstrzelano powstańców, rabusiów itd. Przy czym liczba rozstrzelanych osób wzrosła do 72”.

„Normalizacja”

Opisane zdarzenia dobrze ilustrują sytuację, jaka wytworzyła się we wrześniu 1939 r., a szczególnie po przesunięciu się linii frontu na wschód. Władze niemieckie czekały, aż sytuacja się ustabilizuje. Aparat policji nie był jeszcze dobrze rozbudowany i dlatego w większości aresztowania przeprowadzano z inicjatywy członków Freikorpsu czy członków formowanego pośpiesznie Selbstschutzu. Do zatrzymania dochodziło często w przypadkowy sposób, gdy patrol niemiecki napotykał na ulicy powstańca, działacza polskiego lub po prostu osobę, która w jakikolwiek sposób aktywnie uczestniczyła w działaniach wojennych. Często przybierało to formę samosądu i zemsty, kiedy do takiej kategorii zaliczano osobistych wrogów. Zagrożone aresztowaniem były przede wszystkim osoby umieszczone na liście gończej (Sonderfahndungsbuch). Znalazło się tam prawie 1300 nazwisk działaczy plebiscytowych, twórców kultury, weteranów powstań śląskich. Osoby zatrzymane wielokrotnie narażone były na różnego rodzaju szykany, począwszy od wyzwisk, na ciężkim pobiciu kończąc. Przetrzymano je w przygodnych pomieszczeniach, najczęściej w piwnicach, by w stosownym momencie przekazać ich policji, która decydowała o dalszym ich losie. W większości trafiały do więzień lub specjalnych, naprędce utworzonych obozów w Nieborowicach i Skrochowicach, gdzie dokonywano selekcji; zwalniano do domów, przekazywano sądom, umieszczano w obozach koncentracyjnych lub zabijano podczas egzekucji. Bardzo często egzekucje te odbywały się poza miejscem zamieszkania, ginęły w nich osoby z różnych miejscowości.

Można wyróżnić dwa okresy stosowania represji wobec powstańców śląskich we wrześniu 1939 r. Pierwszy to czas walki i strat, m.in. egzekucji powstańców prowadzonych przez Wehrmacht. Wydaje się, że nie miały one na celu planowej i metodycznej likwidacji tego środowiska. Drugi okres otwierało wkroczenie oddziałów specjalnych i policji. Dopiero te dwie siły dysponowały odpowiednimi środkami umożliwiającymi rozpoznanie i rozbicie środowiska powstańczego. Z początkiem września Niemcy nie potrafili jeszcze samodzielnie rozpoznać i rozpracować zorganizowanego ruchu powstańczego, dlatego nieodzowna okazała się pomoc Ślązaków służących we Freikorpsach i strażach cywilnych. Często nie była to „pomoc” bezinteresowna; stawała się po prostu krwawą reakcją na konflikty sięgające swą genezą powstań śląskich czy też okresu międzywojennego.

Bardzo trudno wskazać sprawców czy formacje winne poszczególnych zbrodni. Dla ówczesnych świadków formacje operujące na Śląsku i w Zagłębiu były w praktyce nie do rozróżnienia. Jednocześnie tylko zgodna współpraca straży obywatelskich i Freikorpsu, złożonych w większości ze Ślązaków, z policją i grupami operacyjnymi umożliwiły skuteczną likwidację ruchu powstańczego i tłumity wszelkie próby oporu.

Informujemy, że autorem tekstu *Bohater z przypadku*, zamieszczonego w „Biuletynie IPN” 2003, nr 11 jest **Marcin Chorązki**. Za zniekształcenie nazwiska Autora serdecznie przepraszamy.

DZIECI POTULIC

Początkowo obóz hitlerowski w Potulicach koło Nakła spełniał funkcję obozu zbiorczego dla ludności polskiej wysiedlanej z Okręgu Gdańsk – Prusy Wschodnie. Spośród 1297 osób zmarłych w obozie, których nazwiska ustalono, 767 to dzieci. Od 1943 r. utworzono dla nich nawet specjalny oddział. W dokumentacji obozu pojawiła się wówczas nazwa „Ostjugendbewahrlager Potulitz” lub Lebrechtsdorf.

Dzieci z „obozu opieki” czy „obozu zatrzymań” zostały odebrane rodzicom i poddane w dużej części wynarodowieniu¹. Wiele dzieci przyszło na świat w obozie. Ich los był szczególnie trudny, bo osłabione matki często nie miały pokarmu, a mleka w obozowej kuchni było zawsze za mało. Niemowlęta urodzone w obozie ważyły około 1 kg i umierały z głodu po kilku tygodniach. Nie ma pełnego wykazu dzieci urodzonych w Potulicach, ale ze sprawozdań obozowego lekarza kierowanych co dwa tygodnie do Centrali Przesiedleńczej wynika, że w czasie danych dwóch tygodni zawsze odnotowywano w kartotece kilka nowych narodzin. Przykładowo w raporcie z 2 września 1942 r. lekarz informuje, że od 15 do 31 sierpnia 1942 r. zmarło osiem osób, a trzy się urodziły. W innych zachowanych sprawozdaniach są podobne informacje².

Niewolnicza praca

Po ukończeniu dwunastego roku życia dzieci były kierowane do pracy poza obozem. Musiały pracować nawet na nocnej zmianie. Pod opieką kapo szyły i naprawiały odzież wojskową, czyściły cegły do budowy, nosiły deski i kamienie z nad Kanatu Bydgoskiego do nowego obozu, uczestniczyły w pracach rolnych w okolicznych majątkach niemieckich, łądowały i rozładowały ziemniaki, drewno, węgiel na dworcu w Bydgoszczy. Dzieci powyżej sześciu lat musiały brać udział w pracach porządkowych wewnątrz obozu. Ponadto zbierały gałęzie, chrust i pokrzywy do obozowej kuchni. Za drobne przewinienia kazano im klęczeć na sosnowych szyszkach. Gdy padał deszcz, strażnicy stali pod parasolami, a dzieci mokły. Razem z kapo szły do lasu, gdzie zbierały chrust lub jagody. Kapo kazał im pokazywać języki. Jeżeli były choć trochę granatowe, dziecko bito bykowcem. Część dzieci poddawano badaniom rasowym i wywożono w głąb Rzeszy.

Bicie i maltretowanie

Bez względu na porę roku dzieci uczestniczyły w apelach, stojąc po kilka godzin w bieliźnie, często bez butów. Nie zapewniano im dachu nad głową w czasie dezynfekcji, nawet jeśli był mróz. Za drobne przewinienia były bite i maltretowane. W jednej z wielu zachowanych relacji na ten temat czytamy: „Z głodu wraz z moim sześciolatnim kolegą wziętem dwa albo trzy ziemniaki, które chcieliśmy sobie upiec w popielniku. Zauważył to z wartowni jakiś Niemiec, który wybiegł za nami. Po odebraniu nam tych ziemniaków zabrał nas do wartowni i tam Niemcy bardzo nas pobili. Bito nas gumami, w czasie tego bicia zemdlałem. Odzyska-

¹ Określenie „Ostjugendbewahrlager” należałoby przetłumaczyć jako „obóz opieki dla młodzieży wschodu”, aczkolwiek zawarty w nim czasownik „bewahren” oznacza nie tylko zachowanie, ale również schowanie, przetrzymanie. Można by więc to tłumaczyć jako „obóz zatrzymań” lub „obóz opieki”.

² Archiwum Państwowe w Bydgoszczy, Akta obozu Centrali Przesiedleńczej w Potulicach, 97/75, Pismo do Centrali Przesiedleńczej w Gdańsku w sprawie zmian meldunkowych, 2 IX 1942 r., k. 211.



Fot. ze zbiorów IPN

Potulice, przed wejściem do obozu;
w głębi pałac hr. Potulickich. Po 1 lutego 1941 r.

tem przytomność na skutek bólu, jaki poczułem w stopie prawej nogi. Stwierdziłem wówczas, że część Niemców trzyma mnie, a jeden z pozostałych rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem wypala mi w stopie otwór. Zacząłem z bólu bardzo krzyczeć i straciłem ponownie przytomność. Odzyskałem ją w piwnicy, w której było bardzo ciemno. Wraz ze mną osadzono tego kolegę. Po pewnym czasie wypędzono nas z tej piwnicy. Później dowiedziałem się, że to był bunkier pod pałacem potulickim. W punkcie opatrunkowym zalano mi ranę jodyną³.

Również z innych relacji dzieci wynika, że za przynoszenie jarzyn i owoców z pola karano głódówką, bito bykowcem lub trzcinaq po twarzy, zamykano na kilka dni w bunkrze, w którym była woda po kolana. Pobyt w karcerze był również trudnym doświadczeniem psychicznym. Panowały tam ciemności, a widok umierających z wycieńczenia i w wyniku pobicia więźniów, którzy nie mogli nawet bronić się przed szczurami, był dla dzieci traumatycznym przeżyciem. Na skutek wyczerpania część dzieci później chorowała i umierała.

Dzieci ze Smoleńska i Witebska

W obozie potulickim znajdowały się dzieci przywiezione tam wraz z rodzicami, ale były też dzieci traktowane jak „samodzielni więźniowie”, pomimo że miały od dwu do czternastu lat. 5 listopada 1943 r. przybył do Potulic transport 542 dzieci z rejonu Smoleńska i Witebska. Najpierw przekazano je do obozu w Oświęcimiu, a następnie, po oddzieleniu od rodzin, do Potulic. Dzieci te, w wieku od dwu do czternastu lat, z powodu epidemii tyfusu trzymane w oddzielnych barakach ogrodzonych drutami, w strasznych warunkach. W czerwcu 1944 r. większość z nich skierowano do pracy na roli w pobliskich gospodarstwach rolnych. Panowała tam ostra dyscyplina. Dzieci, które zachowywały się głośno, pozbawiano obiadu. Za brak posłuszeństwa karano je klęceniem przez całą noc na tłuczonym szkłe. Ciężka praca i złe wyżywienie jeszcze bardziej wycieńczyły młode organizmy. Stosowano też tortury psychiczne. Katarzyna Stiepanowa tak wspomina swój pobyt w Potulicach: „Niemcy robili zdjęcia przy jedzeniu. Wówczas na stół stawiano

³ Relacja Krystyna Michno [w:] *Żywi i martwi; o hitlerowskim obozie Potulice 1941–1945*, red. T. Samelski, Bydgoszcz 1997, s. 168.

dobrze dania, kapustę, kaszę, chleb, których dotąd nigdy nie widzieliśmy. Po zrobieniu zdjęć nie pozwolono nam nic wziąć z postawionych dań⁴. Z relacji wynika również, że od dzieci pobierano bardzo często krew – barak dziecięcy traktowany był jako swego rodzaju stacja krwiodawcza. W sierpniu tegoż roku wywieziono z Potulic do Łodzi jedynie 433 małoletnich więźniów. Co się stało z resztą dzieci – nie wiadomo. Ustalono, że 39 zmarło w obozie, gdyż w księdze zgonów znajdujemy ich nazwiska. Jaki był los pozostałych siedemdziesięciorga dzieci, nie wiemy.

Sadysta Wojciech Jopek

Opiekunem dzieci był więzień Wojciech Jopek. Pełnił on funkcję tzw. kinderkapo. Przybył do Potulic z KL Stutthof. Był to człowiek o wyjątkowo sadystycznych skłonnościach. Bił i „pławił” dzieci w basenie przeciwpożarowym. Utrzymywał surowy reżim, który miał skłonić dzieci do uległości. Za znęcanie się nad więźniami, a w szczególności nad dziećmi, Sąd Powiatowy w Toruniu w listopadzie 1946 r. skazał go na karę śmierci⁵.

Według relacji lekarza obozowego dzieci te były wychudzone, blade i niedożywione. Spały w baraku na ziemi, na siennikach pod kocami. Nie miały odpowiedniego ubrania, stosownego do pory roku. Umierały z powodu żółtaczki zakaźnej, szkarlatyny, krwawej biegunki i innych chorób. Szczególnie niebezpieczny był dla nich dyfteryt. Szpital obozowy nie dysponował skutecznymi lekami.

Choroby

Jedno z dzieci tak wspomina pobyt w szpitalu obozowym: „W szpitalu leżeliśmy po dwóch w jednym łóżku »na waleta«. Kuracja trwała dwa tygodnie i wyszedłem ze szpitala szczęśliwie. W tym czasie każdego dnia ktoś umierał. Pamiętam dziewczynkę, moją rówieśnicę, nazywała się Zofia Chojnacka. Pewnego wieczoru przyszło dwóch nieznajomych panów i pani. Byli w białych fartuchach. Zrobili jej na siłę zastrzyk. Rano już nie żyła i wyniesiono ją do kostnicy⁶. W obozie potulickim aplikowano często zastrzyki w klatkę piersiową, po których puchły ręce, oczy, piersi, bolała głowa, występowała silna temperatura, wymioty, pojawiały się wrzody na całym ciele oraz brązowe plamy. Dzieci często po tych zastrzykach umierały. Jedna igła musiała starczyć dla pięciu osób. W opinii byłych więźniów zastrzyki te, nawet jeśli miały być szczepieniami ochronnymi, podawane w taki sposób stwarzały ciągłe ryzyko zakażenia się różnymi chorobami.

Dzieci z Zagłębia

Z zachowanych dokumentów obozowych wynika, że od 4 sierpnia 1944 r. do obozu w Potulicach zaczęły przybywać dzieci m.in. z Czeladzi, Trzebini i Sosnowca. Jedna z list zawiera spis 78 dzieci, z których najstarsze miało czternaście lat, a najmłodsze dwa. Zajęły barak opuszczony przez dzieci rosyjskie i białoruskie. Były głodzone, maltretowane, bite i kopane przez obsługę obozu, kierowane do wyczerpującej pracy przy zbiorach buraków cukrowych, ziemniaków, kopaniu okopów. Gdy próbowały odpoczywać, krzyczano na nie, wyzywano od „dzieci bandytów”, popychano kolbami karabinów, biło po twarzy. Spały po czworo na pryczy pod jednym kocem, który stale był mokry. Każde z nich miało wszawicę i świerzb, dlatego strzyżono je do samej skóry. Z powodu niedożywienia i złych warunków większość chorowała. Niemowlętami opiekowały się starsze dzieci. Prowadzona przez administrację obozu korespondencja wskazuje, że dysponentem ich losu był Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA). Dzieci przewożone z obozu do obozu miały być nauczone języka niemieckiego i po zerwaniu więzów uczuciowych z rodziną przeniesione do odpowiednio dobranych rodzin niemieckich⁷.

⁴ AIPN, Sn/2/1/68, Protokół zeznania świadka Katarzyny Stiepanowej, Materiały nadesłane z ZSRR do sprawy Potulice.

⁵ *Ibidem*, SSKT/939, Akta Sądu Powiatowego w Toruniu przeciwko Wojciechowi Jopkowi. Wojciech Jopek zmuszał kobiety do nierządu, strasząc je pobyt w karnej kolumnie, obiecując zwolnienie lub pożywienie.

⁶ Relacja Czesława Gaja [w:] *Żywi i martwi...*, s. 100.



Fot. ze zbiorów IPN

Potulice. Po prawej stronie drutów odwiedzający, po lewej więźniowie. Po 1 lutego 1941 r.

Zabójstwa dzieci

Z relacji świadków wynika, że były przypadki mordowania dzieci w obozie i poza nim. Nazwisk tych ofiar nie ustalono. Jeden ze świadków zeznał: „Wczesną wiosną 1944 r. nawoziłem i bronowałem łąki opodal byłego obozu w Potulicach, tuż za Kanąłem Bydgoskim, który oddzielał niski wał ochronny od strony Nakła. Podczas tych prac słyszałem płacz dzieci, a kiedy podjechałem tuż do kanału pod sam wał, zatrzymałem konie i zainteresowany spoza rosnącej wikliny widziałem drugi brzeg około pięćdziesięciometrowego kanału, a ponad nim stojący samochód ciężarowy o napędzie gazowym. W pobliżu samochodu w zaroślach kręcili się strażnicy obozowi oraz trzech cywilów z opaskami. Jeśli się nie mylę, to opaski były koloru zielonego, podobne albo takie same, co nosili »Grenzschutz«. Jeden z tych cywilów rzucał dzieci do wody, a drudzy rzucali w nie cegłami, przy czym wyglądali na bardzo zadowolonych. Tak więc troje małych dzieci zginęło w nurtach kanału. Mogły mieć po 7 lat. Dwoje było w sukienkach, a jedno w spodenkach”⁸.

Dzieci w Potulicach były dziesiątkowane przez tyfus i czerwonkę. Umierały z braku opieki lekarskiej, wreszcie z powodu bicia i maltretowania. Większość dzieci miała bardzo ograniczony kontakt z rodzicami, co również odbijało się na ich stanie zdrowia. Zdarzało się, że matki wysyłane na wiele tygodni do pracy poza obozem po powrocie nie rozpoznawały własnych dzieci.

Spośród 1297 osób zmarłych w obozie potulickim, których nazwiska ustalono, 767 to dzieci. W świetle prawa międzynarodowego hitlerowska administracja obozu potulickiego łącznie ze strażą obozową (Wachmannschaft) winne są ludobójstwa w formie bezpośredniej lub w formie współdziałania. Z wyliczanych czynów, które Konwencja w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa uchwalona przez Zgromadzenie Ogólne ONZ 9 grudnia 1948 r. poczytuje za zbrodnie ludobójstwa, w Potulicach były stosowane wszystkie – od zabójstwa do przymusowego przekazywania dzieci w akcji germanizacyjnej, z wyjątkiem punktu dotyczącego stosowania środków mających na celu wstrzymanie urodzin w obrębie grupy.

⁷ AIPN Bydgoszcz, OK-By-Ds-30/66, t. 7, [teczka 14], Krótkie sprawozdanie ze śledztwa przeprowadzone w sprawie obozu niemieckiego w Potulicach, 8 X 1970 r.; *ibidem*, t. 4, teuczka 11, Zeznania świadków: Alfredy Lewińskiej, Jerzego Nowaka; *ibidem*, t. 3, teuczka 10, Oświadczenie w sprawie pobytu w obozie hitlerowskim w Potulicach Stanisławy Wieczorek.

⁸ Relacja Leonarda Wardzyńskiego [w:] *Żywi i martwi...*, s. 176.

REPRESJE HITLEROWSKIE WOBEĆ WSI BIAŁOSTOCKIEJ

Główną metodą sprawowania niemieckiej władzy administracyjnej nad polską ludnością cywilną był terror. Permanentne zagrożenie wolności osobistej i towarzysząca temu groźba śmierci miały zmusić do uległości i akceptacji polityki okupacyjnej. Terror był też narzędziem wyniszczania określonych grup i środowisk społeczeństwa polskiego, służył wreszcie do walki władz hitlerowskich z polskim ruchem oporu.

Białostoczczyzna dwukrotnie znajdowała się pod okupacją hitlerowską: przez kilkanaście dni we wrześniu 1939 r., a następnie w latach 1941–1944. Od września 1939 r. do czerwca 1941 r. obszar ten objęła okupacja sowiecka.

Polski wrzesień 1939 r.

Pierwszych zbrodni dopuszczono się już w trakcie działań wojennych we wrześniu 1939 r. Rozkaz niemieckiego Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych nr 183/39 „w sprawie traktowania zdolnych do służby wojskowej w kraju nieprzyjacielskim” nakazywał internowanie mężczyzn, branie i rozstrzelanie zakładników, bezwzględne łamanie oporu, strajków i aktów sabotażu. Idąc za wytycznymi tego rozkazu, gen. Fedor von Bock wprowadził 10 września 1939 r. zasadę zbiorowej odpowiedzialności wobec całej wsi, „jeżeli z jakiegoś domu, którego nie można ustalić, padły strzały do niemieckich żołnierzy”. W rozkazie tym była również mowa o „zatrzymywaniu i odtransportowaniu Polaków zdolnych do noszenia broni, niszczeniu instalacji radiowych i represjonowaniu uchodźców”.

Pretekstem do aktów eksterminacji ludności cywilnej była najczęściej zemsta za opór stawiany przez ludność danej okolicy, lokalne sukcesy polskiego wojska i związane z tym straty niemieckie. Wieś Bogusze w powiecie grajewskim spalono w odwecie za sukces 1. batalionu 135. pułku piechoty, wieś Lipówkę leżącą na granicy z Prusami Wschodnimi spacyfikowano za udany atak 1. szwadronu 3. pułku szwoleżerów z Suwałk, natomiast operacja Suwalskiej Brygady Kawalerii była przyczyną spalenia i zamordowania mieszkańców wsi Olszewo w powiecie bielskim.

Bez wyraźnego związku z działaniami wojennymi Wehrmacht spacyfikował we wrześniu 1939 r. trzydzieści wsi z powiatów: bielskiego, wysokomazowieckiego, suwalskiego i łomżyńskiego. Oprócz tego spalono całkowicie lub częściowo dziewiętnaście innych miejscowości w województwie białostockim. Do najbardziej brutalnych aktów przemocy doszło m.in. w Wylinach Rusi, Drogoszewie, Rutkach i Pietraszach. Niemcy strzelali tam do bezbronnych starców i dzieci. W Pietraszach celowniczy czołgu oddał strzał z działka do kobiety trzymającej na ręku dwójkę dzieci. Zginęła na miejscu, dzieciom cudem udało się przeżyć. W Rutkach Niemcy spędzili mieszkańców w miejsce w zagłębieniu terenu, po czym oddali do nich strzał z działka. Zginął jeden mężczyzna, a ranioną dziewczynkę dobito strzałem z pistoletu.

Wehrmacht prowadził we wrześniu 1939 r. masowe oblawy na ludność cywilną, w szczególności na mężczyzn. Osoby te gromadzono w kościołach, magazynach, koszarach wojskowych lub synagogach. Po selekcji przewożono je koleją do obozów w Prusach Wschodnich, a następnie kierowano na roboty przymusowe. Niekiedy, np. w Tykocinie, schwytaną ludność cywilną traktowano jak zakładników.

W 1939 r. działania Luftwaffe dotyczyły przede wszystkim miast i węzłów komunikacyjnych, ale także ludności wiejskiej. Zdarzyło się tak w miejscowościach: Boćki, Zaręby, Długobórz, Czyżew i wielu innych. Ogółem podczas pacyfikacji dokonanych we wrześniu 1939 r. w 31 wsiach w regionie białostockim straty ludności cywilnej wyniosły 197 osób, spalono 112 domów i 2535 budynków gospodarczych. Już od 21 września Niemcy zaczęli się wycofywać za ustaloną wcześniej na mocy układu Ribbentrop–Mołotow linię demarkacyjną ze Związkiem Radzieckim. Kolejny akt dramatu Białostoczczyzny rozgrywać się miał pod okupacją sowiecką.

Bezirk Białystok

Po ataku na ZSRR 22 czerwca 1941 r. Niemcy wprowadzili na Białostoczczyźnie swoje władze okupacyjne. W lipcu 1941 r. niemiecką administrację wojskową zastąpiono cywilną. Utworzono okręg białostocki (Bezirk Białystok) o charakterze rejencji ze strukturą administracyjną analogiczną do istniejącej w Prusach Wschodnich. W jego granicach znalazło się przedwojenne województwo białostockie (bez Suwalszczyzny i dwóch gmin na prawym brzegu Pisy) oraz część powiatów prużańskiego i brzeskiego z dawnego województwa poleskiego. Dekretem z 18 września 1941 r. terytorium okręgu powiększono o wyłączony z Ostlandu obwód grodzieński. Nowy twór administracyjny, o powierzchni 31 426 km kw., zamieszkiwało 1 682 tys. osób. Włączono go do Prus Wschodnich.

Represje hitlerowskie dotyczyły w sposób szczególny białostockiej wsi, wobec której stosowano zbrodniczą zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Najtraficniejsze następstwa dla ludności cywilnej okręgu białostockiego miały pacyfikacje i egzekucje. Pierwsze z nich w okresie administracji cywilnej w większości były odwetem za działalność ruchu oporu, pomoc udzielaną przez mieszkańców wsi podziemiemu niepodległościowemu i zbiegłym jeńcom wojennym lub osobom narodowości żydowskiej. Podczas pacyfikacji niszczone całości lub większość zabudowań, grabiono majątek, mordowano lub wysiedlano ludność i osadzano ją w obozach pracy i więzieniach.

Heinrich Himmler rozkazem z 28 lipca 1941 r. zalecał, aby wszystkie osoby podejrzane o popieranie partyzantów rozstrzeliwać, kobiety i dzieci wysiedlać, a wsie palić. Kulminacja zbrodni, jakich dopuścić się Wehrmacht na ludności cywilnej Białostoczczyzny, nastąpiła w czerwcu–lipcu 1941 r., w trakcie zajmowania terenów po wycofującej się Armii Czerwonej. Stało się tak głównie wskutek nieuzasadnionych koniecznością wojenną bombardowań, ostrzału artyleryjskiego miast, osiedli i taborów ewakuacyjnych. Szczególnie ucierpiały miejscowości leżące nad środkowym Bugiem, np. wieś Bujaki była ostrzeliwana przez pół godziny, co spowodowało śmierć trzech osób i zniszczenie zabudowań. W Chutkowicach zginęło osiem osób, a w Anusinie trzy. Podobne straty zanotowano również we wsiach: Miłkowice Paszki, Miłkowice Stawki, Niemirów, Rogawka, Śledzianów i wielu innych.

Haniebną rolę odegrały na Białostoczczyźnie oddziały tyłowe Grupy Armii „Środek” dowodzone przez gen. Maxa Schenckendorffa. Za oddziałami Wehrmachtu wkroczyły bataliony wchodzące w skład pułku policyjnego „Środek”, dowodzonego przez płk. Maxa Montuę. Ich zadania określał dekret Hitlera z 13 maja 1941 r. o „jurysdykcji Barbarossa” na okupowanych obszarach Związku Radzieckiego. Batalion 322. po krótkim pobycie w Białymstoku skierowano w rejon Białowieży. 25 lipca 1941 r. przystąpił do wielkiej akcji pacyfikacyjnej wsi w Puszczy Białowiejskiej: Bud, Pogorzelec, Teremisek. Z miejscowości tych zabrano 183 rodziny i wywieziono w okolice Prużan. Następnego dnia wysiedlono wsie z okolic Narewki, wypędzając 1240 osób. W kolejnych dniach wysiedlano ludność z miejscowości leżących obecnie w Republice Białoruskiej oraz mieszkańców Leśnej, Miłkaszewa, Olchówki i Zabrod – 1133 osoby z tych wsi wysiedlono w okolice Zabłudowa. Najgroźniejszą zbrodnią batalionu 322. było spalenie dwunastu polskich i białoruskich wiosek oraz rozstrzelanie 42 osób w Puszczy Lackiej koło Waniek.

Miejscem kaźni był także las Osuszek koło wsi Piliki. Hitlerowcy rozstrzeliwali tam osoby schwytane w okolicach Bielska Podlaskiego. Podobnie działo się w lasku Nowosiółki nie-

opodal Choroszczy. Od sierpnia 1941 r. do 1944 r. gestapowcy i esesmani rozstrzelali tam w masowych egzekucjach około 4 tys. osób. Wśród rozstrzelanych było kilkaset osób z Zakładu dla Umysłowo Chorych w Choroszczy. Zwłoki pomordowanych zakopano w 25 masowych grobach na miejscu kaźni. W czerwcu 1944 r. w ramach akcji zacierania śladów tzw. Kommando 1005 wydobyło i spaliło zwłoki pomordowanych.

Zbiorowe egzekucje i pojedyncze mordy objęły całość regionu. Ogółem w trakcie działań wojennych w 1941 r. Wehrmacht spacyfikował 30 wsi, mordując 379 osób, paląc 640 budynków mieszkalnych i 1385 gospodarczych. Sam batalion 322. spacyfikował 17 wsi.

Erich Koch, gauleiter i nadprezydent Prus Wschodnich, wydał 12 kwietnia 1942 r. zarządzenie wprowadzające bardzo surowe przepisy dla ludności cywilnej okręgu białostockiego. W zarządzeniu tym czytamy: „Ciężkie przewinienia Polaków i Żydów oraz innych członków nie niemieckiej narodowości popełnione na szkodę Niemców oraz inne przestępstwa tych grup narodowościowych podlegają aż do odwołania rozpatrzeniu przez sądy doraźne. Jeśli życie i własność Niemców z Rzeszy zostały zagrożone, można zarządzić akcje odwetowe. Dowódca SS i policji w Białymstoku albo komendant policji porządkowej w Białymstoku są w tej sprawie kompetentni. Jeśli zachodzi potrzeba przeprowadzenia akcji odwetowych, placówka żandarmerii i kierownik oddziału żandarmerii winien przy telefonicznym przekazywaniu raportu dziennego je zaproponować. Opinie komisarza urzędowego należy wysłuchać”.

Na terenie okręgu placówki policji mieściły się w: Łomży, Bielsku Podlaskim, Augustowie, Grodnie i Wołkowysku. Policji podporządkowane były również więzienia w Grodnie, Wołkowysku, Bielsku Podlaskim i Łomży.

Ludność wiejską najczęściej nękała żandarmeria i policja pomocnicza. 16 lipca 1942 r. na rozkaz dowódcy policji i SS w Białymstoku Wernera Fromma spacyfikowano wieś Rajsk. Oddziały SS, Wehrmachtu i żandarmerii otoczyły tę miejscowość – ludność zgoniono na plac przed cerkwią. Wyselekcjonowaną grupę 142 osób popędzono za wieś i rozstrzelano. Wszystkie domy i budynki gospodarcze spalono. Spłonęła zabytkowa cerkiew wraz z cennym wyposażeniem i kaplica cmentarna. Po kilku dniach hitlerowcy spalili jeszcze około trzydziestu zabudowań znajdujących się w okolicy Rajska, zniszczyli drogi dojazdowe, bruk uliczny, fundamenty, studnie i drzewa, aby zatrzeć wszelkie ślady istnienia tej wsi.

Odwet

Największa pacyfikacja w regionie białostockim odbyła się w miejscowości Krasowo- Częstki 17 lipca 1943 r. Cztery dni wcześniej w pobliżu tej wsi doszło do potyczki żandarmerii niemieckiej z patroliem AK obwodu Wysokie Mazowieckie por. Tadeusza Westfala „Karasia”. Straty, jakie ponieśli Niemcy, stały się pretekstem do pacyfikacji tej wsi. W nocy z 16 na 17 lipca żandarmi z posterunków w Piekutach, Dąbrówce Kościelnej, Wysokiem Mazowieckiem i Czyżewie otoczyli Krasowo-Częstki. O świcie wszystkich mieszkańców wypędzono z domów i uwięziono w stodole. Wywoływano ich według listy, prowadzono nad wykopany grób i strzelano w tył głowy. Podczas tej akcji zamordowano 257 osób, w tym 83, które nie ukończyły siedemnastu lat. Spalono 55 domów, 54 stodoły, 60 obór, a teren wsi zaorano.

Pod koniec 1942 r. pojawiły się na Białostocczyźnie Uderzeniowe Bataliony Kadrowe – oddziały konspiracyjnej, narodowo-katolickiej Konfederacji Narodu. 21 czerwca 1943 r. oddział dowodzony przez Tadeusza Jagodzińskiego „Pawłowskiego” rozbił posterunki żandarmerii w Zawadach i Kobylinie, następnie rozbroił na szosie pod Rzędzianami niemiecką kolumnę samochodową. Wywołało to szeroko zakrojoną akcją odwetową. 13 lipca 1943 r. w odpowiedzi na akcję UBK żandarmi z posterunków w Zawadach i Rutkach wraz z funkcjonariuszami oddziału SS nazywanego „Kommando Müller” spacyfikowali wieś Sikory-Tomkowięta, mordując jej 49 mieszkańców w dwóch zbiorowych egzekucjach. W trzeciej egzekucji na tzw. Łysej Górze rozstrzelano 58 osób z Zawad i Laskowca.

Grzędy – wieś położona na Czerwonym Bagnie – udzielała pomocy miejscowym oddziałom Kedywu Armii Krajowej oraz oddziałom UBK. Za karę, na polecenie białostockie-

go szefa gestapo i pod kierunkiem szefa policji w Augustowie, żandarmeria z Woźnejwsi, Bedy, Rajgrodu i Grajewa przystąpiła 16 sierpnia 1943 r. do pacyfikacji Grzęd. Zamordowano wówczas 36 osób, w tym 14 nieletnich i dzieci. Resztę mieszkańców – ponad 200 osób – popędzono do obozu w Grajewie, skąd wywieziono je na roboty do III Rzeszy. W tym samym terminie wysiedlono osady położone w pobliżu Kanatu Augustowskiego – Jasionowo i Kopytkowo, stanowiące bazy Batalionów Chłopskich.

Nieopodal osady Wnory-Wandy w dniu 21 lipca 1943 r. został zabity przez polski ruch oporu niemiecki komisarz rolny z Kulesz Kościelnych. Mieszkańcy wsi (ok. 200 osób), pomni wcześniejszych pacyfikacji, schronili się poza wsią. Niemcom udało się jednak zamordować 32 osoby, które przebywały w swych domach, zrabować inwentarz i spalić zabudowania.

Po zabiciu przez partyzantów jednego z żandarmów, ranieniu drugiego i rozbrojeniu trzeciego w okolicy Jabłoni-Dobek Niemcy zaalarmowali okoliczne posterunki w Wysokiem Mazowieckiem, Szepietowie, Czyżewie oraz oddział wojskowy w Jabłoni Kościelnej. 8 marca 1944 r. mieszkańców Jabłoni-Dobek spędzono do stodoły, po czym obłano ją benzyną i wrzucono do środka granaty. Zabito i spalono żywcem 91 osób, w tym 31 kobiet i 31 dzieci. Przyczyna pacyfikacji Jasionowa w gminie Lipsk była podobna. Zamordowano tam 58 osób, w tym 19 dzieci. Po zrabowaniu mienia część budynków rozebrano, pozostałe spalono. Zniszczono 15 domów i 32 budynki gospodarcze.

W ostatnim roku okupacji niemieckiej żołnierze Wehrmachtu, SS i SD spacyfikowali 31 wsi, w tym 6 po raz drugi, zamordowali 322 osoby, spalili 972 domy i 2465 budynków gospodarczych. Szczególne nasilenie pacyfikacji nastąpiło w rejonie rzek Biebrzy (17 wsi) i Narwi (15 wsi).

Inny problem stanowiły wywózki na roboty przymusowe, choć istnieją poważne trudności z oszacowaniem liczby osób poszkodowanych. Nędzne warunki bytowe, w jakich znaleźli się robotnicy w Niemczech, wyczerpująca praca, brak żywności i odzieży, ograniczenie możliwości poruszania się, rasistowskie przepisy i zakazy wpływały na dużą śmiertelność.

Cichy front

Uczestnictwo chłopów w tworzeniu niepodległościowego podziemia było tylko jednym z elementów ich patriotycznych zachowań. Wieś polska świadczyła w różny sposób na rzecz podziemia, nie bacząc na ofiary, jakie trzeba było ponieść. Żywiła oddziały, otaczała je opieką, dostarczała cennych informacji. Czyniła to wszystko mimo groźby akcji odwetowych. Szymon Datner twierdzi, że w województwie białostockim dzięki odwadze chłopów udało się uratować kilkuset Żydów. Spisał on 34 przypadki ratowania Żydów na wsi białostockiej. W rzeczywistości było ich o wiele więcej i wszystkie wynikały z inicjatywy mieszkańców wsi.

Wieś białostocka pomagała również jeńcom radzieckim, włoskim i francuskim. W najbardziej zorganizowany sposób pomagano jeńcom włoskim w obozie w Nowosiótkach koło Choroszcy. Zimą 1943 r. okoliczni chłopi przekupili strażników niemieckich i zaczęli dostarczać Włochom żywność i odzież. Dzięki ich pomocy z obozu uciekło 27 więźniów. Na początku 1944 r. w obozie znaleźli się jeńcy radzieccy, którym również nie odmówiono pomocy. W chłopskich zagrodach znajdowała schronienie polska inteligencja, Żydzi i zbiegli jeńcy. Ten cichy front walki mógł się rozwijać dzięki patriotycznej i niezłomnej postawie mieszkańców wsi.

Ogółem hitlerowcy spacyfikowali w województwie białostockim 148 wsi. Straty ludności nieżydowskiej Białostoczczyzny w okresie niemieckiej okupacji ocenia się na prawie 94 tys. osób. Zniszczeniu uległo około 47 tys. gospodarstw wiejskich. Śmierć poniosło również wielu działaczy ruchu ludowego na Białostoczczyźnie.

WALKA Z LEGENDĄ

Pamięć tragedii Grudnia 1970 r. była jednym z ważnych czynników spajających w ostatnim dwudziestoleciu PRL zatamizowaną i niezakorzenioną dobrze społeczność Gdańska i całego Wybrzeża. „Uniwersytet Grudniowy” był lekcją dla elit opozycji drugiej połowy lat siedemdziesiątych, a zwłaszcza dla ich robotniczego i ogólnospołecznego zaplecza. Nic z tych nauk nie zostałoby w pamięci, gdyby już na początku dekady nie stało się jasne, że sensem protestu nie była przysłowiowa „kietbasa”, a wykpiwani przez oficjalną propagandę „robole” okazali się bardzo przywiązani do tradycyjnego polskiego patriotyzmu.

Służba Bezpieczeństwa postanowiła zdusić już w zarodku legendę grudniowego zrywu. Mimo początkowych sukcesów okazało się to bardzo trudne. Gdy do doświadczeń Grudnia zaczęła odwoływać się opozycja drugiej połowy lat siedemdziesiątych, dla resortu stało się jasne, że rana z 1970 r. ledwo się zasklepiła. Tłumaczy to znaczenie Wybrzeża w kształtowaniu postaw antykomunistycznych i siłę opozycji, którą nie było tu tylko wąskie grono intelektualistów. Opozycja miała autentyczne poparcie robotników i tych, którzy pamiętali, kto rozlał krew na gdańskich i gdyńskich ulicach zimą 1970 r.

„Przyciszony wewnętrzny bunt”

Dzisiaj, przeszło trzydzieści lat po stłumieniu robotniczego protestu, jest oczywiste, że znacznie poważniejsze od przewartościowań w strukturze władzy okazały się zmiany postaw i wyborów społecznych. Na Wybrzeżu Gdańskim po 1970 r., wyraźniej niż w pozostałych regionach Polski, uwidocznił się represyjny charakter komunizmu. Pamięć o zbrodni nieukaranej i krzywdzie niewinnych stała się doświadczeniem nie tylko kilkunastu tysięcy uczestników grudniowego protestu i wielokrotnie większej liczby ich rodzin i znajomych. Tajny współpracownik (TW) SB o pseudonimie „Kasprzak”, analizując nastroje społeczne Grudnia 1970 r., w donosie pisał: „Sytuacja w Gdańsku uległa poprawie, lecz z mego punktu obserwacji, przeistoczyła się w głęboki żal większości społeczeństwa i w przyciszony wewnętrzny bunt”¹. Ta obserwacja donosiciela oddaje klimat Wybrzeża końca 1970 r. Wydaje się, że ów „przyciszony wewnętrzny bunt” był stale obecny również w następnych latach. Opinię tę potwierdza zdanie wyjęte z planu działań SB na 1971 r., stworzonego na podstawie doświadczeń roku poprzedniego: „Zaprowadzenie porządku przy pomocy użycia siły nie spotkało się z pełnym zrozumieniem części społeczeństwa i naruszyło istniejącą dotychczas więź organów MO ze społeczeństwem”². To właśnie ten „wewnętrzny bunt” drążył skałę, inspirując postawy sprzeciwu, których najważniejszym przejawem była przez lata walka garstki robotników i przedstawicieli innych grup społecznych o upamiętnienie ofiar działań milicji i wojska. Powoli Grudzień – wbrew staraniom SB i komunistycznej propagandy – stawał się częścią pamięci nie tylko robotniczej czy trójmiejskiej, lecz całego Wybrzeża, a w końcu – zwłaszcza po 1980 r. – ogólnonarodowej. Pamięć ta od początku miała wyraźny insurekcyjny rys. Gdy podczas rocznicowej manifestacji zorganizowanej 18 grudnia 1979 r. przez Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża i Ruch Młodej Polski tłum wyśmiał pomysł odśpiewania Międzynarodówki (śpiewanej przez demonstrantów – robotników dziesięć

¹ AIPN Gd, 0046/225, t. 3, Doniesienie TW „Kasprzak”, 19 XII 1970 r., k. 113.

² *Ibidem*, 003/169/16, Plan działań służby MO województwa gdańskiego po wydarzeniach grudniowych, marzec 1971 r., k. 4.

lat wcześniej, w Grudniu 1970 r., obok pieśni narodowych), stało się jasne, że zbliża się przełom.

Potajemne pogrzeby, korumpowanie rodzin

Zanim jednak „wewnętrzny bunt” przerodził się w czynny sprzeciw, gdańska SB i władze komunistyczne odniosły wiele sukcesów, dusząc przejawy pamięci o Grudniu.

Działania podjęto natychmiast. W domach ludzi, którzy właśnie dowiedzieli się o śmierci najbliższych, a niekiedy żywili jeszcze nadzieję ich odnalezienia, pojawili się pracownicy Wydziału Spraw Wewnętrznych Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku (i jego gdańskiego odpowiednika) na czele z jego kierownikiem – Mieczysławem Gromadzkim. Pozostawał on – jak można przypuszczać – w ścisłym kontakcie z SB (są również przesłanki, aby sądzić, że pracowali tam funkcjonariusze SB na tzw. tajnych etatach). Postać z wydziału nie tylko przynosił straszne wieści, ale odpowiadał za organizację potajemnych, nocnych pogrzebów. Zespół Gromadzkiego wstawił się wyjątkowym brakiem taktu i instrumentalnym traktowaniem rodzin zamordowanych. Praktyką było np. wpisywanie jako przyczynę zgonu zupełnie innego powodu niż śmierć od kuli. Na przykład w akcie zgonu Zbigniewa Wyciechowskiego, zastrzelonego w Gdyni, podano, że umarł na wrzód żołądka. W Gdyni powszechne było wpisywanie daty śmierci 20, a nie 17 grudnia. Członkowie rodzin ofiar, którzy zatapiał w wydziale formalności, relacjonowali, że na biurkach leżały sterty przygotowanych *in blanco* aktów z tą właśnie datą.

Wkrótce zaczęło się korumpowanie rodzin ofiar za pomocą wyptaczanych zapomóg. Wielu, przyjąwszy pieniądze wciskane do rąk przez nienaturalnie uprzejmego i opiekuńczego Gromadzkiego, nie mogło darować sobie tego przez wiele lat. Na tym nie kończyła się „opieka” władz, które starały się wspierać rodziny ofiar w zatapiaaniu różnych podstawowych w tamtym okresie problemów związanych np. z zamianą mieszkania czy uzyskaniem pożyczki. Czy była to zwyczajowa pomoc socjalnego państwa dla ludzi, którzy stracili najbliższych? Zważywszy, że pomoc tę ściśle nadzorowali szefowie gdańskiej SB, należy wątpić w jej bezinteresowność. Wręcz przeciwnie, była instrumentalna i wyrachowana, obliczona na uspokojenie niezadowolonych, którzy stracili bliskich.

Równoległe do tych działań obserwacją tajnej policji objęto rodziny ofiar wojska i Milicji Obywatelskiej. Nie oznaczało to permanentnej inwigilacji, lecz polegało na kontrolowaniu ich zamiarów przed uroczystościami rocznicowymi, Zaduszkami i innymi świętami sprzyjającymi upamiętnianiu zabitych. W razie stwierdzenia „wrogich działań” podejmowano środki zaradcze. Z reguły wystarczały rozmowy profilaktyczne. Niekiedy posuwno się do niszczenia napisów nagrobnych. Przykładem może być walka o tabliczkę na grobie rodziny Janusza Żebrowskiego zastrzelonego w „czarny czwartek” (17 grudnia) w Gdyni. Tekst napisany przez jego rodziców na nagrobnej tabliczce, że „został zastrzelony przez MO w zająciach grudniowych”, wkrótce starto. Ojciec Janusza dyżurował na cmentarzu w nocy, żeby złapać sprawcę. W końcu, wobec uporu rodziny, SB zrezygnowała³. To jednak jedyny przykład zwycięstwa słabszych. Znane są też opowieści o likwidowaniu grobów (co do powszechnej świadomości wprowadził Andrzej Wajda swoim filmem *Człowiek z żelaza*). W materiałach źródłowych nie udało się jednak tej obiegowej informacji potwierdzić. Zważywszy na ciągle niepotwierdzoną ostateczną liczbę ofiar, wydaje się to jednak możliwe.

Decyzje i działania systemowe Wojewódzkiego Sztabu Koordynacyjnego

W 1971 r. władze zdecydowały się stworzyć Wojewódzki Sztab Koordynacyjny. Jego zadaniem miało być zrationalizowanie i usystematyzowanie działań „zabezpieczających”. W skład sztabu weszli: przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, komendant Woje-

³ Relacja ojca Janusza Żebrowskiego [w:] *Grudzień 1970*, Paris 1986, s. 395.



Fot. Społeczny Komitet Budowy Pomników Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni

Tłum przed płonącym budynkiem KW PZPR
w Gdańsku. 15 grudnia 1970 r., wtorek

wódzkiego Sztabu Wojskowego, komendant wojewódzki MO i jego zastępca ds. SB, przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych, dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego⁴. Nietrudno się domyślić, że sztab stał się narzędziem w ręku SB, poszerzającym możliwości jej oddziaływania na stocznie i ogół społeczeństwa nie tylko przy pomocy własnych kadr. Pierwsze pozytywne dla władz rezultaty działań sztabu skłoniły decydentów do powołania jego powiatowych odpowiedników.

Pierwszą decyzją WSK było opracowanie planu zwiększenia dyscypliny zakładów pracy w ramach esbeckiej operacji „Jesień '70”. Cel ten postanowiono realizować dwutorowo: starano się likwidować punkty zapalne w zakładach pracy, szybko rozstrzygając na korzyść robotników konflikty finansowe (dotyczące np. premii eksportowych); zracjonalizowano system represji, atakując przywódców z Grudnia, czynnych uczestników zajęć, osoby wykazujące chęć działania w myśl idei 1970 r. (przede wszystkim robotników walczących o postawienie tablicy upamiętniającej zabitych kolegów). Ponadto dokonano przeglądu kadr kierowniczych zakładów, usuwając tych, których oskarżono o zaniedbania w zakresie dyscypliny pracy (zaniedbaniem było mało efektywne działanie w gaszeniu nastrojów strajkowych w grudniu i następnych miesiącach). Na efekty przyjętego planu zwiększenia dyscypliny nie trzeba było długo czekać.

Od grudnia 1970 r. do września 1971 r. w sprawie „Jesień '70” zewidencjonowano 3300 osób biorących bezpośredni udział w manifestacjach, walkach i strajkach. Po dokonaniu selekcji 920 osób objęto różnymi kategoriami spraw operacyjnych (w szczytowym okresie – w czerwcu – inwigilowano 1014 osób). W 1972 r. kontrolowano już tylko 200 osób w ramach 60 spraw operacyjnych różnych kategorii⁵.

Jedynym widowym dla wszystkich elementem walki z Grudniem były aresztowania i zwolnienia z pracy. Dotyczyły one najaktywniejszych uczestników strajku i demonstracji nie tylko z 1970 r., lecz również ze stycznia, z maja i kolejnych miesięcy następnego roku, kiedy to publicznie domagano się realizacji żądań zrodzonych w Grudniu oraz upamiętnienia ofiar zmarłych od kul wojska i milicji. Wykaz aresztowanych oskarżonych „o przestępstwa popełnione podczas wypadków grudniowych – stan na 12 maja 1971 r.” zawiera nazwiska 31 osób⁶. Prawdopodobnie są to tylko pracownicy Stoczni im. Lenina.

Ważnym elementem akcji represyjnej WSK było „wyprowadzanie z zakładów” „elementu inicjatywnego i warcholskiego”. Jeszcze w grudniu tylko w Gdańsku zwolniono aż 72 osoby. Równocześnie w tym samym czasie pozbawiono pracy 41 osób ze środowisk kryminalnych. W styczniu następnego roku ruszyła kolejna fala zwolnień. W 1972 r. poczyniono jeszcze kosmetyczne poprawki, proponując do „wyprowadzenia” 15 „grudniowców” na czele z Henrykiem Lenarciakiem, przywódcą robotniczym jeszcze z 1970 r., następnie działaczem Rady Zakładowej Stoczni im. Lenina. Ogółem w latach 1971–1972 z pracy wyrzucono ponad 300 osób za udział w Grudniu lub działania mające służyć jego upamiętnieniu⁷.

Inną formą represji koordynowaną przez sztab było powoływanie wytypowanych wcześniej osób do zasadniczej służby wojskowej, ewentualnie na ćwiczenia wojskowe rezerwy. Do sierpnia 1971 r. z listy 1200 osób „elementu inicjatywnego i warcholskiego” powołano do odbycia zasadniczej służby wojskowej 142 mężczyzn, a 146 powołano na ćwiczenia rezerwy. Co do 983 zarejestrowanych na listach rozważano możliwość wcielenia ich do wojska⁸. Jakie zapadły wobec nich decyzje, tego na razie nie udało się ustalić.

⁴ AIPN Gd, 003/14/64, Informacja dotycząca aktualnej sytuacji w kluczowych zakładach gospodarki narodowej województwa gdańskiego, k. 3–4.

⁵ *Ibidem*, 003/14/6, Obiekty gospodarki narodowej, 28 IX 1971 r., k. 35; *ibidem*, 0046/350/10, Ocena pracy operacyjnej za rok 1972, grupa VI, Wydział III KW MO w Gdańsku, k. 310.

⁶ *Ibidem*, 003/14/73, Wykaz osób aresztowanych, 12 V 1971 r., k. 76–78.

⁷ *Ibidem*, 003/14/6, Obiekty gospodarki narodowej..., k. 310.

⁸ *Ibidem*, 003/14/64, Informacja KW MO w Gdańsku dotycząca wyników realizacji programu działań polityczno-operacyjnych i porządkowych w odcinku przemysłu kluczowego, 27 VIII 1971 r., k. 20.

Szczególnej obserwacji SB poddano zakłady, które odegrały najważniejszą rolę w grudniowym proteście, a jednocześnie – w myśl obowiązujących wówczas w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych przepisów – znajdowały się na liście zakładów przemysłu kluczowego. Były to stocznie, na czele ze Stoczną im. Lenina i Stoczną im. Komuny Paryskiej. Grudniowe doświadczenia skłoniły SB do wzmocnienia kadr obsługujących w tych miejscach sieci agenturalne. Na przykład Stoczną im. Lenina „zabezpieczano” aż dziesięciu pracowników (szefem zespołu był oficer Wydziału III SB w Gdańsku, kpt. Zenon Ratkiewicz). Dodatkowo decyzją gen. Henryka Stabczyka zatrudniono tam czterech nieoficjalnych funkcjonariuszy na różnych stoczniowych etatach. Dla porównania Stoczną Północną poprzez agenturę nadzorowało tylko trzech esbeków. O etatach niejawnych w tym zakładzie nic nie wiadomo⁹.

Najważniejszym chyba w koncepcji SB elementem kontroli środowisk robotniczych miała być agentura. Po Grudniu zaledwie w ciągu dwóch miesięcy rozbudowano ją aż o 145 jednostek. Zaprogramowano ją nie tylko na dostarczanie informacji, lecz również na działania dezintegrujące i kompromitujące. SB przeprowadziła wiele tzw. kombinacji operacyjnych mających na celu rozbicie środowiska spajanego wspomnieniami grudniowego protestu oraz walką o upamiętnienie ofiar. Szczególnie perfidnymi działaniami objęto przywódców robotniczych, głęboko wówczas przejętych hasłami odnowy życia społecznego i politycznego głoszonymi przez I sekretarza Edwarda Gierka. Osoby zbierające pieniądze na kwiaty, nawołujące do budowy tablic pamiątkowych, wreszcie żądające ukarania winnych zbrodni poddano intensywnemu rozpracowaniu, a w końcu działaniom represyjnym (od rozmów profilaktycznych po powołanie do wojska albo wyrzucenie z pracy). Jeśli figurant (osoba rozpracowana operacyjnie) cieszył się mirom wśród załogi, starano się skompromitować go, skłócić z kolegami, zastraszyć bądź w inny sposób pozbawić zaplecza środowiskowego. Nie wahano się ingerować w życie rodzinne, wysyłając donosy do żon, podrzucając pisemka pornograficzne. W sprawozdaniu z sierpnia 1971 r. czytamy: „Zgodnie z opracowanymi koncepcjami prowadzone były przez osobowe źródła informacji [ogół osób udzielających informacji SB: TW, kontakty służbowe, konsultanci – J.M.] działania destrukcyjne i kompromitujące inspiratorów zajęć i demagogów”¹⁰. W dokumencie tym pobrzmiwają tylko dalekie echa brudnej działalności resortu. Charakter prowokacji uwidacznia się dopiero przy analizie materiału operacyjnego i relacji.

Praca operacyjna SB nasilała się w okresie poprzedzającym rocznice Grudnia, Zaduszki i inne święta, a także w czasie wyborów czy zjazdów partii. Groteskowo dziś brzmią raporty, w których wylicza się rodzaje i liczbę złożonych przed bramą nr 2 kwiatów: „w dniu 20 maja 1971 r. od godz. 6.45 w czasie rozpoczęcia obserwacji pod ścianą znajdowały się kwiaty: trzy gałązki bzu oraz 1 tulipan koloru kremowego”¹¹. Niestety, wywiadowcy byli tak samo skrupulatni w identyfikowaniu składających kwiaty, a nawet przypatrujących się miejscu pamięci.

Równie zaciekle ścigano kolporterów ulotek, napisów na ścianach (np. „Grudzień pomścimy”) oraz ulicznej poezji grudniowej, w której słusznie dopatrywano się wielkiego, ukrytego zagrożenia. Dzisiaj, z perspektywy lat, można sądzić, że to właśnie pieśni na czele ze znaną w całym kraju *Balladą o Janku Wiśniewskim* odegrały wielką rolę w przechowaniu pamięci.

Walka z Grudniem nie polegała wyłącznie na inwigilacji figurantów spraw operacyjnych, lecz również na prewencyjnej penetracji cmentarzy. Był to ważny obszar działań zabezpieczających – tu legendę Grudnia wzmacniały groby niewinnie zamordowanych. W 1971 r. (może również w następnych latach) działalność tę prowadzono siłami Wydziału IV (zajmującego się sprawami Kościoła). W resztkach zachowanej dokumentacji są nie tylko raporty z obserwacji, lecz również materiał poglądowy zawierający fotografie i dokładny opis grobu Stanisława Sieradzana. Podobną dokumentację prowadzono również grobów pozostałych zabitych.

⁹ *Ibidem.*

¹⁰ *Ibidem.*

¹¹ AIPN Gd, 003/14/66, Komunikat nr 15 zastępcy naczelnika Wydziału „B” KW MO w Gdańsku, 21 V 1971 r., k. 132.

Do metod zwalczania legendy należały też działania zmierzające do „rozmiękczenia” i pozyskania do współpracy księży. W większości przypadków współpraca w tej dziedzinie nie miała jednak charakteru kolaboracji agenturalnej. Przed dniem Wszystkich Świętych w 1971 r. pracownicy SB przeprowadzili rozmowy informacyjno-profilaktyczne z 42 księżmi, w tym dziekanami – w Gdańsku, Gdyni, Nowym Dworze i Elblągu. Wszyscy kapłani zapewnili, że dołożą starań, aby uspokoić nastroje. Funkcjonariusze Wydziału IV, których wspomagali koledzy z Wydziału III, skontaktowali się również z zarządcami cmentarzy. Polecili administratorom pilnować, aby księża nie święcili nagrobków, o ile treść nie została wcześniej uzgodniona z esbekami¹². Wydaje się, że działania te okazały się skuteczne. Najprawdopodobniej jedyną rodziną opierającą się zakulisowemu naciskom SB była rodzina Janusza Żebrowskiego z Gdyni.

Obserwowano również kościoły, choć od 1970 r. aż do połowy lat siedemdziesiątych jedynym miejscem, w którym kultywowano pamięć ofiar Grudnia, był kościół ks. Hilarego Jastaka w Gdyni. Choć księża nie nawiązywali w swych kazaniach do Grudnia, w okolicach świąt i rocznic kontrolowały ich stosunkowo wielkie siły. W 1975 r. do odprawiania mszy za zamordowanych przystąpił w Gdańsku ks. Henryk Jankowski, stając się obiektem zainteresowania służb. W latach stanu wojennego było coraz więcej odważnych kapłanów dokonujących swoistej sakralizacji ofiar Grudnia 1970 r.

Analizując działania SB po 1970 r., należy pamiętać, że były one kompleksowe i nie ograniczały się do Trójmiasta. SB intensywnie penetrowała stoczniove „sypialnie” w Wejherowie i innych okolicznych miastach. Doraźnie też siłowo likwidowano ogniska zapalne. Na przykład w Sztumie za nawoływanie do „wrogich wystąpień solidaryzujących się z wypadkami grudniowymi” aresztowano aż sześć osób¹³. Esbeckich materiałów z innych powiatów jeszcze nie odnaleziono, można jednak, na podstawie powtarzanych do dzisiaj informacji, przypuszczać, że i tam Grudzień nie przeszedł bez echa.

Działania SB wspomagała potężna machina propagandowa kompromitująca Grudzień w oczach krajowej opinii publicznej jako chuligańskie ekscesy. Od pierwszych dni protestu zaczęto też używać słów-klamstw: „wypadki”, „zajścia”. Funkcjonariusze Wydziału III dostarczali kompromitujące materiały i tematy dyspozycyjnym dziennikarzom. Bezpośrednią kontrolę przepływu informacji sprawował ówczesny szef SB w Gdańsku, gen. Władysław Pożoga. Powtarzane wielokrotnie kłamstwa były, jak można sądzić, największym zagrożeniem dla rodzącej się legendy, a pozostałości działań medialnych widać niestety do dziś, nie tylko w powszechnym używaniu terminologii „wypadki – zajścia grudniowe”, lecz również ciągłym wyolbrzymianiu ekscesów chuligańskich, które rzeczywiście miały miejsce – ale wyłącznie w Gdańsku.

Czyszczenie własnych szeregów

W walce z legendą włączył się aparat partyjny. W pierwszej kolejności musiał on oczyścić swe szeregi z niepokornych i wątpiących w słuszność linii partii. Paradoksalnie tych, którymi Grudzień wstrząsnął, burząc zaufanie do polityki władz, było wielu. O ich zaniepokojeniu świadczą przewijające się w materiałach szkoleniowych i sprawozdawczych przez cały 1971 r. zapewnienia o stopniowym powrocie do „normalizacji życia” i potrzebie „odbudowywania więzi klasy robotniczej z partią”¹⁴. W takiej sytuacji nie może dziwić skala działań dyscyplinujących podjęta przez KW PZPR w Gdańsku. „Zaprowadzanie porządku” rozpoczęto od likwidacji „elementu warcholskiego i demagogicznego”. Z organizacji partyjnej tylko w Stoczni Komuny Paryskiej w 1971 r. wyrzucono 146 towarzyszy. Jednocześnie rozpoczęła się potężna akcja rozmów profilaktycznych z członkami partii. W całym

¹² *Ibidem*, 0046/820, Informacja o przebiegu obchodów Święta Zmarłych na terenie województwa gdańskiego, k. 4.

¹³ *Ibidem*, 0046/147, t. 1, Sprawozdanie z pracy operacyjnej za IV kwartał 1970 r. mjr. Adama Banasia, I zastępcy komendanta powiatowego MO ds. SB w Sztumie, k. 59.

¹⁴ Archiwum Państwowe w Gdańsku, 2384/105, Protokół z posiedzenia KW PZPR, 23 XII 1971 r., k. 166.

województwie tą swoistą terapią, mającą podnieść morale nadszarpniętą decyzją o strzelaniu do robotników, objęto 63 tys. członków PZPR. Nie wszystkich jednak przekonano do konieczności użycia siły na ulicach, skoro zarządzono przegląd kadr. W 1972 r., przy okazji wymiany legitymacji partyjnych, szeregi PZPR opuściło kilkadziesiąt osób niemogących pogodzić się z Grudniem¹⁵.

Tragiczne wydarzenia 1970 r. uświadomiły również brak szybkiej i kompleksowej informacji o nastrojach społecznych (materiały o stanie ducha społeczeństwa nadsyłane przez SB widocznie okazały się dla partyjnych aparatczyków niewystarczające). Dlatego zapadła decyzja o powołaniu Wojewódzkiego Ośrodka Badań Społecznych przy KW PZPR. Miał on dostarczać materiały informacyjne o skutkach działań władzy i analizować je. Krótko mówiąc, miało to być partyjne biuro badań socjologicznych.

Skutki działań – podsumowanie

Wydawało się, że władzy udało się uspokoić nastroje robotników i zdusić rodzącą się legendę. Po 1972 r. sytuacja wyglądała na opanowaną. Kolportaż ręcznie pisanych ulotek był niewielki, napisy na murach nieliczne, nikt już w zakładach pracy nie upominał się o tablice pamiątkowe. Pozostały tylko groby i pamięć, której nie mogły zabrać najbardziej przemyślane działania resortu i inteligentna propaganda powolnych partii mediów.

Gdy wszystkim zdawało się, że rany się zabiły, a ludzie zapomnieli, garstka gdańskich opozycjonistów, doskonale odczytując nastroje społeczne i zmiany dokonane w świadomości przez legendę Grudnia, zaczęła organizować opór po 1976 r. Do przypominania i rozpowszechniania wolnościowych idei wykorzystywała kolejne rocznice tragedii oraz wskazywała głęboki sens ofiary tych, którzy zginęli. Demonstracje pod bramą nr 2 Stoczni im. Lenina w końcu lat siedemdziesiątych były dla bezpieczeństwa istotnym problemem. Planowano nawet przebudowę tego rejonu, aby utrudnić rocznicowe wiecowanie. Przełom w zbiorowej świadomości nastąpił dopiero w 1980 r., czego dowodem było to, że na tablicy z 21 postulatami pojawił się również ten z żądaniem budowy pomnika ofiar Grudnia. Wtedy też chyba wszyscy uwierzyli w słowa znanej na Wybrzeżu *Ballady o Janku Wiśniewskim*: „nie płaczcie matki, to nie na darmo”. Od momentu budowy pomników nikt nie był w stanie wymazać 1970 r. z pamięci narodowej, nawet w stanie wojennym. Grudniowe Krzyże stały się wówczas znakiem szczególnym. Spod nich wyruszały wszystkie antykomunistyczne demonstracje mieszkańców Trójmiasta.

¹⁵ *Ibidem*, 2384/364, Ocena wyników rozmów z członkami partii, wrzesień 1971 r., k. 168, 171.

PROCES STANISŁAWY KOSZCZĄB

Polityka okupanta niemieckiego zakładała eksterminację Polaków. Realizacją tych założeń zajęło się wiele podmiotów strukturalnie i organizacyjnie związanych z funkcjonowaniem III Rzeszy, w tym także niemiecki wymiar sprawiedliwości. Już w dniu zajęcia przez Wehrmacht Bydgoszczy, czyli 5 września 1939 r., naczelny dowódca wojsk lądowych gen. Walther von Brauchitsch w drodze rozporządzenia wprowadził na zajętych ziemiach polskie sądy specjalne, które wbrew prawu międzynarodowemu stosowały niemieckie prawo.

10 października 1939 r. w godzinach popołudniowych do sklepu spożywczego przy ulicy Szubińskiej w Bydgoszczy wkroczyło trzech gestapowców. Bez podania powodu zabrali ze sobą właściciela sklepu Polaka – Władysława Koszcząbą, jego żonę Stanisławę i najstarszą piętnastoletnią córkę Stefanię. W domu pozostawiono na łasce losu pięcioro małych dzieci, z których najmłodsze liczyło cztery lata. Po trzech tygodniach powróciła zwolniona z aresztu Stefania Koszcząb i zaopiekowała się rodzeństwem. Z jej relacji wynikało, że matka, z którą przebywała w jednej celi, nie miała pojęcia, za co ją aresztowano i dlaczego prowadzone jest przeciwko niej śledztwo.

Z akt sprawy Sądu Specjalnego w Bydgoszczy (Sondergericht Bromberg) o sygnaturze Sd KLs 95/39 wynika, że do osadzenia trzech osób z rodziny Koszcząbów w więzieniu policyjnym w Bydgoszczy doszło wskutek donosu Niemki Leokadii Liedtke, która zarzucała Stanisławie Koszcząb i jej córce Stefanii, że: „w »krwawą niedzielę« zdradzały folksdojczów polskim bandytom i żołnierzom oraz wyzywały folksdojczów”, a Władysławowi Koszcząbowi, że: „miał przed około 14 dniami rzucić kamieniem w uczennicę Irenę Daron i uderzył ją w głowę, bo jej ojczym jest przyjaźnie do Niemców nastawionym Polakiem”¹.

Prokurator Kling² w sporządzonym 30 października 1939 r. akcie oskarżenia oskarżył Stanisławę Koszcząb o to, że: „dnia 3 września 1939 r. w Bydgoszczy wspólnie z innymi świadomie zabijała ludzi i zabójstw tych dokonywała z premedytacją”, kwalifikując te czyny z par. 211, 47, 74 kk w związku z rozporządzeniem Naczelnego Dowódcy Wojskowego z 5 września 1939 r. o wprowadzeniu niemieckiego prawa karnego i sądów specjalnych na zajętych ziemiach polskich.

Posiedzenie Sądu Specjalnego w Bydgoszczy w sprawie karnej przeciwko Stanisławie Koszcząb o współsprawstwo w morderstwie odbyło się 13 listopada 1939 r. W składzie występowali: jako przewodniczący sędzia Sądu Krajowego Kurt Hennig oraz sędziowie Ernst Raasch i Richard Michalowski. Prokuraturę reprezentował prokurator Alfons Bengsch. Jako obrońca z urzędu zgłosił się adwokat dr Tomeriusz z Pity.

Oskarżona zapytana, czy chce odpowiedzieć na zarzut, oświadczyła, że mu zaprzecza. Następnie przesłuchano pięcioro świadków po złożeniu „przysięgi w formie religijnej”, odnotowując każdorazowo, że świadek został przesłuchany do sprawy, lecz co w sprawie zeznał, tego już nie spisywano. Po przesłuchaniu świadków prokurator zażądał dla Stanisławy Koszcząb kary śmierci i utraty obywatelskich praw honorowych na zawsze. Obrońca wniósł o sprawiedliwe ukaranie. Oskarżona zapytana, czy ma jeszcze coś do powiedzenia, oświadczyła, że jest niewinna. Następnie ogłoszono wyrok, w którym Sąd Specjalny w Bydgoszczy w „imieniu Narodu Niemieckiego” 10 listopada 1939 r. skazał oskarżoną za współsprawstwo w mor-

¹ Archiwum Państwowe w Bydgoszczy, Sondergericht Bromberg, Sd KLs 95/39.

² W aktach spraw karnych posługiwano się tylko nazwiskami sędziów i prokuratorów.

derstwie na kary wnioskowane przez prokuratora. Tego samego dnia przewodniczący oraz skład sądzący wypowiedzieli się przeciwko ułaskawieniu Stanisławy Koszcząb.

Z pisemnego uzasadnienia wyroku wynika, że przy orzekaniu kary śmierci w stosunku do Stanisławy Koszcząb zastosowano przepisy par. 211 i 47 kk niemieckiego prawa. Pierwszy z tych przepisów dotyczy morderstwa, czyli działania przy pozbawianiu życia człowieka z premedytacją, i grozi karą śmierci. Niemiecki kodeks karny w par. 212 przewidywał jeszcze inną postać przestępstwa przeciwko życiu – zabójstwo – z sankcją ciężkiego więzienia powyżej 5 lat. Należy zaznaczyć, że taki stan prawny obowiązywał w chwili skazania Stanisławy Koszcząb na karę śmierci, lecz uległ on pewnym modyfikacjom w 1941 r.

Natomiast par. 44 kk regulujący współsprawstwo wymagał spełnienia dwóch przesłanek, tj. porozumienia się współsprawców co do wspólnego dokonania czynu oraz wspólnego dokonania czynu.

Udowodnienie współsprawstwa w morderstwie oznaczało wykazanie porozumiewania się Stanisławy Koszcząb z innymi sprawcami co do mordowania folksdojców oraz wspólny udział w pozbawianiu ich życia. Ponieważ udowodnienie takiego czynu było niemożliwe, Sąd Specjalny w Bydgoszczy zastosował tzw. zasadę rozszerzonego współsprawstwa w morderstwie (*Mord nach erweiterten Mittäterbegriff*), podobnie zresztą, jak czynił w sprawach innych Polaków podejrzanych o wystąpienia przeciwko folksdojczom. Zasada ta polegała na tym, że dla sądu podstawą zarzutu rzekomego porozumiewania się Polaków w celu mordowania folksdojców nie były dowody, lecz po prostu argumenty faszystowskiej propagandy³.

Przykładem takiego naruszenia prawa są następujące stwierdzenia zawarte w uzasadnieniu wyroku: „Sąd nabrał swojego przekonania stąd, że jak sądowi wiadomo, z polskiej strony przez radio, duchownych na nabożeństwach i inne urzędy ogłoszono hasło, aby zniszczyć żywiol niemiecki. Z posuwaniem się niemieckich oddziałów nienawiść przeciwko folksdojczom opanowała wielką część Polaków i rosła w nieskończoność. Z tej atmosfery tworzyły się wszędzie hordy, które w najcięższy sposób dręczyły, maltretowały i częściowo w straszny sposób mordowały. Że takie zbiorowisko na ulicy Ogrodowej służyło tym celom, wynika z takiej samej formy i jednoczesności powstania i działania”.

Z tych wywodów wynika, że Sąd Specjalny w Bydgoszczy był zdania, iż do działania w porozumieniu dochodziło wtedy, gdy Polak ulegał propagandzie polskiej i mając świadomość działania innych rodaków, występował przeciwko folksdojczom. Należy zauważyć, że sąd nie skonkretyzował w formie cytatu ani jednego przypadku nawoływania przez Polaków do mordowania folksdojców, a używając zwrotu „jak sądowi wiadomo”, dawał tym samym świadectwo braku dowodów występowania takich okoliczności.

Według Sądu Specjalnego w Bydgoszczy Stanisława Koszcząb uczestniczyła w wystąpieniach przeciwko folksdojczom. Opis jej zachowania przedstawiono następująco: „W godzinach obiadowych dnia 3 września 1939 r. znajdowała się wśród hordy cywilów uzbrojonych w kije, którzy wrzeszcząc i rzucając obelgi na Niemców, przechodzili ulicami Bydgoszczy. Kiedy horda zbliżała się do domu przy ulicy Ogrodowej 4, w którym mieszka małżeństwo Liedtke i mężatka Nogajski, oskarżona wskazała stojącego w drzwiach domu pięćdziesięciosześcioletniego świadka Liedtke i głośno powiedziała: To jest Niemiec, on też strzelał. Świadek był oskarżonej znany, bo prowadzi ona w odległości około 200 metrów sklep kolonialny. Po tym wskazaniu przez oskarżoną pobiegli członkowie hordy do domu przy ulicy Ogrodowej 4 i zamierzali odprowadzić świadka. Jego wypowiedzi o niewinności nie przydałyby mu się na nic, gdyby nie wstawił się za nim przypadkowo przebywający u swojej siostry polski żołnierz, który był na urlopie. W ten sposób Liedtke uniknęła aresztowania i pewnej śmierci. Podobne zdarzenie powtórzyło się wieczorem tego samego dnia. Do hordy oskarżona jednak nie należała. Świadek Liedtke także został tym razem uratowany, bo wymieniony już polski żołnierz przemówił za nim pozytywnie”. Ustalono to

³ E. Zarzycki, *Działalność hitlerowskiego Sądu Specjalnego w Bydgoszczy w latach 1939–1945*, Bydgoszcz 2000, s. 56.

na podstawie zaprzysiężonych zeznań małżonków Gustawa i Leokadii Liedtke i mężatki Marty Nogajski.

Zadziwiająca jest pewność Sądu Specjalnego w Bydgoszczy, nie poparta żadnym dowodem, że dzięki wstawiennictwu żołnierza polskiego świadek Gustaw Liedtke uniknął aresztowania i pewnej śmierci. Takie ustalenia na podstawie bezpodstawnych i niczym nieuzasadnionych przypuszczeń są przykładem naruszania elementarnych zasad prawa procesowego w celu skazania Stanisławy Koszcząb na karę śmierci za wszelką cenę.

Przytoczenie w uzasadnieniu wyroku zdarzenia, które miało miejsce tego samego dnia – ale wieczorem z udziałem tego samego świadka – lecz podczas nieobecności Stanisławy Koszcząb, zmierzało do spotęgowania grozy sytuacji, w jakiej znalazł się świadek Gustaw Liedtke, a tym samym do wzmocnienia zarzutów przedstawionych Polce.

Oskarżona Stanisława Koszcząb nie przyznała się, że była przed domem przy ulicy Ogrodowej 4, zaprzeczyła z całą stanowczością, aby wskazała komukolwiek świadka Gustawa Liedtke. Na swoje usprawiedliwienie podała, że była na ulicy, aby ustalić, kto pobit ciężko jej męża, gdy chciał ratować folksdojczka o nazwisku Modrow⁴. Przyznała, że idąc w tym celu, przechodziła także przez ulicę Ogrodową.

Te wyjaśnienia oskarżonej Sąd Specjalny w Bydgoszczy skwitował krótko stwierdzeniem, że są one podyktowane obroną i nie mogą jej usprawiedliwić. Za rzeczowe i konkretne uznał zeznania małżonków Gustawa i Leokadii Liedtke oraz świadka Marty Nogajski. Zaznaczył przy tym, że ich zeznaniami bezspornie udowodniono oskarżonej zarzucane czyny.

Stosownie do par. 244 ustęp 2 kpk głównym zadaniem sądu w czasie rozprawy było wyjaśnienie wszystkich okoliczności niezbędnych do ustalenia prawdy. W przypadku Stanisławy Koszcząb Sąd Specjalny w Bydgoszczy zaniechał tego obowiązku, nie sprawdzając, czy prawdziwe były jej wyjaśnienia dotyczące okoliczności pobicia męża, gdy stanął w obronie folksdojczka Modrowa. Przesłuchanie tych dwóch osób, które wskazała jako świadków, było konieczne, tym bardziej że zarzucano jej czyn, za który groził najwyższy wymiar kary.

Żeby uzasadnić wspólne z innymi Polakami dokonanie czynu przez Stanisławę Koszcząb, Sąd Specjalny w Bydgoszczy przytoczył następującą argumentację: „Jeżeli nawet nie można było udowodnić, że bezpośrednio przez oskarżoną zostali zamordowani folksdojczcy, to mimo to jest ona winna współsprawstwa w morderstwie. Sąd jest przekonany, że oskarżona przyłączyła się do zbiorowiska, aby tych folksdojczców, których uznała za opornych polskośći, wydać motłochowi lub polskim żołnierzom maruderom. Wychodziła przy tym z określonego oczekiwania, że motłoch względnie polscy żołnierze przekazanych im folksdojczców rozstrzelają albo w inny sposób pozbawią życia. Co najmniej liczyła się z taką możliwością i z góry ją aprobowała. W ten sposób działała z *dolus eventualis*”⁵.

W swoich dalszych wywodach Sąd Specjalny w Bydgoszczy stwierdził, że wszystkie osoby biorące udział w zbiorowiskach miały wolę zniszczenia żywiołu niemieckiego wspólnymi siłami i na podstawie wspólnego postanowienia. W ten sposób są współsprawcami, bez konieczności osobistego współdziałania w dokonaniu czynu. Wystarcza, że działały w jakikolwiek sposób tak, że przynajmniej wzmocniły wolę dokonania czynu. Ostatecznie, po skonstatowaniu, że oskarżona nie działała pod wpływem nagle wyzwolonego uczucia, lecz z zimną rozważką, co nie budzi wątpliwości w świetle jej własnego zachowania i opisanych okoliczności, sąd zawyrokował, że zgodnie z par. 211 i 47 kk zastrzyła na karę śmierci.

Wyrok śmierci był morderstwem sądowym i został wydany z naruszeniem niemieckiego prawa karnego, przede wszystkim przez zastosowanie nieznanego niemieckiemu prawu pojęcia „rozszerzonego współsprawstwa”.

14 listopada 1939 r. prokurator Alfons Bengsch w celi nr 50 Więzienia Sądowego w Bydgoszczy przekazał Stanisławie Koszcząb, że wyrok uprawomocnił się, a minister spra-

⁴ W sprawie karnej Sd KLs 95/39 podano tylko nazwisko.

⁵ Akta śledztwa Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Gdańsku, S 56/02/Zn, t. II, k. 255.

wiedliwości oddalił prośbę o ułaskawienie, oraz że wyrok zostanie wykonany 15 listopada 1939 r. o godzinie 8.30 przez rozstrzelanie. Zgodnie z par. 13 kpk wyrok śmierci należało wykonać przez ścięcie.

Tenże prokurator w czasie wyznaczonym na egzekucję wydał rozkaz doprowadzenia skazanej na dziedziniec więzienny. Skuta kajdankami Stanisława Koszczyb została doprowadzona przez dwóch wachmistrzów więziennych. Po odczytaniu przez prokuratora Bengscha sentencji wyroku, na pytanie, czy ma coś do powiedzenia, nie złożyła żadnego oświadczenia. Na rozkaz podoficera Dalma⁶ z batalionu strzelców 14/II komando składające się z dziewięciu żołnierzy oddało salwę, po której skazana upadła. Podoficer oddał do niej jeszcze strzał w tył głowy, a lekarz stwierdził natychmiastowy zgon.

Niemcy wrzucili zwłoki do zbiorowej mogiły na cmentarzu żydowskim w Bydgoszczy. W 1945 r. po przejściu frontu przez Bydgoszcz ekshumowano je i pochowano na Cmentarzu Bohaterów na Wzgórzu Wolności.

Tak zakończył się ostatni akt jednego z setek mordów sądowych, jakich dopuścili się sędziowie i prokuratorzy Sądu Specjalnego w Bydgoszczy w czasie swojej działalności w latach 1939–1945.

O śmierci matki dzieci Stanisławy Koszczyb dowiedziały się z gazety niemieckiej. Był to dla nich ogromny szok. Ojca osadzono w obozie koncentracyjnym w Sztutowie (KL Stutthof), gdzie zmarł 14 kwietnia 1940 r. Sześcioro dzieci – wysiedlonych i pozbawionych wszystkiego – wsadzono do pociągu i z nieznanymi im dorosłymi dowieziono do Lublina, do Generalnego Gubernatorstwa. Tam czekali na nich rolnicy, którzy potrzebowali dorosłych osób do pracy. Gdy wszyscy dorośli zostali rozdzieleni – pewien mężczyzna, widząc, że na placu pozostało sześcioro dzieci, ze współczucia zdecydował się zabrać je do siebie, mimo że miał sześcioro własnych dzieci i nie był w stanie wyżywić dalszych. Rodzeństwo Koszczybów spało na słomie w jednej izbie z domownikami. Żeby zarobić na żywność, dzieci pasły krowy u rolników i wykonywały różne inne prace w polu i zagrodzie. Potem trafiły do sierocińca, który prowadziły siostry zakonne w Międzyrzecu Podlaskim. Opiekunki nie miały żadnych produktów żywnościowych, chodziły i żebrały u miejscowej ludności. Jednego z rodzeństwa Koszczybów – Jerzego – wywieziono na roboty przymusowe do Niemiec, gdzie zmarł. Po wojnie dzieci wróciły do Bydgoszczy, do pustego mieszkania. Tutaj przeżyły drugą gehennę, gdyż nikt im nie udzielił żadnej pomocy⁷.

Represje, które dotknęły rodzinę Koszczybów, są przykładem metod, jakimi posługiwał się okupant niemiecki w procesie eksterminacji i dyskryminacji Polaków. Były one bezwzględne i okrutne, doprowadzały do fizycznej eliminacji osób, które *de facto* i *de iure* nie dopuścili się żadnego czynu uzasadniającego wszczęcie jakiegokolwiek postępowania karnego i skazywania na karę śmierci – jak miało to miejsce w przypadku Stanisławy Koszczyb, kierowania do obozów koncentracyjnych, w których ludzie w krótkim czasie umierali – jak zdarzyło się z Władysławem Koszczybem, zmuszania do ciężkich prac przymusowych, tak wyczerpujących, że i tutaj ludzie umierali z wycieńczenia – jak stało się to z małoletnim Jerzym Koszczybem, wypędzania Polaków z rodzinnego domu i skazywania ich na głód i poniewierkę, jak w przypadku rodzeństwa Koszczybów.

Wyrok Sądu Specjalnego w Bydgoszczy skazujący na śmierć Stanisławę Koszczyb narusza elementarne zasady sprawiedliwości. Pozostałe przy życiu trzy córki skazanej nigdy nie mogły się z nim zgodzić, żyły nadzieją, że nadejdzie kiedyś taka chwila i zaistnieją okoliczności, które pozwolą zrehabilitować ich matkę – i nie myliły się.

31 sierpnia 1998 r. władze ustawodawcze Republiki Federalnej Niemiec wydały ustawę o uchyleniu narodowosocjalistycznych niesprawiedliwych wyroków sądów karnych i orze-

⁶ W protokole z 15 XI 1939 r. sprawy Sd KLs 95/39 podano tylko nazwisko podoficera.

⁷ Akta śledztwa Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Gdańsku, S 56/02/Zn, t. I, k. 197–199.

czeń o sterylizacji byłych sądów ds. dziedzicznych obciążeń z 25 sierpnia 1998 r.⁸ Zgodnie z przepisami tej ustawy uchyleniu podlegają skazujące orzeczenia karne wydane z przyczyn politycznych, militarnych, rasowych, religijnych lub światopoglądowych z naruszeniem elementarnych zasad sprawiedliwości po 30 stycznia 1933 r. w celu wprowadzenia lub utrzymania narodowosocjalistycznego reżimu. Orzeczeniami takimi są w szczególności: orzeczenia Trybunału Ludowego (Volksgerichtshof), sądów doraźnych (Standgerichte) powołanych na podstawie rozporządzenia z 15 lutego 1945 r. (Dziennik Ustaw I, s. 30) oraz orzeczenia wydawane na podstawie przepisów wymienionych w załączniku do ustawy.

Do złożenia wniosku o uchylenie niesprawiedliwego wyroku sądów karnych uprawnieni są: skazany, a po jego śmierci krewni i powinowaci w linii prostej, jego rodzeństwo, współmałżonek i narzeczony (narzeczona). Wnioski tych osób rozpatruje prokuratura niemiecka, ustalając, czy wyrok jest uchylony, i na tę okoliczność wystawia zaświadczenie. Jeżeli wszyscy uprawnieni zmarli lub nieznanie jest ich miejsce pobytu, prokurator dokonuje w uzasadnionych przypadkach ustalenia z urzędu.

Korzystając z takich regulacji prawnych niemieckiego wymiaru sprawiedliwości, 26 lutego 2003 r. córki Stanisławy Koszczyb wystąpiły do Trybunału Federalnego w Karlsruhe wnioskiem o określenie prokuratury właściwej do ustalenia uchylenia wyroku śmierci ich matki, gdyż takie rozwiązanie przewiduje ustawa, gdy w okręgu, w którym zapadł wyrok karny, nie działa obecnie niemieckie sądownictwo⁹. Postanowieniem z 9 kwietnia 2003 r. Senat Karny Trybunału Federalnego, po wysłuchaniu Prokuratora Generalnego, wskazał na właściwą do ustalenia, czy wyrok Sądu Specjalnego w Bydgoszczy z 10 listopada 1939 r. został uchylony, prokuraturę przy Sądzie Krajowym w Bautzen (Budziszynie)¹⁰. Dnia 14 maja 2003 r. prokuratura ta stwierdziła, że wspomniany wyrok jest uchylony zgodnie z par. 1 ustawy o uchyłaniu narodowosocjalistycznych niesprawiedliwych orzeczeń, gdyż dotyczy orzeczenia wydanego z naruszeniem elementarnych zasad sprawiedliwości.

W ten sposób zakończyły się starania córek Stanisławy Koszczyb o rehabilitację matki w Republice Federalnej Niemiec. Tak jak sobie wcześniej przyrzekły, przekazały swojej matce nad grobem, że uczyniły wszystko, co było możliwe do zrobienia w jej sprawie¹¹.

⁸ Federalny Dziennik Ustaw, R. 1998, cz. 1, nr 58, wydany w Bonn 31 sierpnia 1998 r.

⁹ Akta śledztwa Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Gdańsku, S 56/02/Zn, t. III, k. 442–443.

¹⁰ *Ibidem*, t. III, k. 444.

¹¹ *Ibidem*, k. 452.

NAJPIERW POPILI SOBIE W URZĘDZIE...

**ZE ZDZISŁAWEM SZPAKOWSKIM I EDMUNDEM KRÓLIKIEM
ROZMAWIA JAN ŻARYN**

J.Ż. – Zaczniemy naszą rozmowę od dwóch cytatów z dokumentów: „Zeznania członka NSZ Pogonowski Jerzy. Pseudonim »Rudolf«, »Tankiet«: w czerwcu 1945 r. zabito funkcjonariusza Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Siedlcach Sogała [Sągola] Czesław. Zabito go na ul. 1 Maja. Wyrok wykonali: Zdzisław Okulus, pseudonim »Biały«, zamieszkały Siedlce, ul. Mireckiego 15, Jastrzębski Stanisław, pseudonim »Bujaniec«, zamieszkały Siedlce ul. B [...], Szpakowski Zdzisław, pseudonim »Sredmiurdej« [»Siemidróg«], zamieszkały Siedlce, ul. Łączna 2, Pogonowski Jerzy, pseudonim »Tankiet«, zamieszkały Siedlce, Zareby 4 m. 3, Pawlikowski Andrzej, pseudonim »Fiuta«, szef wywiadu przy PAS, zamieszkały Nowe Siedlce, ulica Rawicza, Patyra Jerzy, drużynowy w drużynie wyszkoleniowej, miejsce zamieszkania nieznanne. Sekcja Specjalna. Wyroki, Tomczyk Henryk, Romanik Stefan, [...] Janusz, plutonowy podchorąży Akcji Specjalnej na terenie”¹.

I drugi fragment z tzw. „teczki Stalina”: „W wyniku działań operacyjnych ustalono, że 17 Okręgiem NSZ kieruje siedlecki komitet powiatowy Stronnictwa Narodowego. Przewodniczącym tego komitetu jest pułkownik Mieduszyński [Stanisław Mioduński] ps[pseudonim] »Sokół«. Aresztowani członkowie PAS 17 Okręgu NSZ [Jerzy] Pogonowski, [Ferdynand] Kasiba i [Julian] Myrcha przyznali się do swojej działalności terrorystycznej. Pogonowski osobiście uczestniczył w zabójstwie współpracownika siedleckiego urzędu bezpieczeństwa Sambały Czesława [Sągola]. Pod kierownictwem Myrchy dokonano kilku aktów terrorystycznych i grabieży kas w Siedlcach”².

Z.S. – Nie ulega wątpliwości, że to są informacje uzyskane przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa od tego nieszczęsnego Jurka Pogonowskiego. To wszystko jest nieprawdą, dlatego że myśmy nie brali udziału w akcji likwidacyjnej Sągola. Inna rzecz, że to był jeden z najokrutniejszych, sadystycznych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa w Siedlcach. Został zastrzelony z wyroku zbrojnego podziemia, ale wykonanego nie przez żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, ale Ruchu Oporu Armii Krajowej, dawnego poakowskiego podziemia. Pewnych szczegółów na ten temat mógłby udzielić dodatkowo Jerzy Pawlak z Siedlec – wówczas również represjonowany przez UB. Jeżeli chodzi o Jerzego Pogonowskiego, to chciałbym powiedzieć kilka słów prawdy o nim.

W początkach 1945 r. przystąpiłem do odtwarzania tzw. Młodzieżówki dawnych Narodowych Sił Zbrojnych. Odtwarzanie tej „Młodzieżówki” podjąłem m.in. dzięki pomocy mojego kolegi Zenona Łzdebskiego „Rusta”, byłego żołnierza NSZ, a potem żołnierza oddziału partyzanckiego 34. pułku piechoty AK Stefana Wyrzykowskiego „Zenona”. Zenek Łzdebski mieszkał razem ze mną i umożliwił mi nawiązanie kontaktu z ludźmi w terenie, m.in. z grupą „Kłosa”. Równocześnie pewną pomoc okazał mi Tadeusz Niktowicz „Tarcza”, były mój podkomendny, który zginął w Siedlcach zabity w walce na ulicy przez funkcjonariuszy sowieckich 29 lipca 1945 r. W odtwarzanej „Młodzieżówce” znalazł się również Jerzy Pogonowski, którego znałem jeszcze wcześniej z gimnazjum i uczestnictwa w konspiracji przed zajęciem Siedlec przez Armię Czerwoną. W naszej młodzieżówce peł-

¹ Archiwum Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Siedlcach, Notatka, k. 6.

² Teczka specjalna J.W. Stalina. Raporty NKWD z Polski 1944–1946, wybór i opracowanie T. Cariewskaja, A. Chmielarz, A. Paczkowski, E. Rosowska, S. Rudnicki, Warszawa 1998, s. 391.

nił on funkcję łącznika do przekazywania np. wydawanych wówczas gazetek podziemnych, nawiązywania kontaktów z różnymi ludźmi, nie posiadał żadnego uzbrojenia, był moim pomocnikiem do zleceń w sprawach prasy i różnego rodzaju kontaktów. To wszystko, co znalazło się w tym raporcie, w *Teczce specjalnej Stalina*, jest po prostu, jak sądzę, w odniesieniu do Pogonowskiego wymuszonym na nim zeznaniem, on nigdy nie był żadnym porucznikiem AK czy NSZ, nie miał pseudonimu „Kula Mazowiecki”, to są wszystko wymysły. W naszej młodzieżówce najczęściej występował jako „Janusz”. Skąd one się wzięły, trudno mi powiedzieć. Jest natomiast jeden szczegół, na który chcę zwrócić uwagę.

Jurek Pogonowski bywał u mnie bardzo często, a ja wówczas mieszkałem u państwa Wadasów przy ulicy Sekulskiej w Siedlcach. On podał mój inny adres. Dopiero jak zapoznałem się z cytowanym wyżej tekstem, notatką, którą otrzymałem od Leszka Zebrowskiego, a pochodzącą z ówczesnych siedleckich dokumentów UB, które jeszcze ocalały, doszedłem do wniosku, że w przesłuchaniu, w którym Pogonowski podawał informacje o mnie, podał błędny mój adres, choć bardzo dobrze znał właściwy. Sądzę, że podał ten fałszywy adres (bo tam mieszkali moi znajomi), żeby mnie ostrzec. Co prawda oni mnie nie ostrzegli, a wiem, że funkcjonariusze bezpieczeństwa przyszli tam, żeby mnie aresztować. On najprawdopodobniej zmuszony do kolejnych zeznań ciężkim biciem itd. potem podał mój właściwy adres i bezpieczniacy przyszli na Sekulską, żeby mnie aresztować. Uratowałem się dzięki szczególnemu przypadkowi. Tego dnia, kiedy po mnie przyszli, szedłem rano z moim podkomendnym Walerianem Puchtą ulicą i spotkałem dwóch moich kolegów, jeszcze z czasu wcześniejszej młodości, którzy przyjechali do Siedlec. Jeden z nich, Janek Dobrowolski ze wsi Sokóły, niedaleko Siemiatycz, miał właśnie wziąć ślub. Przyjechali do Siedlec, żeby kupić jakieś wiktuały itd. Bardzo ucieszyli się, że mnie spotkali, i mówią: Zdychu, jedź z nami na ślub Janka. Ja byłem w butach z cholewami, na wpół umundurowany. Powiedziałem: no, jak tak mam jechać, to może pójdę się przebrać. Ale oni na to: jedziesz z nami teraz, bo my zaraz jedziemy z powrotem, zdecydowałem więc się pojechać. Powiedziałem tylko Walerkowi, gdzie jadę, i gdyby były jakieś ciekawe wieści, żeby jako łącznik mi je przekazał. Sytuacja była taka: następnego dnia byliśmy na tym ślubie. Wieczorem siedzieliśmy przy stole, było już weselisko. W pewnej chwili otworzyły się drzwi, wszedł Walerek Puchta i powiedział: cieszę się, że Zdychu jesteś. Chcę ci powiedzieć, że po ciebie była wczoraj wieczorem ubecka na Sekulskiej. Miałem zupełnie wyjątkowe szczęście, zresztą kilka razy w życiu, cudem uniknąłem śmierci. Od tego dnia już się ukrywałem, także w oddziałach zbrojnych podziemia. Tam funkcjonowałem aż do ujawnienia się naszego oddziału w początkach października 1945 r. Zeznania Pogonowskiego pochodzą prawdopodobnie z drugiej połowy sierpnia, miały miejsce zapewne parę dni po aresztowaniu tego nieszczęsnego Pogonowskiego i tym okrutnym śledztwie, które wobec niego zastosowano. Sytuacje dotyczące szczegółów aresztowania opowie kolega, Mundek Królik, który, podkreślam, jest moim bardzo miłym i serdecznym kolegą. Ponieważ jest młodszy ode mnie, w czasie wojny był członkiem Szarych Szeregów.

J.Ż. – Za chwilę porozmawiamy o okolicznościach aresztowania Jerzego Pogonowskiego. Wcześniej poproszę o kilka słów na temat Sągola. Czy jego postać wiąże się z tą tragedią z kwietnia 1945 r. w Siedlcach, w której zginęło kilkunastu młodych ludzi? Czy był jednym z funkcjonariuszy Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Siedlcach wykonującym wyroki? Z tego, co dziś wiadomo, oprócz Czesława Sągola w zbrodni udział wziął Marian Więckiewicz. Przypomnijmy, że chodzi o zbrodnię, której sprawców do dziś nie odnaleziono i nie są napiętnowani z nazwiska. Wieczorem i w nocy z 12 na 13 kwietnia 1945 r. grupa pijanych funkcjonariuszy PUBP w Siedlcach chodziła od domu do domu i aresztowała młodych ludzi, głównie z NSZ i AK, wedle ustalonego wcześniej porządku. Następnie zabijano ich głównie z broni maszynowej, a ciała bezczeszczono. Zginęło 16 osób, m.in.: Zbigniew Szczuka, Roman Krzysztośiak, Mieczysław i Zygmunt Pilarczykowie, Henryk Popek, Wacław i Stanisław Chacińscy, Aleksander Wierzejski,

Zbigniew Buczyński. Ponadto na rogatek miasta znaleziono zwłoki sześciu ludzi, których nazwisk nie zidentyfikowano. Jedna osoba, ciężko ranna, przeżyła. Zapewne była to lokalna zemsta funkcjonariuszy UB za wcześniejsze akcje podziemia skierowane przeciwko kolaborantom. Obaj wymienieni funkcjonariusze PUBP w Siedlcach, sprawcy mordu, zginęli później z wyroku podziemia, Więckiewicz już 13 kwietnia 1945 r., a Sągol – 8 lipca 1945 r. Nazwiska pozostałych funkcjonariuszy PUBP są oczywiście znane, podobnie jak obecnego wówczas w Siedlcach inspektora NKWD. Mimo to w 1992 r. Prokuratura Wojewódzka w Siedlcach umorzyła śledztwo. O ile wiem, nie po raz pierwszy umorzono dochodzenie w tej sprawie...

Z.S. – Jest to sprawa, którą także chcielibyśmy się zająć. Z różnych względów – ja w szczególności. Jednym z tych zamordowanych był Krzysztośiak, mój kolega z gimnazjum³. Problem polega również na tym, że w tej sprawie prowadzono śledztwo. Również przez ówczesne władze PRL. Z powodu politycznych przetargów starostą siedleckim był przedstawiciel Stronnictwa Ludowego Lucjan Koć „Jarząbek”, były dowódca Batalionów Chłopskich. Jego żona, Regina Kociowa, była działaczką spółdzielczą, ja w okresie okupacji również współpracowałem ze spółdzielczością, znałem więc Kociową i innych ludzi z dawnych BCh; tym bardziej że jak BCh weszły w skład Armii Krajowej, do naszego obozu szkoleniowego „Dym” w Jacie koło Łukowa przyszło paru chłopaków z BCh. Byli tam chłopcy z AK, BCh, NSZ – tworzyliśmy jedną organizację. Ponieważ Krzysztośiak, działacz Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, był szefem ich siedleckiego koła szkolnego, wobec tego Koć się tym zainteresował. Przeprowadził wówczas dochodzenie i kiedyś opowiedział mi o swoich informacjach. Jego zdaniem sprawa wyglądała w ten sposób, że z inspiracji zastępcy szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Siedlcach grupa funkcjonariuszy UB dostała listę ludzi, których mieli zabić. Najpierw popili sobie w urzędzie, a potem poszli i kogo złapali, tego zamordowali. Krzysztośiaka nie było na tej liście, tylko mieszkał u Szczuki, który był w Siedlcach właścicielem apteki. Na liście był syn Szczuki. Ubecy przyszli do Szczuki, zastali tych dwóch chłopaków i zamordowali ich po prostu. Jest jeszcze pewien problem. Pod Siedlcami jest wieś Trzciniac. Grupa młodych chłopaków z Trzcinią zgłosiła się właśnie do służby w bezpieczeństwie i milicji. To była specyficzna sytuacja, którą warto rozszyfrować. Wśród funkcjonariuszy był m.in. właśnie Czesław Sągol, który odznaczał się wyjątkową cyniczną brutalnością; to był po prostu jeden z najokrutniejszych funkcjonariuszy UB. Kiedy przeniknęły informacje o tym Sągolu, zbrojne podziemie, to poakowskie, podjęło decyzję, żeby go zlikwidować, i zrobiono to. Taka jest prawda o Sągolu.

J.Ż. – Powróćmy teraz do Pogonowskiego. Jak doszło do jego aresztowania?

E.K. – Mój ojciec, przed wojną pracownik poczty, w czasie okupacji nie poszedł do pracy, bo uważał, że jednak urząd pocztowy to jest w pewnym sensie niemiecka filia. Z przyjaciелеm, panem Ignatowiczem z Sarnak, założył sklep przy ul. Brzeskiej w Siedlcach. Jak był wolny czas, siedziałem w sklepie, a Jurek Pogonowski często wpadał na pogaduszki. To było 16 sierpnia 1945 r. Wpadł do mnie koło godz. 12 w południe. W sklepie były

³ Romek Krzysztośiak z Dzierzb, siedemnastoletni uczeń, był tego wieczoru – 12 kwietnia 1945 r. – w domu kolegi, siedemnastoletniego Zbigniewa Szczuki, syna aptekarza miejskiego Albina, i mimo młodego wieku żołnierza AK. O okolicznościach śmierci Szczuki i Krzysztośiaka pisał po latach żołnierz NSZ z Siedlec Antoni Stolcman „Mewa”: „W tym czasie funkcjonariusze UB przeszukiwali mieszkanie Szczuki, a ponieważ Zbyszka nie znaleźli, wobec tego z poszukiwaniami przenieśli się na pierwsze piętro do Czesławy Stokowskiej. Tam zastali Zbigniewa Szczukę uczącego się z Romkiem Krzysztośiakiem – kuzynem Czesławy Stokowskiej. Po wylegitymowaniu obu chłopców wyprowadzili ich z domu i powieźli w nieznanym kierunku”. Ciało znaleziono następnego dnia przy ul. Kazimierzowskiej; rodzicom nie zezwolono na jawne pochowanie swych dzieci. Zob. więcej A. Stolcman, *Nierozliczona zbrodnia*, „Szaniec Chrobrego”, czerwiec 1996, nr 20, s. 6–14.



Zdzisław Szpakowski



Edmund Królik

dwie lady – jedna, główna, naprzeciwko drzwi i druga boczna lada. On jak wpaść, to usiadł na tej bocznej ladzie. Jeszcze obok na linii tej głównej lady stał stół z oranzadą i stołeczki, ale on siedział na ladzie. W tym czasie przyszła do mnie do sklepu komisja sanitarna. Oni już byli zorganizowani, chodzili z dwoma milicjantami z milicji powiatowej. Był więc urzędnik, cywil, członek komisji sanitarnej i starszy sierżant, Strzeliński lub Strzaliński, i drugi milicjant, kapral Wnuk, dość korpułentny, później został zastrzelony przez oddział „Młot”⁴ w Mordach albo Łosicach⁵.

Oni zajęli się mną i pytali: czy jest świadectwo lekarskie, czy jest biały fartuch, nie byłem w fartuchu, mówię więc: „tak, już wkładam, bo przed chwilą ojciec wyszedł”, zaczęłam się tłumaczyć. W każdym razie już mną się zajęli. Gdyby Jurek siedział, tak jak siedział, to wszystko byłoby w porządku, nikt by go nie ruszył, bo poza jedną uwagę, którą mu zwrócili, on ich już nie obchodził. Nagle Jurek bez słowa, ani do widzenia, ani nic, wstał, dość szybkim krokiem skierował się do drzwi i wyszedł ze sklepu. Jeszcze wtedy były gruzy dookoła tego sklepu. Ten Strzeliński (starszy) powiedział wtedy do Wnuka, tak kiwnął na niego: „wyjdz no za nim”. Tak też się stało. Jak było dalej, wiem już z opowiadań sąsiadów. Wyszedł ze sklepu, Jurek szybko się już oddalał, był podobno już od tego milicjanta jakieś 30–40 metrów. Ponieważ był sierpień, ogrody były zielone, gdyby Jurek biegł, dawno wpaśćby już w te ogrody, a on znowu nie zachował się jak porucznik konspirator (przepraszam za moją ocenę, ale znam bardzo dobrze również jego kolegów, wspomnianych tutaj Okulusa, Tomczyka czy innych), to był zupełnie inny facet. Milicjant doszedł do rogu i krzyknął „stój”. Jurek stanął, milicjant podszedł do niego, „dlaczego uciekałeś”, „bo mam magazynek w kieszeni”. „Mówi, że ma magazynek w kieszeni”, „no to twarz do ściany”. Ręce do góry oczywiście trzyma, Strzeliński też wyciągnął pistolet, tamten schował swój pistolet, także tylko ten Strzeliński trzymał go pod pistoletem i zaczął go

⁴ Władysław Łukasiuk „Młot” (1906–1949), od 1940 w konspiracji, w ZWZ-AK, brał udział w akcji ukrycia jednego z pocisków V-2 w Sarnakach, od października 1944 r. ukrywał się przed Sowietami, dowódca oddziału zbrojnego AKO Bielsk Podlaski, od 1946 dowódca VI Brygady Wileńskiej; brał udział w kilkunastu potyczkach z oddziałami NKWD, KBW i MO; zastrzelony przez swojego podkomendnego. Zob. więcej K. Szważyk, biogram W. Łukasiuka, [w:] *Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944–1956. Słownik biograficzny*, t. 1, Kraków–Warszawa–Wrocław 2002, s. 271–274.

⁵ Chodzi prawdopodobnie o Łosice. Akcja w Łosicach polegająca na zajęciu kasy spółdzielni i posterunku MO odbyła się 11 X 1946 r. (*ibidem*, s. 272). Mordy, miasteczko w powiecie siedleckim.

Wnuk rewidować. Do jednej kieszeni sięga i wyciąga nabity magazynek, do drugiej kieszeni, nabity magazynek, do trzeciej kieszeni, nabity magazynek. Wyciągnęli trzy nabite magazynki od tetetki i zaczęli go obmacywać – z tyłu za paskiem pistolet, wyciągają pistolet tetetkę – „odwróć się”, celuje w niego z tej tetetki, „jest nabój w lufie?” – „jest” – odpowiada. „A, ty taki, nie taki”, no już go rozbroili, pistolety skierowali na mnie: „wychodź przed ladę”. Wyszedłem przed ladę, zaczęli mnie rewidować, z kieszonki marynarki wyciągnęli kulkę, kaliber 7,30, miałem jeszcze drugą kaliber 9, ale tej drugiej nie znaleźli. Gdyby przyszli z samego rana, mogliby znaleźć nagan amerykański smith-wessona, damski, oksydowany na srebrno, kolba była z kości słoniowej. No to oczywiście: „zamykaj sklep”. Zamknąłem sklep. Zabrali mi klucze. Rodzice się dowiedzieli, bo sąsiedzi pojechali do mnie do domu i powiedzieli, co się dzieje, że mnie aresztowano. Prowadzili nas obu przez całe miasto pod pistoletami do powiatówki przy ul. 1 Maja, w tym budynku dawniej było PZU, dziś też jest PZU, a zaraz po okupacji była tam milicja powiatowa. Mnie zaprowadzili do dyżurki na parterze, a Jurka od razu na górę, na przesłuchanie. Nie wiem, jak go tam przesłuchiwali, trwało to jakieś trzy godziny. W tym czasie poprosiłem, żeby mnie wyprowadzili za potrzebą. Wyprowadzili mnie na podwórko, tam była „stawojka”, milicjant oczywiście czekał na mnie przed drzwiami. Jak się tam znalazłem, byłem szczęśliwy, bo pierwsza rzecz, to wyciągnąłem tę kuleczkę – plum – i już jestem czysty. Przyprawiono mnie z powrotem do budynku. Przyszła jeszcze moja siostra, przyniosła mi bułkę, zjadłem ją, chociaż specjalnie nie miałem ochoty na jedzenie. Przyszedł jakiś podporucznik, ciemny, bardzo przystojny, nie znam jego nazwiska, nie interesowałem się później tym, jak się nazywał. Zadał mi jakieś pytanie, coś mu odpowiedziałem, a on mnie w twarz! W tym momencie usłyszeliśmy jakieś głosy na korytarzu i on momentalnie wyszedł z dyżurki. Ten, który tam dyżurował, kiedy tamten mnie przesłuchiwał, odwrócił się. Widocznie spodziewał się, jakie to będzie pierwsze przesłuchanie. Ponieważ to nie był budynek ubowski, myślę więc, że to nie był funkcjonariusz UB, tylko milicjant w mundurze. Oni wtedy wszyscy chodzili w tych samych mundurach, nie było jeszcze mundurów milicyjnych, był to przecież sierpień 1945 r., oni wszyscy chodzili w wojskowych mundurach. Wyprowadzili mnie, Jurek już stał przed budynkiem, obok dwóch milicjantów z pistoletami w garści. Pierwsze baty już dostał, bo miał w kroku rozerwane spodnie, prawdopodobnie musiał dostać pistoletem, bo inaczej nie miałby tego rodzaju rozdarcia. Zaprowadzono nas do oddalonego o około 300 m budynku PUBP przy tej samej ulicy i stamtąd piwnicami zaprowadzili nas na UB, przekazali ubowcom. Gdzie Jurka odprowadzili, nie wiem, mnie zaprowadzili na pierwsze piętro do gabinetu szefa UB. Był tam niskiego wzrostu porucznik, z hiszpańskim wąsikiem, w mundurze wojskowym, na szyi miał jedwabny biały szalik – swego rodzaju ozdobę. Siedział przy biurku, przeglądał jakieś papiery, mnie wprowadził cywil, wielkie chłopisko w brązowym garniturze, nie przypominam sobie nazwiska, ale na pewno to byli szef UB i któryś ze śledczych. Na biurku pistolet tetetka, trzy nabite magazynki i moja kuleczka. „Siadaj”, stołeczek przy samych drzwiach, chciałem usiąść przy biurku, ale mi nie pozwolili. Ten przy biurku nie zwracał w ogóle na mnie uwagi, tylko czytał coś w swoich papierach. Nagle taki tygrysi skok, poderwał się, podskoczył do mnie: „nazwisko” – „Królik”, „pseudonim” – „nie mam”. Bili mnie tylko ręką, ale dobre ręce mieli, jak ci chłopcy z Trzcianca, którzy byli znani, bo tu [wskazuje na czoło – red.] nie mieli nic, ale tu [w bicepsach – red.] byli dobrzy. Tak się odbywało przesłuchanie. „Nazwisko – Królik, imię – Edmund, pseudonim, z jakiej organizacji”, po każdym takim pytaniu odpowiedź – „nie wiem, nie byłem, nic mi o tym nie wiadomo”. Po każdej odpowiedzi bicie – z kości policzkowych krew mi zaczęła lecieć, bo rękę szef miał zdrową, a ten cywil stał za mną i mnie po nerach, ale tak niezbyt mocno, odczuwało się, ale to nie było specjalnie mocne bicie. Trwało może kilkanaście minut. Ja oczywiście popłakałem się, młody chłopiec – miałem prawo, jeszcze jak mnie lali. Mówiłem, że nic nie wiem, że uczyłem się na kompletach, teraz też się uczę, pomagam ojcu i tak dalej, i tak dalej. W pewnym momencie, jak nagle zaczął, tak nagle skończył i wyskoczył na korytarz. Zostałem tylko z tym śledczym, wielkim chłopem. Mówi do mnie: „słuchaj, ty nie bądź głupi, przecież ty wiesz, co tutaj jest za towarzystwo, oni tu albo ci zdrowie zabiorą, albo cię zabiją, zaatakują cię – co ty będziesz (oczywiście słownictwo trochę inne było, niż ja opowiadam), co ty będziesz mówić, że ty nie byłeś

w żadnej organizacji, przecież ja pamiętam – ty w Jacie byłeś u Zenona” i zaczął mi wciskać takie rzeczy. Pyta, skąd miałem tę kulkę. A ja przypadkowo, chociaż nie paliłem papierosów, bo byłem harcerzem sprzed wojny, kupiłem paczkę „juno”, to były z takich lepszych, wytworniejszych papierosów niemieckich. Miałem tę paczkę papierosów w kieszeni i błyskawicznie odpowiedziałem, że palę papierosy, w czasie działań wojennych znalazłem tę kuleczkę, wziąłem i miałem zamiar założyć łuskę tej kulki na końcówkę drewnianej fifki, jeszcze nie zdążyłem tego zrobić. Od samego początku, od pierwszego zeznania, ja się tego trzymałem. Jak nie było szefa UB, to on już mnie nie bił, tylko był takim dobrym tatusiem, który mnie chciał przekonać, żebym się do wszystkiego przyznał, to wtedy będzie wszystko w porządku, a inaczej oni mi albo zdrowie odbiorą, albo mnie zatłuką. No i ja oczywiście mówiłem cały czas to samo. Zawołał milicjanta: „odprowadź go do piwnicy”. Idziemy, schodzimy z pierwszego piętra klatką schodową, a w tym urzędzie jako śledczy pracował Janek Różewicz, który podobno za okupacji był w AK, a później poszedł pracować do UB. Popularnie nazywano go Jasio czy Janusz Bez Nogi, miał bowiem tylko jedną nogę, chodził o kulach. Za okupacji miał jeszcze dwie nogi, jak poszedł do UB, to kiedyś poszli sobie do restauracji „Popka” i tam popili. On miał w kieszeni odbezpieczoną parabellę, chciał wyciągnąć sobie chusteczkę do nosa, jak pociągnął za chusteczkę, to przestrzelił sobie kolano, amputowano mu nogę powyżej kolana. Znałem go dość dobrze z kompletów, które odbywały się w mieszkaniu mojego przyjaciela z Szarych Szeregów Wojtka Węgrzyńskiego, w centrum miasta, przy ulicy Asanowicza. Różewicz tam przychodził. Słyszałem, że to podobno był jakiś jego daleki kuzyn, inni mówili, że on zalecał się do siostry Wojtka, myśmy się więc tam spotykali. Jak mnie sprowadzali z pierwszego piętra na dół, patrzę, on idzie o kulach. Oczywiście nie rozglądał się, ale ja przechodząc koło niego, mówię „cześć Janusz”. O tym, jak on się zachowywał w UB, dowiedziałem się dopiero później. Spojrzał na mnie i mówi „a co ty tu robisz?”. Ja mu wtedy w krótkich słowach opowiedziałem, co ja tutaj robię. Milicjant, który mnie prowadził, od razu odskoczył, no bo widzi, że ja rozmawiam ze śledczym, czyli z oficerem, stanął z boku. Różewicz pokręcił głową i mówi: „niedobrze, niedobrze”. To spotkanie miało jednak taki skutek, że mnie już więcej nie przestuchiwali i nie bili. Moja Matka znała się z panią Węgrzyńską, jakim cudem się dowiedziała, że przez panią Węgrzyńską można się dostać do tego Różewicza, trudno mi powiedzieć, bo rodzice nie chcieli nic powiedzieć, w jaki sposób zostałem uwolniony, wiem tylko, że dotarli do państwa Węgrzyńskich i że w moim uwolnieniu brał udział ten Różewicz. Nie podpisywałem żadnego protokołu. Czy Jurek Pogonowski coś mówił na mój temat, nie wiem. Myślę, że jeśli go nie pytali, to on nic nie mówił od siebie, bo niby i po co, to by mu nic nie pomogło. W każdym razie w tych notatkach wspomina różnych ludzi: Okulusa, Tomczyka, Romaniuka, ciebie, Zdzisławie...

Z.S. – ...mówił o tych, którzy nie brali udziału...

J.Ż. – Byli to rzeczywiście jego koledzy z konspiracji, czy tak?

E.K. – To mogli być koledzy, bo to była ta sama grupa. W każdym razie – w cytowanej na wstępie notatce nie ma podanej osoby, od której on ten pistolet dostał. Zwolnili mnie 24 sierpnia. „Zabieraj to wszystko, depozyt sprawdzili, czy wszystko jest”. Powiedziałem, że wszystkiego nie ma, bo zginęło jedno zdjęcie, gdzie nad Muchawką... [rzeką – red.]. To była fotografia z czasów okupacji – cała taka grupka młodzieżowa, tam m.in. był kolega, który później pracował w milicji, nie znam nawet jego nazwiska. Prawdopodobnie wiedzieli, kto jest w tej grupie, i nie chcieli, żeby funkcjonariusz był mieszany w tę sprawę. Zginęły mi też znaczki podziemnej Poczty Polskiej – żałobny znaczek Sikorskiego i znaczek Sosnkowskiego. Powiedziałem im o tym. „To nie u nas, to nie u nas (bardzo grzecznie, prawda), to prawdopodobnie zginęło w Milicji Powiatowej”, mówię „nie będę już tam chodził i szukał tam tego”. Gdy wychodziliśmy, stało tam kilku funkcjonariuszy, poza Różewiczem, i paru mundurowych. Ubowiec mnie wyprowadzał: „już możesz iść”, a tamci, jeden do drugiego, mówią: „co wy, tego bandziora wypuszczacie?”, „no, taki jest rozkaz”. Pierwsze kroki, jak tylko mnie wypuścili,

skierowałem do kościoła św. Stanisława, po drugiej stronie ulicy. Później wróciłem do domu, wielka radość w domu, że wróciłem. Matka gorącej wody w kotle naszykowała i całe ubranie od razu do ukropu, bo przecież tam dziennie mniej więcej około stu wszy tłukło się, warunki były straszne w tej piwnicy. Osiem dni siedziałem. Na tym się skończyła moja sprawa.

J.Ż. – Potem z Pogonowskim nie miał pan już żadnego kontaktu?

E.K. – Pogonowskiego zwolniono w 1947 r., jak była pierwsza amnestia. Dostał pięć lat za posiadanie broni. Natomiast nam przypisywali od razu, od pierwszego przesłuchania, że zastrzeliliśmy Sągola. Oczywiście trzymałem się tej swojej wersji cały czas. Jurek Pogonowski podczas śledztwa przyznał się, że brał udział w zastrzeleniu Sągola, co oczywiście było bzdurą, prawdopodobnie później po dalszych przesłuchaniach doszli do wniosku, że to wymuszone jest, on zatem sprawę miał tylko o posiadanie broni, dostał za to pięć lat więzienia. Widziałem go jeden jedyny raz – był zwyczaj w Siedlcach, że w niedzielę, po godzinie dziesiątej, po Mszy św., był tzw. deptak na ulicy Piłsudskiego i całe towarzystwo młodzieżowe przez godzinę sobie spacerowało. I tam pierwszy raz zobaczyłem Jurka. Szedł w towarzystwie kilku kolegów, ja mówię „cześć Jurek”, chciałem podejść, porozmawiać. On odkręcił się, poszedł, ruszył dalej. Później od innych kolegów się dowiedziałem, że on ma do mnie pretensje. No, jakie pretensje mógł mieć do mnie! Czy o to, że ja za niego osiem dni siedziałem i trochę oberwałem, czy o to, że przecież na jego temat nie powiedziałem ani słowa, skąd on miał broń itd. Pytali mnie oczywiście o to, mówiłem „nie wiem, słuchajcie, a skąd ja mogę wiedzieć, skąd on miał. Znam go z powszechnej szkoły, jeszcze wiem, gdzie mieszka, bo znam jego rodziców, znam jego brata starszego Edwarda, bardzo zresztą przyzwoity był chłopak. Nie mam pojęcia”. Ale wiedziałem, skąd on miał ten pistolet. Jego kolegą, zresztą moim też, był Julek Gniazdowski, jego ojciec był profesorem języka polskiego, wykładał na kompletach, m.in. mnie również uczył. Julek był – zdaje się – w akowskich grupach szturmowych, dość że miał do cholery i ciut, ciut broni. Miał w domu cały arsenał, no i mówił do kolegów, m.in. do Jurka Pogonowskiego, „słuchajcie, ja z rodzicami wyjeżdżam na ziemię odzyskane, przyjeździecie do mnie i rozbierzcie ten mój arsenał, ja wezmę sobie jednego gnata i to mi wystarczy, a resztę zabierajcie sobie”. Jurek Pogonowski rano pojechał do niego i mu ulżył, wziął pistolet i te trzy magazynki, pociągami przyjechał do Siedlec i zamiast iść najpierw do domu i ten cały arsenał zostawić, najpierw przyszedł do mnie do sklepu. Usiadł na tej nieszczęsnej ladzie i później się zachował tak, jak się zachował. Najpierw powiedział, co ma przy sobie, od kogo, byłem więc bardzo dobrze zorientowany, ale na jego temat nie powiedziałem ani słowa. Tak to się skończyło. Wiem, że ten zarzut o udział w zabiciu Sągola na sprawie upadł.

J.Ż. – Nigdy potem się już panowie nie spotkali, chociaż mieszkaliście w tak niewielkiej – przepraszam, jeśli uraziłem – miejscowości?

E.K. – Nigdy się już nie spotkaliśmy. Ojciec mój w krótkim czasie po tym wydarzeniu zrezygnował z prowadzenia sklepu. Ojciec nie bardzo się do handlu nadawał, bo mógł za okupacji na handlu zrobić duże pieniądze, na bimbrze przede wszystkim. Naprzeciwko nas – kuźnia Kalecińskiego, tam chłopów było do diabła i ciut, ciut. Czasami mieliśmy bimber. Ojciec gdzieś tam kupował kilka buteleczek. Posadzka w sklepie była betonowa, w jednym miejscu znajdował się drewniany ruszt, a pod nim wykopany był dołeczek i tam parę butelek zawsze było. Ojciec tę firmę zamknął i wrócił do pracy na poczcie. Jurek Pogonowski zachował się okropnie, po pierwsze, że zeskokczył z tej lady, jak usiadł przy stole, to powinien siedzieć już do końca, przecież nikt się nim nie interesował. Drugi błąd, że wyskoczył nagle ze sklepu bez słowa. Trzeci błąd, jak już wyskoczył, to powinien zaszuwać i wskoczyć w ogród, do ogrodów miał z trzydzieści metrów jeszcze, przecież nim by ten milicjant wyciągnął pistolet, on byłby już dawno w piątym ogrodzie. Jak już się zatrzymał i milicjant do niego podszedł,



Fot. Zdzisław Szpakowski

Spotkanie po latach – drugi z prawej Stanisław „Orsza” Broniewski, pierwszy z prawej Zdzisław Szpakowski, piąty z lewej Edmund Królik

to zamiast odpowiadać na pytanie: „dlaczego uciekałeś?”, pierwszy powinien sięgnąć po pistolet, rozbroić tamtego i uciec. Zachował się jak smarkacz.

Z.S. – Bo on nie był w zbrojnej konspiracji...

J.Ż. – Wracając do Pogonowskiego, w tych aktach, które zobaczył pan na swój temat w IPN, nie ma mowy o Pogonowskim, natomiast jest niejako początek pana sprawy. Pan ujawnił się w październiku 1945 r. i w tym czasie UB zaczęło interesować się pana osobą. Czy łączy to pan ze swoimi związkami z Pogonowskim lub ze sprawą Sągola?

Z.S. – Przypuszczam, że zainteresowanie moją osobą zaczęło się od aresztowania Pogonowskiego i od złożenia przez niego informacji, że ja się zajmuję konspiracją. Tak sądzę, bo wcześniej nie miałem żadnych wysp. Brałem udział w konspiracji antyniemieckiej okresu wojny i okupacji, a potem, kiedy przysły wojska sowieckie, wszystko się inaczej toczyło. Była tzw. druga i trzecia konspiracja.

J.Ż. – Wróćmy do sprawy siedleckiej.

Z.S. – Mogę w kilku słowach zrelacjonować, co opowiadał mi kolega na temat okoliczności wykonania wyroku na Sągolu. Sytuacja była taka – Sągol jechał na rowerze, podjechał do sklepu przy Brzeskiej, postawił rower i wszedł do środka, żeby coś kupić. W tym czasie jeden (mieszkał przy Brzeskiej) z tej grupy likwidacyjnej, która miała wykonać wyrok, przez okno zobaczył, że Sągol postawił rower i wszedł do sklepu. Zbiegł z rewolwerem w garści. Kiedy ten wyszedł ze sklepu, on go trzasnął i zastrzelił na miejscu.

J.Ż. – Czy kiedyś aresztowano rzeczywistych wykonawców tego wyroku?

Z.S. – Nie, nie złapali ich, o ile wiem.

E.K. – Chcę powiedzieć kilka słów o tych szesnastu zamordowanych. Śmierć Krzysztośiaka była przypadkowa. Gdyby Zbyszek Szczuka nie uciekał, oni by tylko jego zabrali i rozstrzelali, ale on zaczął uciekać przed nimi na pierwsze piętro i wpadł do ostatniego pokoju, gdzie był Krzysztośiak, który mieszkał u nich na stacji. To było przed maturą, przed 17 kwietnia⁶. Romek uczył się do matury. Był chłopakiem ze wsi, zresztą bardzo zdolnym, jednym z najzdolniejszych chłopców w liceum.

Kończąc wątek młodego Szczuki – ich obu zabrali i rozstrzelali na Kazimierzowskiej, za parkiem Stencla. Rozstrzelali tych młodych ludzi na rogatkach, nie w jednym miejscu wszystkich, ich – za parkiem Stencla, ktoś był rozstrzelany na Brzeskiej. 13 kwietnia rano otwierałem sklep i widziałem, jak na furmance wieźli trupy do kostnicy przy szpitalu na Starowiejskiej. Była większa manifestacja, bo od razu kupa ludzi tam przyszła rano.

J.Ż. – Czy składał pan zeznania przed komisją Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu?

E.K. – Nie, ponieważ ja znałem tylko Zbyszka Szczukę.

J.Ż. – Wróćmy jeszcze do ofiar funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa. Czy trupy tych zamordowanych przez funkcjonariuszy były obnoszone przez nich przez miasto i wyrzucane przy rogatkach miasta? Ponoć do dziś nie wiadomo, gdzie niektórych z nich pochowano.

E.K. – Wszystkich zwieziono z różnych miejsc do trupiarni szpitala przy Starowiejskiej. Później dowiedziałem się od niejakiego Zielińskiego, który był w tym czasie funkcjonariuszem milicji miejskiej, że po porannym telefonie na milicję, że na Kazimierzowskiej są zwłoki dwóch osób, wysłano go tam i objął posterunek. Przyszła tam m.in. dziewczyna Szczuki, strasznie rozpaczła i prosiła, czy mogłaby coś wziąć na pamiątkę od Zbyszka, że to jest właśnie Zbyszek Szczuka, i on jej pozwolił coś tam wziąć. Po pewnym czasie przyjechało UB i powiedziało, żeby on wracał na posterunek i więcej się tą sprawą nie zajmował. Zwłoki zabrano. Później dowiedziałem się, że Szczuka, ojciec Zbyszka, proponował grube pieniądze (bo ich wywieźli w nieznanym kierunku), żeby tylko odzyskać zwłoki. Nie chcieli się zgodzić na to, czy się później zgodzili – wątpię. Czy Sągol brał w tym wszystkim udział, tego nie wiem.

Z.S. – Brał, chyba brał...

E.K. – Takie wersje krążyły. Jedna z wersji była taka, że ci ubowcy sobie popili, było ich czterech, jeździli sobie willisem, zabierali tych ludzi i rozstrzelali. Ponieważ ta sprawa zrobiła się bardzo głośna, później tych ubowców, którzy brali udział w morderstwie...

Z.S. – ...przeniesiono z Siedlec i porozysłano po całej Polsce.

E.K. – Słyszałem jeszcze inną wersję, że oni podzielili los tych, których rozstrzelali.

Z.S. – Z tego, co mi opowiadał Koć, to była samowolna akcja grupy tych funkcjonariuszy i dlatego potem rozestano ich po całej Polsce.

E.K. – Czytałem w polskiej gazecie, może w czerwcu albo w lipcu 1945 r., że w parlamencie angielskim poruszano sprawę mordów w Siedlcach przeprowadzonych przez UB, no i że oczywiście są to bzdurne wiadomości, wyszane z palca, propagandowe itd. Żałuję, że sobie tego wycinka nie zostawiłem, ale czytałem to osobiście. Kiedyś zajmowaliśmy się tą

⁶ 12–13 kwietnia 1945 r.

sprawą z moim kolegą Jankiem Badzio, który korespondował z ministrem Przewoźnikiem, bo załatwialiśmy w Siedlcach tablicę upamiętniającą śmierć dziesięciu osób rozstrzelanych przez hitlerowców w Siedlcach. Wśród nich było trzech naszych kolegów z Szarych Szeregów.

Z.S. – A na dawnym budynku UB jest tablica mówiąca o śmierci tych szesnastu chłopców. Ta tablica jest błędna, na niej widnieje informacja, że z tego budynku wyprowadzali i rozstrzeliwali – to nieprawda. Jeden z tych rozstrzeliwanych przeżył. Rano się ocknął, doczołgał się do jakiejś chatupy.

J.Ż. – **Chodzi zapewne o Mariana Pilarczyka, który – ciężko ranny – przeczłogał się kilkanaście metrów i ukrył. Znalazła go matka następnego dnia rano, wykrwawionego.**

Z.S. – Pobili jego ojca [Franciszka], a dwóch braci [Mieczysława i Zygmunta] zastrzelili. On dostał gdzieś w tył głowy, w szyję, upadł. Myśleli, że go zastrzelili, a tymczasem on był tylko postrzelony. Doczołgał się do jakiegoś domu, skąd natychmiast przewieźli go do szpitala. Leżał w szpitalu, UB oczywiście dowiedziało się o tym. Nie zabrali go ze szpitala, tylko postawili na korytarzu wartownika, swojego ubowca, żeby go pilnował. Zamykali się na klucz, przed budynkiem nie było żadnego wartownika. Kilka dni później podłożono im bombę pod UB. Wysadzili drzwi. Szpital od UB był o jakieś 200 m. Ten, który pilnował postrzelonego, usłyszał wybuch i wyskoczył ze szpitala. Przed budynkiem UB był tylko tuman kurzu, zaczął więc biec w kierunku budynku UB, a pod szpitalem na ulicy stał już samochód ciężarowy, jacyś ludzie z noszami zabrali rannego z łózka i wywieźli. Słyszałem, że proponowano mu, że go wywiozą do Anglii. On się na to podobno nie zgodził, bo powiedział, że ma tutaj jeszcze sporo spraw do załatwienia. Był w jakimś oddziale partyzanckim...

Opracowała **Barbara Polak**

Zdzisław Szpakowski, ur. 1 marca 1926 r. w Świsłoczy, w powiecie wołkowskim, w województwie białostockim, w rodzinie kolejarza. Od 1942 r. w Narodowej Organizacji Wojskowej w Siedlcach, ukończył szkołę podchorążych „Dym”, następnie w NSZ i NSZ-AK, w oddziale „Lisy” por./kpt. Jerzego Wojtkowskiego „Drzazgi”. Po zajęciu ziemi siedleckiej przez NKWD pozostawał w konspiracji, w NZW; dowódca „młodzieżówki”; zagrożony aresztowaniem przebywał w oddziale zbrojnym (leśnym); ujawnił się jesienią 1945 r. w Warszawie, nadal utrzymywał kontakt z NZW, jesienią 1946 r. wrócił do podziemia. Ujawnił się wiosną 1947 r. Ukończył studia socjologiczne na UW w 1952 r. Od 1954 r. wykładowca w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, członek Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, red. działu historycznego „Więzi”, wykładowca Towarzystwa Kursów Naukowych; działacz NSZZ „Solidarność”, internowany od 13 grudnia 1981 r. Inwigilowany przez UB/SB – z przerwami – od 1945 r. do 1989 r., po raz ostatni od 1975 r. do stycznia 1989 r. w sprawie o kryptonimie „Socjolog”.

Edmund Królik, ur. 6 lutego 1929 r. w Wohyniu. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Siedlcach rozpoczął naukę na tajnych kompletach w Siedlcach. W 1942 r. wstąpił do tajnej organizacji harcerskiej Szare Szeregi. W chwili zakończenia wojny ukończył II klasę gimnazjum. W sierpniu 1945 r. został aresztowany, wraz z Jerzym Pogonowskim, przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Wkrótce zwolniony. W 1948 r. zdał maturę, w 1952 r. ukończył Wydział Inżynierjny Politechniki Warszawskiej. Wzywano go w latach pięćdziesiątych do Pałacu Mostowskich i przesłuchiowano w związku z przynależnością do Szarych Szeregów. Po kilku latach dowiedział się od druha Stanisława Broniewskiego „Orszy”, że bezpieka szykowała wielki proces Szarych Szeregów, do którego na szczęście nie doszło.

Raid dla młodzieży „Między Tanwią i Sołokiją”

Między 19 a 21 września 2003 r. w rejonie miejscowości Werchrata na Roztoczu Wschodnim Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Lublinie zorganizowało rajd historyczno-krajoznawczy dla młodzieży gimnazjalnej „Między Tanwią i Sołokiją. Pogranicze polsko-ukraińskie”. Udział w nim wzięło pięć drużyn: „Biali” (z Gimnazjum przy Zespole Szkół im. Henryka Sienkiewicza w Grabowcu), „Niebiescy” (z I Społecznego Gimnazjum im. Unii Europejskiej w Zamościu), „Czerwoni” i „Żółci” (dwie drużyny z Gimnazjum przy Zespole Szkół Budowlanych i Ogólnokształcących im. Józefa Dechnika w Biłgoraju) oraz „Różowi” (z Gimnazjum Publicznego im. Polonii Francuskiej w Trawnikach) – łącznie czterdzieści osób wraz z opiekunami.

Pierwszego dnia, podczas marszobiegu nazwanego „Wilcze echa”, każda z grup przebyła 20–25-kilometrową trasę, która wiodła przez malownicze zakątki Roztocza Wschodniego. Uczestnicy rajdu zapoznawali się z historią regionu i zabytkami kultury materialnej – polskiej i ukraińskiej. Ponadto zbierali od okolicznych mieszkańców relacje dotyczące wydarzeń z lat 1939–1947.

Wieczorem odbyło się wspólne ognisko, na którym młodzież podzieliła się z organizatorami rajdu swoimi wrażeniami z tras. Na ognisko zaproszono także gości – nauczycieli z miejscowej szkoły, którzy opowiedzieli historię Werchratej i jej najbliższych okolic.

W raporcie z wykonania zadania drużyna „Białych” napisała: „Pudełko z informacją znaleźliśmy przy krzyżu [...] (obok kościoła w Werchratej). Po rozszyfrowaniu wiadomości udaliśmy się w kierunku północno-wschodnim do miejscowości Łozy, gdzie rozmawialiśmy z jednym z mieszkańców, który nam powiedział o napaści oddziałów UPA na Horaj po 1944 r. Podobno w czasie tego najścia została [...] wymordowana ludność ukraińska podejrzewana o sprzyjanie komunistom. [...] udaliśmy się na Horaj, gdzie spotkaliśmy dwa krzyże kamienne, na których udało nam się odczytać rok 1884 i część inskrypcji [...]. Następnie skręcając w prawo na czerwony szlak, napotkaliśmy w lesie krzyż drewniany z 1945 roku [...]. Dochodząc czerwonym szlakiem do Siedlisk, zobaczyliśmy biały krzyż wysokości ok. 2 metrów. W Siedliskach stoją jeszcze trzy podobne krzyże. [...] z rozmowy z jednym z mieszkańców Siedlisk dowiedzieliśmy się, że nieco dalej była miejscowość Bożyki, która już nie istnieje. Spotkaliśmy również w Siedliskach kobietę, która w 1940 r. została wywieziona na Sybir [...] skąd wróciła dopiero w 1946 r. Dzięki rozmowom z mieszkańcami [...] dowiedzieliśmy się też o istnieniu pałacu Sapienhów, w czasie II wojny światowej był on siedzibą Niemców. Miejscowość ta doświadczyła również napadu UPA, w wyniku którego śmierć ponieśli: Jan Haliniak, Piotr Wywrocki, Józef Łuszczewski, Bazyl Stecyna, Wojciech Kosiński [...] 28 lutego 1945 r.

Zgodnie z wytycznymi odnaleźliśmy nagrobki z 1941 roku (jeden na cmentarzu, drugi w lesie), w których są pochowani żołnierze Armii Czerwonej. Nagrobki mają kształt obelisku z pięcioramienną gwiazdą. Jeszcze jeden identyczny nagrobek pochodzi z roku 1944”.

Drugiego dnia rajdu grupom wyznaczono kolejne zadanie o nazwie „Leśne widma”. Pierwsza jego część polegała na rozpoznaniu punktu oporu Goraje, wchodzącego w skład Rawskiego Rejonu Umocnionego Linii Mołotowa, obsadzonego przez „załogę sowiecką” (stanowiły ją trzy osoby: Anna Piekarska – BEP, Sławomir Poleszak i Mariusz Zajączkowski – OBEP w Lublinie, ubrane w mundury sowieckie z okresu II wojny światowej) i opisanu bunkra znajdującego się u stóp wzgórza Długi Goraj.

W raporcie drużyna „Żółtych” napisała: „O godz. 10.30 wyszliśmy z bazy [...] w rejon wzgórz 389 i 392 koło miejscowości Mrzygłody. Po godzinie szybkiego marszu dotarliśmy na miejsce, a następnie podzieliłiśmy się na dwuosobowe grupy.

Po 10-minutowej akcji nasz opiekun [...] został wzięty do niewoli (wraz z mapą) [...].

Co do samej konstrukcji bunkra [...] był on wbudowany we wzgórze, zamaskowany i trudny do zlokalizowania. Od przodu bunkier miał dwa otwory w żelbetowej konstrukcji. Porośnięty różnymi krzakami, trawą i mchem. [...] Wokół bunkra udało nam się zaobserwować trzy osoby, w tym była jedna kobieta [...]. Wszystkie osoby – żołnierze – miały na sobie zielone mundury.

Wokół bunkra znajdowały się rowy przeciwczołgowe, dzięki którym mogliśmy zaobserwować bliżej bunkier”.

W raporcie „Niebieskich” natomiast czytamy: „Panie Rotmistrzu! Dowódca zwiadu [...] melduje o wykonaniu zadania. Do rejonu bunkrów dotarliśmy od strony południowego zachodu. Dwóch zwiadowców stwierdziło obsadzenie bunkra przez załogę trzech sowieckich żołnierzy. Wykonali szkic sytuacyjny, który dołączam do raportu. Niestety, zostali dostrzeżeni przez nieprzyjaciela, co zmusiło ich do natychmiastowego odwrotu na południowy wschód, w kierunku Mrzygłódów [...] na umówione spotkanie z resztą grupy”.

Po wykonaniu zadania wszystkie grupy przybyły do leśniczówki Mrzygłody, gdzie Rafał Wnuk (naczelnik OBEP w Lublinie) – „oficer wywiadu Obszaru Lwów ZWZ” umundurowany na wzór brytyjski przeprowadził musztrę wojskową. Po powrocie grup do bazy w Werchratej odbyło się ognisko, podczas którego leśniczy Bolesław Rebizant opowiadał o walorach przyrodniczych Roztocza Wschodniego, Rafał Wnuk nakreślił historię konspiracji akowskiej i poakowskiej w rejonie Narola, a Jacek Wołoszyn zaprezentował postać Stefana Kobosa „Wrzośca”. W trakcie ogniska zarządzono alarm nocny i grupy wyruszyły na ostatnie zadanie – „Dolna Rata”. Jego celem było opanowanie mostu na rzece Rata w pobliżu miejscowości Prusie obsadzonego przez trzyosobową „załogę niemiecką” (Sławomir Poleszak, Adam Puławski i Jacek Wołoszyn – OBEP w Lublinie) – zadania tego żadnej z grup nie udało się w pełni wykonać.

W rajdzie zwyciężyli „Biali” (nagroda – plecaki). Kolejne miejsca zajęli: „Niebiescy” (otrzymali śpiwory), „Złóci” (kompasy), a równorzędne czwarte miejsce zajęli „Czerwoni” i „Różowi” (nagroda pocieszenia – „Biuletyny IPN”).

Młodzieży bardzo podobała się ta niekonwencjonalna lekcja historii. Tę formę edukacji OBEP w Lublinie pragnie kontynuować w roku 2004.



Młodzież i pracownicy IPN podczas rajdu.
Fot. A. Piekarska
i M. Śląddecka.



K S I A Ź K I P N

- **„Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1950–1952: taktyka, strategia, metody”**
Tom obejmuje:
 - protokoły z narad kierownictwa resortu bezpieczeństwa publicznego
 - przemówienia i referaty ministra BP Stanisława Radkiewicza
 - rozkaz ministra BP w sprawie „walki z wywiadem państw imperialistycznych”
 - pisma kierownictwa resortu dotyczące spraw i zadań bieżących MBP
 - analizy i opracowania obrazujące sposoby zwalczania przez aparat bezpieczeństwa niepodległościowego podziemia zbrojnego, a także „wrogiej działalności” na wsi, w przemyśle, szkolnictwie oraz działających oficjalnie organizacjach społeczno-politycznych. (nakład wyczerpany)

- **„Grudzień 1970 w dokumentach MSW”**
Na zbiór składają się:
 - codzienne informacje o sytuacji w kraju, przeznaczone dla członków najwyższego kierownictwa partyjno-państwowego
 - notatki z posiedzeń Sztabu MSW w grudniu 1970 r. (niekompletne) i zapisy telekonferencji z komendantami wojewódzkimi MO, organizowanych w grudniu 1970 r. przez komendanta głównego MO gen. Tadeusza Pietrzaka. (nakład wyczerpany)

- **„Przestępstwa sędziów i prokuratorów w Polsce w latach 1944–1956”**
Książka jest rezultatem czterech konferencji naukowych poświęconych różnym aspektom funkcjonowania komunistycznego wymiaru sprawiedliwości w Polsce w latach 1944–1956. Obok opracowań ogólnych dotyczących zarówno polityki karnej państwa, jak i porządku prawnego zamieszczono w niej teksty omawiające konkretne przykłady przestępstw sądowych. Na szczególną uwagę zasługują artykuły o represjach wobec zbrojnego podziemia, duchowieństwa katolickiego oraz chłopów przeciwstawiających się kolektywizacji rolnictwa.

- **„Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych”**
Zawiera 57 krytycznie opracowanych, dotychczas niepublikowanych (z wyjątkiem jednego) dokumentów, które ukazują ówczesne wydarzenia w nowym świetle. Na zbiór – oprócz materiałów wytworzonych przez struktury MSW – składają się m.in.:
 - protokoły i informacje z posiedzeń KW PZPR w Radomiu
 - dyrektywy i informacje KC PZPR
 - sprawozdania Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu. (cena: 20,00 zł)

- **„Rozpracowanie i likwidacja rzeszowskiego Wydziału WiN w dokumentach UB (1945–1949)”**
To pierwszy krytycznie opracowany wybór dokumentów operacyjnych komunistycznych służb bezpieczeństwa. Tom zawiera:
 - 96 dokumentów z teczek obiektowych
 - raporty specjalne
 - sprawozdania dekadowe, miesięczne i roczne z pracy operacyjnej funkcjonariuszy WUBP w Rzeszowie i PUBP w województwie rzeszowskim. (cena: 20,00 zł)

- **„Rozwiązanie kwestii żydowskiej w dystrykcie Galicja”**
Friedrich (Fritz) Katzmann zapisał jedną z najczarniejszych kart okupacji niemieckiej w Polsce. Był współorganizatorem tak zwanej akcji Reinhard (Einsatz Reinhard). Cel akcji – eksterminacja polskich Żydów – został osiągnięty. W latach 1942–1943 w Generalnej Guberni zginęła większość z niemal 3 mln zamordowanych podczas niemieckiej okupacji polskich Żydów. (cena: 45,00 zł)

- **„Diariusz podręczny 1939–1945”**
Diariusz podręczny archiwisty Adama Kamińskiego stanowi interesujący zapis życia w Krakowie pod okupacją niemiecką. Z kart jego dziennika wylania się poruszający obraz codziennej walki o przetrwanie: zdobywania żywności, mieszkania oraz pracy. Równocześnie jest to znakomite źródło informacji o ówczesnej obyczajowości: życiu rodzinnym, sposobach spędzania czasu wolnego oraz świętowania. Wiele miejsca Kamiński poświęca swej pracy w archiwum oraz walce o ratowanie dokumentów zagrożonych zniszczeniem. Jego dziennik oddaje także grozę okupacji, dokumentuje wojenną eksterminację, wywózki mieszkańców Krakowa do Oświęcimia, likwidację getta krakowskiego, wreszcie pobyt autora w obozie w Płaszowie. Swe zapiski Kamiński uzupełnia wiadomościami z prasy codziennej o aktualnych wydarzeniach wojennych. (cena: 30,00 zł)

- **„Świadectwa stanu wojennego”**
Świadectwa stanu wojennego to 28 relacji wybranych tak, by pokazywały różne formy działalności opozycyjnej i wszystkie regiony Polski. Dostarczają one wielu informacji na temat oporu społecznego, pozwalają poznać motywacje konkretnych osób. Mogą być ciekawą lekturą nie tylko dla historyków, lecz także dla socjologów i psychologów społecznych. Pozwalają skonfrontować własne doświadczenia z przeżyciami innych. (cena: 25,00 zł)

- **„Stan wojenny w dokumentach władz PRL 1980–1983”**
Tom (książka) zawiera 54 publikowane po raz pierwszy dokumenty ukazujące genezę, przebieg oraz skutki stanu wojennego. Ilustrują one najważniejsze przedsięwzięcia podejmowane przez władze PRL przed i po 13 grudnia 1981 r. Pochodzą z zasobów IPN i piętnastu innych archiwów (m.in. Archiwum Akt Nowych, Archiwum Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, Archiwum Ministerstwa Sprawiedliwości) oraz zbiorów prywatnych. (cena: 35,00 zł)



SERIA RELACJE I WSPOMNIENIA

W serii „Relacje i wspomnienia” publikowane są nieznanе dotychczas świadectwa dotyczące najnowszej historii Polski. Prezentują one postawy obywateli polskich i realia życia codziennego podczas drugiej wojny światowej oraz w okresie Polski Ludowej.

Księga świadectw jest wyborem relacji i wspomnień osób skazanych na karę śmierci w okresie powojennym – konspiratorów i żołnierzy podziemia niepodległościowego w Polsce. Dramatyczne losy Polaków, którzy nie pogodzili się z komunistyczną okupacją, odżywają po przeszło pół wieku na kartach książki, jej bohaterowie zaś dają wierne świadectwo prawdzie, w imię której gotowi byli oddać własne życie. Całość została opracowana naukowo oraz poprzedzona obszernym wstępem na temat represji w czasach stalinowskich.